

CRYSIS

ESKALACJA



GAVIN SMITH

Gavin Smith

CRYSIS
Eskalacja

przełożył
Przemysław Bieliński

Tytuł oryginału
CRYSIS: Escalation

Copyright © 2013 Crytek GmbH. Crytek, Crysis and the main characters are registered trademarks or trademarks of Crytek GmbH in the US, EU and other territories

All rights reserved

First published in Great Britain in 2013 by Gollancz an imprint of the Orion Publishing Group Ltd
Orion House, 5 Upper St Martin's Lane, London WC2H 9EA. An Hachette UK Company

www.orionbooks.co.uk

The right of Gavin G. Smith to be identified as the author of this work has been asserted by him in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Przekład
Przemysław Bieliński

Redakcja
Maria Brzozowska / textoria.pl, Tomasz Brzozowski

Korekta
Dominika Pycińska

Konwersja
Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone.

ISBN: 978-83-63944-03-2

 **insignis**

Insignis Media

ul. Szlak 77/228–229, 31-153 Kraków

telefon / fax +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

*Dyanne i Tobiasowi Heasonom oraz Saturday Club,
którzy nauczyli mnie kilku rzeczy ze stron tej książki*

Szansa [Część 1]

Lotnisko, placówka pomocnicza kopalni kobaltu CELL, górny bieg rzeki Podkamienna Tunguzka, Kraj Krasnojarski, Syberia, Federacja Rosyjska, rok 2025

Walker zamrugnął, żeby pozbyć się łez. Wielu innych „specjalistów ochrony” CELL nie chciało dzwonić do swoich bliskich przed dużą operacją. Uważali, że to przynosi pecha. Przed CELL Walker służył w 2. Spadochronowym, jeździł na patrole do LCZ podczas najgorszych rozruchów w Londynie. Widział przecież wielu takich, którzy dzwoniли do domu, a potem nie ginęli. Chciał mieć klarowną, wyraźną świadomość, dlaczego musi przeżyć każdą akcję.

– Wiem, że nie powinnam, wiem, że powinieneś usłyszeć, że cię kochamy i za tobą tęsknimy. Wiem, że teraz tylko mieszam ci w głowie, ale musisz wracać.

Carlotta szlochała; wyczuwając zdenerwowanie mamy, Elsa, ledwie sześciomiesięczna, wybuchnęła płaczem.

Walker mocno zacisnął powieki, po policzku spłynęła mu łza. Przed budką łączności ciągnęła się długa kolejka twardych mężczyzn i kobiet czekających, aby skorzystać z portalu Macronetu, mimo głównianego odbioru i bezustannie skaczącego obrazu. Nie liczyli się, teraz on miał swoje dwie minuty, nikt nie będzie go poganiał. Tak samo jak nikt nie skomentuje łez. Taka była niezwerbalizowana zasada. Wszyscy będą płakać tak samo.

Walker otworzył oczy; jego dziewczyna i dziecko rozmyli się na chwilę, a potem znów wyostrzyli.

– Niedługo mam dostać przepustkę i wrócę... – Mimo lat spędzonych z dala od brytyjskiego West Midlands wciąż miał mocny akcent z Birmingham.

– Wiesz, kiedy kończy ci się etat? – spytała Carlotta. Walker został powołany do CELL za niezapłacenie rachunku za energię. Kiedy zaproponowali mu „odpracowanie zadłużenia” tyrał jak wół, ale oni mieli lepsze pomysły na wykorzystanie jego umiejętności, wyniesionych ze służby w brytyjskiej armii. Najbardziej obawiał się, że wyślą go przeciwko Cepidom do Nowego Jorku czy do jakiegoś innego rejonu skażenia, ale taka ewentualność chyba nie wchodziła już w grę; tam zdążyli już

posprzątać.

– Nie wiem – odparł zgodnie z prawdą. Kiedy pytał o to przełożonych, zawsze zachowywali się bardzo wymijająco. Zastanawiał się, jak duży dług nabili, on i Carlotta. Zawsze wydawało mu się, że prowadzili dość oszczędny tryb życia.

Ktoś dyskretnie zastukał do drzwi. Czerwony licznik nad budką doliczył do zera, ale nikt nie miał zamiaru robić scen, o ile Walker naprawdę by nie przesadził.

– Skarbie, muszę iść... – zaczął.

– Boisz się...

– Zawsze się boję, tęsknię za tobą, za wami obiema, ale dają nam prochy na strach...

– Nie chcę tego słuchać. Tym razem jest inaczej, co?

Połączenie zerwało się. W miejscu kiepskiej jakości obrazu żony i dziecka Walkera pojawiły się czerwone litery: Ryzyko Naruszenia Tajemnicy Operacyjnej.

– To rutynowa akcja, skarbie – skłamał Walker do liter na ekranie. *Dlaczego to jest w wysokiej rozdzielczości, a moja kobieta i dziecko nie?*, zdziwił się tępo, niezdolny myśleć o niczym innym. Znów rozległo się pukanie do plastikowych drzwi budki, tym razem bardziej natarczywe. Walker otarł łzy, a potem z zaczerwienionymi oczami wyszedł na zewnątrz.

– Przepraszam, stary – wymamrotał i zaczął się przeciskać przez kolejkę do wyjścia.

Odchylił klapkę na rękawie bluzy między paskami pancerza. Wziął pierwszą strzykawkę, pozwolił inteligentnej igle naprowadzić się na żyłę i wstrzyknął sobie dobry stuff. Traktował to jak przygotowanie do gry. GABA, trójpierścieniowe stymulanty klasy bojowej, które rzucił, kiedy odszedł ze spadochroniarzy. Poczł sztuczną moc krążącą w żyłach. Wiedział, że jest sztuczna, bo znał kontrast między hajem bojowych narkotyków a twardym lądowaniem chwilę później, kiedy człowiek nagle widzi, że zamiast ubrania ma na sobie narządy wewnętrzne kumpla z oddziału. Mimo to skupił się na haju. Zdusił w myślach ostatni migoczący obraz Carlotty i Elsy. On był mu potrzebny później, kiedy będzie musiał walczyć z całych sił o samo przeżycie.

Zębami ściągnął rękawicę. Przycisnął kciuk do igły. Stojak z bronią rozpoznał jego DNA i wydał mu karabin szturmowy Scarab. Walker sprawdził broń, zabrał tyle zapasowej amunicji, ile tylko mógł, i ruszył na pas startowy do swojej drużyny.

Na zewnątrz, w ostrym świetle lamp sodowych, drugi samolot wyładowywał transportery opancerzone piechoty. Z jego rampy schodzili gęsiego w mroźną, syberyjską noc mocniej opancerzeni i lepiej uzbrojeni żołnierze CELL. O cokolwiek tym razem chodziło, CELL się nie cacka. *Może to jednak jest kolejny najazd Cepidów*, przemknęło mu przez myśl. Jego strach przed obcymi zniknął, zmieciony narkotyczną

odwagą.

– Gotowy? – spytała nowa dowódczyni drużyny, sprawdzając swoją strzelbę Jackal. Była Afroamerykanką i mówiła z mocnym, nowojorskim akcentem. Miała hełm, a pod nim wełnianą czapkę, ale Walker wiedział, że jest ogolona do gołej skóry. Zauważył w jej uszach i nosie dziurki po kolczykach.

– Zwarty i gotowy, pani porucznik – odparł z pewnością siebie, którą dzięki narkotykom prawie czuł.

– Doskonale.

Miasteczko Rowieski, górny bieg rzeki Podkamienna

Tunguzka, Kraj Krasnojarski, Syberia, Federacja Rosyjska,

rok 2025

– Nie znoszę, jak dostaje się do oka – powiedziała Eda w ojczystym niemieckim.

– Obawiam się, że będziesz musiała po prostu je na to przymknąć – odparł Klaus, a potem teatralnie westchnął i udał, że wyciera sobie powiekę.

Rozległ się chichot kilku innych prostytutek, które znały niemiecki. *To nie jest podglądactwo*, powiedział sobie Prorok, słuchając tłumaczenia ich rozmów. *No dobrze, jest*, przyznał, ale nie ma ono nic wspólnego z seksem w burdelu pod jego kryjówką na strychu. Znał już na pamięć wszystkie standardowe reakcje dziewczyn. Podglądał ich życie. Wiedział, że Klaus jest zazdrosny o kości policzkowe Władimira. Wiedział, że Eda jest wciąż dość młoda, by marzyć o scenariuszu rodem z Pigmaliona. Wiedział, która ukrywa ciążę. Kto jest czyim kochankiem. Słyszał ich macronetowe rozmowy z przyjaciółmi i rodzinami, kłamstwa, które im opowiadali, potem płacz.

To nie były te minione obmierzłe czasy seksualnego niewolnictwa i mafii. Dom Rozkoszy Nataszy był zarejestrowany, należał do związków i Prorok nie byłby zaskoczony, gdyby odkrył, że jego właścicielem jest CELL. Chyba już wszystko należało do tej organizacji; w końcu miasteczko istniało po to, żeby obsługiwać jej kopalnię kobaltu. Prorok był przekonany, że to tylko przykrywka, umożliwiająca im kontynuowanie badań nad Kraterem Tunguskim. Jednak tysiące lat społecznego ostracyzmu wobec tych, którzy wynajmowali swoje ciała dla uciechy innych, nie były błahostką, o której można zapomnieć z dnia na dzień.

To było życie, któremu się przysłuchiwał, które szpiegował. To był świat, od którego skutecznie odcinał go nanoskafander.

Warunki pracy prostytutek nie były najlepsze, ale Prorok odkrył, że niezależnie od

tego, jak było im ciężko, na przykład wtedy, gdy jakiemuś górnikowi puszczały hamulce wskutek zbyt dużej ilości środków podnoszących wydajność pracy, nigdy nie opuszczał ich humor. Przypominały w tym żołnierzy. Ostatnim razem, kiedy klient stracił panowanie nad sobą, niewiele brakowało, żeby Prorok interweniował – na szczęście ochrona pojawiła się, zanim gość zdążył do końca pociąć chłopaka.

Wiedział, że robi to tylko po to, by oderwać się od rzeczywistości. Burdel, schodzenie późną nocą z dachów na przemrożone ulice. Zagłądanie przez okna do domów ludzi, którzy wiedli jakieś życie, wiąźali koniec z końcem w nowej gospodarce. Kiedy podglądał rodziny stłoczone wokół terminali Macronetu, jakby te dawały ciepło, za każdym razem słyszał rozmowy o CELL. CryNet Enforcement & Local Logistics. Firma zajmująca się doradztwem w dziedzinie bezpieczeństwa – innymi słowy najemnicy, jak ich dawniej nazywano – która tak okropnie spaprała sprawę inwazji Cepidów w Nowym Jorku, zdołała zachować pozory kompetencji wystarczająco długo, by przekształcić się w dostawcę energii. Była to przemiana godna wyjątkowo zdeprawowanego feniksa, uznał Prorok.

– Wiem, co robisz – powiedział Psycho z drugiego kąta strychu. Żołnierz w nanoskafandrze oglądał na przenośnym ekranie macronetowy serwis informacyjny. CELL wystrzeliła na orbitę sieć satelitów, mającą wspomóc dzieło zamieniania ruin Nowego Jorku w olbrzymi generator energii.

Z zespołu nanoskafandrów został mi tylko Psycho, pomyślał Prorok. Pozostali go opuścili. Poszli swoimi drogami albo przechwyciła ich CELL. Albo po prostu stracili wiarę w misję. Babeczka, Bandyta, Ognisty Smok i Lazy Dane, który coraz bardziej dziwaczał. Półtora roku uderzeń na strefy obecności Cepidów. Auckland, Wuhan, Tokio, potem w pojedynkę ostatnia akcja pod Petersburgiem. Wtedy nawet on sam musiał przyznać, że zapomina, kim jest. *Kim byłem kiedyś*, poprawił się w myślach. Teraz został mu tylko wierny Michael Sykes. Psycho, który prędzej przybiłby sobie lewe jajo do ziemi i się odczołgał, niż zawiódł kumpla. Ale Psycho nie rozumiał, zresztą żaden z nich nie rozumiał, że to nie jest zlecenie, to nie jest najemnicza fucha, tu nie chodzi o lojalność wobec przyjaciół ani, niestety, o dojebanie CELL. *Chodzi o przetrwanie, koniec, kropka, my przeciwko nim, bajka stara jak świat*, pomyślał Prorok.

– Słuchasz tej swojej pieprzonej telenoweli, prawda? – spytał Psycho. Ton jego głosu zdradzał, że chce Prorokowi dokuczyć. Prorok starał się go zignorować. – Co? Nie chcesz ze mną gadać? Jestem praktycznie jedyną opartą na węglu formą życia, z jaką ostatnio obcuje!

Prorok wciąż nie zwracał na niego uwagi i Psycho zamilkł. Potem zaśmiał się

krótko, nieszczerze.

– Przykro mi, że nie możesz skoczyć na dół na szybki numererek.

– Marnotrawstwo czasu tutaj też mi się nie uśmiecha – prawie odwarknął Prorok. – Myślałeś, że będzie łatwo?

Wstał i rozejrzył się po pomieszczeniu. Przestronny strych z widocznymi drewnianymi belkami. Budynek, w którym mieścił się burdel, wzniesiono podczas jednej z syberyjskich gorączek złota z wydobywanego na miejscu kamienia. Stał przy głównym skrzyżowaniu miasteczka. Nikt nigdy nie zabrał się za położenie dróg z prawdziwego zdarzenia i ulice pokrywało obecnie zamarznięte błoto. Prorok wyjrzał za okno. Widział blask jaskrawego neonu, odbijający się w opadających powoli płatkach śniegu.

– Ty nie tracisz czasu, stary, ty się zupełnie pogubiłeś.

Teraz powie o Petersburgu, pomyślał Prorok. Słyszał już tę śpiewkę.

– W Petersburgu straciłeś panowanie nad sobą, dobrze wiesz. Dla Ognistego Smoka to była kropla, która przepełniła czarę.

Prorok wiedział, że Psycho ma rację. Problem w tym, że uświadomił to sobie dopiero po fakcie. Wtedy wszystko wydawało mu się całkowicie logiczne. Oni byli tymi złymi. Potrzebował dostępu do technologii Cepidów. Potrzebował informacji, musiał upgrade'ować zbroję. Musiał mieć dość sił na chwilę, kiedy znajdą to, czego szukał.

– A ten sprzęt Cepidów? Wiem, że dzięki niemu daliśmy radę w Nowym Jorku, ale on cię zmienia, stary. Zmienia cię w...

– W jednego z nich?

– Nie to chciałem powiedzieć.

– Od kiedy to tak zmiękłeś?

Psycho groźnie zmrużył oczy.

– Uważaj – powiedział cicho.

– Jesteśmy na wojnie. Nie jestem już człowiekiem. Jestem czymś innym. Musisz się zacząć do tego przyzwyczajać. Jeśli trzeba zamienić się w jednego z nich...

Psycho tylko się na niego gapił.

– Czego ty ode mnie chcesz, Psycho?

– Czegoś, co mnie przekona, że jesteśmy na właściwym tropie. Jakiegoś dowodu, że to rzeczywiście prawda.

– Tunguska była tam, gdzie Hargreave i Rasch pierwotnie znaleźli...

– Wiem.

– To musi być tutaj.

Psycho westchnął i oparł się o ścianę. Górna połowa jego okrytego nanoskafandrem ciała zniknęła w półmroku.

– Tym razem musimy być precyzyjni... Nie spieszyć się, przeszukać wszystko...

– Nie mamy żadnych danych, Proroku. Działamy w oparciu o myślenie życzeniowe.

Prorok odwrócił się gwałtownie do Brytyjczyka; skafander automatycznie przeliczył możliwości ostrzału i przekonfigurował się w gotowość bojową. Psycho zobaczył tylko nieludzką zasłonę hełmu. Wiedział, że jego własny skafander wysyła sygnały identyfikacyjne. Najbardziej jednak martwiło go graniczące z pewnością prawdopodobieństwo, że twarz skryta pod tą zasłoną nie jest wcale bardziej ludzka niż obco wyglądająca zbroja.

– Nie ufasz mi, po tym wszystkim? To tu jest. Musi tu być.

– To samo mówiłeś w Wuhan, Auckland i Petersburgu. To coś nie istnieje, Proroku. Zdaje mi się, że o tym wiesz. Musisz się tylko obudzić.

Prorok zerwał się i przebiegł przez strych, zapominając, że musi uważać na ludzi w burdelu na dole – mogliby przecież usłyszeć jego kroki. Stał nad Psycho.

– Nie... Istnieje zagrożenie... Cepidy.

– Już nie żyją, rozumiesz? – wyartykułował spokojnie Psycho, patrząc na Proroka. – Nie ma już obcych. Stoczyliśmy wojnę i wygraliśmy. Świat poszedł do przodu, a ty zostałeś w miejscu, stary.

– Nie wiesz, co widziałem... – Prorok nachylił się nad Brytyjczykiem.

– Gdzie? – spytał ostro Psycho. – W swojej głowie?

– To były wizje. – Sam Prorok był świadom, jak słabo to zabrzmiało.

– Co? Nasłane na ciebie przez obcych? – powiedział już ciszej jego towarzysz. – Bardzo wiarygodne źródło. Proroku, działamy na oślep. Zespoleni ze skafandrami, podłączeni do technologii obcych, cierpimy na zaburzenia pourazowe. Zabiliśmy mnóstwo ludzi. Zabijaliśmy jak bogowie...

Prorok wyprostował się.

– Uważasz, że zwariowałem.

Psycho się podniósł i stanął twarzą w twarz z przyjacielem.

– Wiadomo, że było nam ciężko. Pomyśl, co robiliśmy, zwłaszcza co przeszedłeś ty sam.

– Już mi nie ufasz?

– Prorok, chłopie, wiesz, że poszedłbym za tobą na koniec świata... – Psycho zaśmiał się i uniósł ręce. – Bo właśnie tu jesteśmy. Będę strzelał, w co mi każesz, ale to już półtora roku i wciąż ani śladu.

Prorok nachylił się ku niemu. Psycho ani drgnął. Patrzył tylko w zakrytą zasłoną

twarz.

– Sęk w tym, że ja wiem. Wiem, co nadchodzi. I wiem, że mi się to nie odwidzi.

– Czy ty słyszysz sam siebie? – zapytał smutno Brytyjczyk.

Prorok odwrócił się i odszedł.

– I co teraz zrobimy? Zostaniemy najemnikami? Pójdziemy pracować jako karabiny do wynajęcia, jak ty, kiedy cię znalazłem w Meksyku? A może mam się od razu zgłosić do szpitala dla weteranów na badanie psychiatryczne?

– Uważam, że... byliśmy tak pochłonięci polowaniem na to coś, że nie zwracaliśmy uwagi na to, co się dzieje. Wykupują świat.

– CELL? – spytał Prorok, niezdolny ukryć pogardy w głosie. Psycho pokiwał głową.

– A mówisz, że to ja mam obsesję.

– Oni przynajmniej, kurwa, naprawdę istnieją! – warknął Psycho. – Widzę chciwą korporację, która przejmuje władzę nad światem, która zabija każdego, kto staje jej na drodze, i cholernie się boję.

– A jaka to teraz różnica, kto rządzi? To polityka ludzi.

Psycho znieruchomiał.

– Ty nieczuły bydlaku – powiedział i zajął się swoim sprzętem w kącie. Prorok złapał go za ramię.

– Psycho, zaczekaj...

Brytyjczyk odwrócił się do niego gwałtownie.

– Nie, sam se, kurwa, czekaj. Ostatnio chyba ździebko zbyt poważnie traktujesz swoją ksywę, nie sądzisz? Powinniśmy walczyć z draniami, którzy dymają nas i resztę ludzkości. Nie żebyś się do niej jeszcze zaliczał! Nie powinniśmy szukać jakiegoś mitycznego alfa-Cepida! Z tymi skafandrami mamy szansę.

Z głosu Psycho przebijała pasja, której Prorok u nikogo nie słyszał od bardzo dawna – może nigdy. Analiza przeprowadzona przez systemy skafandra wskazywała, że Brytyjczyk naprawdę wierzy w to, co mówi.

– Jak chcesz walczyć z firmą? No jak? Wybierzesz się na zgromadzenie rady nadzorczej i zaczniesz pruć dookoła? – spytał ostro Prorok.

– Jeśli będzie trzeba... – odparł stanowczo Psycho. Prorok znów sprawdził analizę głosu. Brytyjczyk mówił prawdę. – Wracajmy do Nowego Jorku, dokończmy to, co zaczęliśmy. Wydrzijmy CELL serce i wepchnijmy im je do gardła.

Brzmiało kusząco. Nie dlatego, że Prorok też w to wierzył. Jemu naprawdę było wszystko jedno, kto rządzi. Perspektywa kusiła, bo obiecywała jakieś życie. Może ciężkie, brutalne i krótkie, ale ludzkie. Wiedział jednak, że obrazy, które stały się jego udziałem, wizje przyszłości, nigdy nie znikną mu sprzed oczu.

– CELL nie jest celem misji... – zaczął.

– Zawsze byłeś takim grzecznym, posłusznym dzieckiem, co, Prorok? Robiłeś, co Hargreave ci kazał, kiedy wyciągnęli cię z tamtej afery. Nie przyszło ci do głowy, że coś ci zrobili, że to skafander sprawia, że nie chcesz zająć się CELL, że robisz, co ci każą?

Prorok w jednej chwili znalazł się po drugiej stronie pomieszczenia. Złapał Psycho za gardło i podniósł do góry. Zaczął ścisnąć.

– Wiesz, co mi zrobili?! – wrzasnął, ale wściekłość minęła równie szybko, jak przyszła. Puścił Brytyjczyka.

– Nikomu nie pozwalam się bezkarnie dotykać! – wściekł się Psycho. Jego skafander płynnie przeszedł w stan gotowości bojowej. Prorok widział, że londyńczyk jest o krok od rzucenia się na niego.

– Psycho, ja...

Coś się zmieniło. Prorok dopiero po chwili zorientował się, co. Rytm miasta zabrzmiał jakoś inaczej. Zrobiło się ciszej. Prorok przeleciał szybko po różnych częstotliwościach. Nic. Zamilkła nawet firma, która zajmowała się w Rowieskach utrzymywaniem porządku.

Martwe usta wygięły się w uśmiechu – śmiertelnym grymasie. Szybko się uczyli. Głównie utrzymywania ciszy w eterze. Prorok słyszał warkot silników, skafander sortował, dzielił i analizował odgłosy. Na HUD-zie zaczęły pojawiać się obrazy wydających je pojazdów.

– Co?

– Masz swoją szansę – szepnął Prorok.

Obaj usłyszeli, jak wyjście ewakuacyjne kilka pięter niżej przebija wytłumiony, pneumatyczny taran. Dobiegł ich tupot butów na schodach.

Psycho sięgnął po swojego gaussa, sprawdził go pospiesznie.

Pora nadać wiadomość, pomyślał. Wszystkie podłączone do Macronetu urządzenia łącznościowe w Domu Rozkoszy Nataszy zaczęły natarczywie popiskiwać, odebrawszy priorytetową wiadomość tekstową: Nie znacie mnie, ale ja znam was. Zaraz zdarzy się coś bardzo złego. Wszyscy musicie natychmiast uciekać.

Nawet gdyby uwierzyli w wiadomość, Prorok wiedział, że na ewakuację nie starczy czasu. Marny los czekał prostytutki, stałych klientów, nadzorców i ochroniarzy, których życiem żył z ukrycia przez ostatnie kilka dni. CELL chciała odzyskać swoje zabawki; co więcej, w tym konkretnym przypadku zamierzała pozbyć się resztek tkwiącego w nich trupa, nieważne, kto kierował jego głową.

Prorok wstał i ruszył w kierunku świetlika na frontowej ścianie. Okienko

wychodziło na skrzyżowanie zamarzniętych, błotnistych ulic przed burdelem. Strych załało zimne, niebieskie światło. Zasłona hełmu skafandra automatycznie pociemniała. Prorok słyszał ryk silników samolotu pionowego startu, który dotrzymywał mu kroku i zaglądał snopem światła w inne okna.

Powinien przejść w tryb maskujący, wiedział o tym – Psycho już to zrobił – ale chciał, żeby zanim się zacznie, zobaczyli, z czym mają do czynienia. Chciał się przekonać, jak bardzo się boją.

– Prorok, oglądałeś Butcha Cassidy’ego i Sundance Kida? – spytał Psycho przez łącze skafandra.

Prorok dotarł do świetlika na froncie budynku. Spojrzał w dół, na zamarznięte ulice. Może nie docenił tego, jak bardzo CELL chciała odzyskać skafander. Ulica była pełna. Transportery piechoty, Bulldogi, opancerzone pojazdy ochrony, przynajmniej cztery samoloty pionowego startu krążące powoli w górze i mnóstwo żołnierzy. HUD pokazywał absurdalną liczbę celów, a cała broń, jaką rejestrował – od pistoletów maszynowych, przez działka pojazdów, po wyrzutnie rakiet – była wycelowana w strych.

Z brzękiem tłuczonego szkła Prorok wyszedł przez świetlik na zewnętrzny gzyms. Pochwyciły go kolejne reflektory, zasłona hełmu pociemniała jeszcze bardziej. Usłyszał krzyki wzmocnionych sprzętowo głosów. Uznał za absurd, że nie wiedzieć czemu ich polecenia były powtarzane po rosyjsku.

Powoli powiódł spojrzeniem po zmasowanych siłach CELL. A potem ruszył...

Sekta

Departament Antioquia, północna Kolumbia, rok 2019, operacja Scarface (antynarkotykowa operacja połączonych sił kolumbijskich, amerykańskich i brytyjskich)

Zawsze musi być ten pierwszy raz. Pamiętał swoją pierwszą strzelaninę. Był przerażony, ale dał sobie radę, wyszkolenie przewyciężyło strach. *Co próbował udowodnić tutaj?*, przemknęło mu przez głowę. Zaraz po: *Powinienem był użyć czterdziestki piątki.*

Barnes wiedział, że podejrzenie gardła to nie jest jedno gładkie cięcie, trzeba się trochę napiłować. Kiedy wychynął z zarośli, najemnik zaczął się obracać. W dawnych czasach kartele z Medellin i Cali używały do szkolenia swoich ludzi byłych wojskowych z Wielkiej Brytanii, USA i Izraela. Nowe kartele korzystały ze wschodnioeuropejskich weteranów, często po służbie w Specnazie, zarówno w roli instruktorów, jak i wsparcia własnych sił.

Barnes oplątał sobą mężczyznę, powalił go na ziemię, żeby móc kontrolować jego ruchy, i zaczął rżnąć mu gardło; jednocześnie zdał sobie sprawę, że tamten umie walczyć. Najemnik wiedział, co w takiej sytuacji robić, jak reagować, wiedział też, że rozpaczliwie pragnie żyć. Krótko mówiąc, cichy atak nie poszedł Barnesowi tak dobrze, jak się spodziewał.

Arteria, arteria, odciąć dopływ krwi do mózgu, tchawica, żeby nie krzyczał. Mocno ścisnąć, nie pozwolić palcom zagrozić drogi nożowi. Barnes niemal ujeżdżał przeciwnika na małej polance nad doliną Ferranto, robiąc dość hałasu, by ostrzec mieszkańców Bogoty, że właśnie ktoś kogoś morduje.

Najemnik kartelu znieruchomiał. Porucznik Laurence Barnes, 1. Grupa Operacyjna Sił Specjalnych – Delta, nie przestał piłować, dopóki nie nabrał pewności, że tamten jest martwy na dobre. Osunął się, zlany potem, z trudem łapiąc oddech. Prawą rękę miał we krwi po łokieć. To był jego drugi błąd tego dnia.

Drugi najemnik wyłonił się bezgłośnie z dżungli, z karabinem szturmowym w gotowości. Na widok tego, co zobaczył, nie zmienił mu się nawet wyraz twarzy. Wycelował lufę karabinu w Barnes'a, który pospiesznie sięgnął po pistolet. Wiedział,

że nie zdąży. Żołnierz kartelu miał go w garści. Twarz najemnika rozmazała się nagle, zmięła, jakby zapadła w sobie. Potem znowu, kiedy trafił ją drugi wytlumiony pocisk. Szok hydrostatyczny oderwał mężczyźnie czubek głowy. Z czerwoną miazgą w miejscu twarzy runął na ziemię.

Dzięki, Earl, pomyślał Barnes. Usłyszał dobiegające spomiędzy pobliskich drzew dwa odgłosy podobne do kaszlnięć – jeszcze co najmniej jeden żołnierz kartelu zginął zastrzelony z broni z tłumikiem. Barnes zdecydował się na nóż zamiast wytłumionego hecklera&kocha Mk.23 kaliber .45 z obawy, że błysk ognia wylotowego ostrzeże innych ludzi kartelu z Antioqui i ich sprzymierzeńców z FARC. Szczerze mówiąc, wybrał nóż także dlatego, że chciał w końcu mieć na koncie przeciwnika zabitego nożem – jako nowy porucznik w Delta Force chciał zaskarbić sobie szacunek swoich ludzi. Zwłaszcza że przyszedł z 82. Powietrznodesantowej, a nie z Sił Specjalnych czy Rangersów, jak to najczęściej bywało w Delcie. To była szczeniacka zagrywka, zwłaszcza na tym poziomie, i skarcił się za nią w myślach.

Zrzucił z siebie najemnika i wrócił myślami do chwili obecnej. Wytarł nóż o zwłoki, schował go do pochwy. Klęcząc, podniósł karabinek M4 CQB, niechcący brudząc krwią zabitego podwieszany granatnik M203 40 mm. Obejrzał szybko broń, sprawdzając, czy nie została uszkodzona w szamotaninie; na pierwszy rzut oka nic się jej nie stało.

Spomiędzy drzew wyłoniła się Chavez. Trzymała mocno obiema rękami swój M23 z tłumikiem. Sądząc po tym, skąd wyszła, to właśnie jej strzały słyszał Barnes. Chavez była raczej średniego wzrostu jak na kobietę, ale jemu zawsze wydawała się drobniutka. Wyglądała na zbyt małą w stosunku do dźwiganego ekwipunku, nigdy jednak nie miała problemu z nadążeniem za resztą. Była jedną z nielicznych kobiet w siłach specjalnych. Barnes wiedział, że musiała ciężko pracować, żeby ją zaakceptowali, zarówno jako kobietę, jak i polowego kontrolera ruchu Sił Powietrznych. Kontrolerzy byli dołączani do jednostek sił specjalnych takich jak Delta czy Navy SEALs w celu koordynowania wsparcia powietrznego ich działań. W Afganistanie i Iraku komandosi narzekali, że kontrolerzy nie są wyszkoleni tak dobrze jak oni, i że nie dają sobie rady. Chavez, z tego co Barnes widział, została całkowicie zaakceptowana przez grupę zwiadowczo-snajperską Szwadronu D, na pewno bardziej niż on sam, zważywszy na jego niedawny popis.

– Co jest, poruczniku? Prawie urznął mu pan łeb.

Obok Barnes'a pojawił się T, skrót od Thomas, nigdy Tom ani Tommy. Barnes zerknął na sierżanta, ale w głosie kaemisty/sanitariusza nie było słychać wyrzutu. Może odrobinę zatroskania. Był najstarszym z czwórki, w teorii zastępcą porucznika,

ale Barnes lubił zdawać się na starszego podoficera w kwestiach operacyjnych, samemu ucząc się na jego przykładzie. Sierżant był nie tylko przyjaźnie nastawiony, co nie zawsze zdarzało się w siłach – był także wytrawnym zawodowcem. Przed przenosinami do Deltę służył w 1. Siłach Specjalnych. Nigdy nie wspominał o matce, Barnes wiedział natomiast, że jego ojciec wciąż pracuje w Służbie Leśnej Departamentu Rolnictwa Oxbow Quadrangle w stanie Montana, niedaleko granicy Idaho i Kanady.

– Chavez i ja załatwiliśmy jeszcze dwóch w lesie. Tego zdjął Earl... – T wskazał ruchem głowy drugiego zabitego na polance najemnika. – ...i kryje nas stamtąd – skinął w kierunku niewielkiego wzniesienia wśród drzew.

Barnes tylko przytaknął.

T odkręcił tłumik ze swojego M23 i schował broń do kabury. Przygotował M249 SPW, specjalny wariant armijnego M249 SAW.

Przyklęknął przy najemniku zabitym przez porucznika. Palcami w rękawicach rozwarł mężczyźnie usta i obejrzał jego zęby.

– Tak, na sto procent wschodnia Europa, widać to po robocie dentystycznej. – Zerknął na zakrwawione ramię Barnesesa. – Musi pan to zmyć, bo zlecą się muchy.

Znajdowali się na krawędzi stromego zbocza, wysokiego na jakieś sto trzydzieści metrów, nad wąską, spadzistą doliną Ferranto. Cała okolica była matecznikiem kartelu z Antioqui, dziedziców terytorium kartelu z Medellin i jego okrutnej spuścizny. Działali w północnym Departamencie Antioquia, rejonie kontrolowanym przez partyzantów z FARC od czasu ich ofensywy w 2011 roku, co utrudniało ingerencję kolumbijskiemu rządowi.

Jednak kartel posunął się o jeden krok za daleko, kiedy wysadził samolot rejsowy, żeby zabić nowego kolumbijskiego ministra obrony narodowej. Minister siedział w kieszeni kartelu z Norte del Valle i ich sprzymierzeńców, prawicowej partyzantki FAUC z południa. Samolot był amerykański, a eksplodował w brytyjskiej przestrzeni powietrznej, w drodze z Londynu do Bogoty. Rządy amerykański i brytyjski zaczęły naciskać na Kolumbię, żeby zezwoliła na działania ich sił zbrojnych na północy kraju w celu „wspomożenia” własnych wojsk w rozprawie z kartelem i FARC. Zwolennicy teorii spiskowych już obwiniali za zamach CIA, twierdząc, że agencja potrzebowała pretekstu do wyeliminowania lewicowego zagrożenia u progu Ameryki.

Barnes znał tę teorię i uważał, że jej propagatorzy nie mają pojęcia, jak bardzo amerykański rząd boi się kolejnego fiaska w stylu Wietnamu.

Ruszył w kierunku strumyka płynącego na skraju polany, żeby opłukać rękę. T złapał go za ramię.

– Ktoś może zobaczyć krew w wodzie w dole nurtu. Niech pan użyje wody z manierki, a potem napełni ją ze strumienia.

Barnes pokiwał głową i postąpił zgodnie z sugestią sierżanta, dodając do manierki kilka tabletek oczyszczających. Postanowił też, że to będzie jego ostatnia pomyłka tego dnia – a jeśli mu się uda, to i w całej operacji Scarface.

Podczołgał się do krawędzi urwiska. Chavez nawiązała kontakt z dyżurnym Sił Powietrznych w Połączonym Dowództwie Operacji Specjalnych w Medellin. T zabezpieczał tyły.

– Może niech pan namierzy, a ja zgłoszę, co, poruczniku? – spytała Chavez podczas przerwy w rozmowie przez radio. Barnes przytaknął. Przez lunetę M4 spojrział w głąb doliny na ich cel. Kiedyś było to ranczo, teraz umocniony kompleks należący do Diego Ramiraza, głównego specja od brudnej roboty kartelu z Antioqui, uważanego za organizatora zamachu lotniczego oraz człowieka bezpośrednio lub pośrednio odpowiedzialnego za śmierć ponad pięć tysięcy ludzi w wojnach gangów, zamachach bombowych i strzelaninach na całym świecie.

– Będzie wesoło. Kurwa, jak w Afganistanie.

Chavez była permanentnie rozzłoszczona i bez przerwy przeklinała. Mówiła ulicznym slangiem, ale Barnes wiedział, że pochodziła z szanowanej rodziny klasy średniej z Harlemu. Rozumiał jednak, o co jej chodziło. Kiedy pierwszy raz zobaczył mapy i satelitarne zdjęcia rejonu, pomyślał, że umiejscowienie bazy Ramiraza w dolinie Ferranto to samobójstwo. Ludzie kartelu tkwili tam niczym w pułapce. Kompleks był jednak prawie całkowicie zasłonięty skalnym nawisem przeciwległego zbocza. To, w połączeniu z wąską doliną, sprawiało, że zniszczenie go uderzeniem z powietrza było bardzo trudne. Tym trudniejsze, jeśli prawdą okazałyby się zebrane przez wywiad pogłoski o systemie bunkrów w samym klifie.

Barnes wypiął z szelek kanciasty wskaźnik laserowy i przygotował się do „naznaczenia” kompleksu. W dole panowało duże ożywienie, ciężarówki i terenówki wyposażone w uzbrojenie po zęby najemnikami wyjeżdżały w dżunglę i wracały. Dolina Ferranto mogła sprawiać wrażenie pułapki dla Ramiraza, ale gdyby atak z powietrza zawiódł, amerykańskie, brytyjskie i kolumbijskie siły musiałyby zaatakować tradycyjną metodą, a wtedy walka byłaby zacięta.

– Dwa myśliwce w drodze – zameldowała Chavez. Barnes kiwnął głową. – Tu Jad dwa-cztery do dowódcy Sępów: dobra, ogierze, słuchaj mnie uważnie.

Mówiła do pilota pierwszego z dwóch myśliwców bombardujących FB-22 Wyvern, nowo wprowadzonych do służby modeli, wywodzących się z myśliwców przewagi powietrznej F-22 Raptor.

– Musicie nadlecieć powoli i nisko, rozumiecie? Dupy przy ziemi albo nic z tego nie będzie, odbiór.

Barnes nie słyszał odpowiedzi, ale podobno wielu pilotów macho nie lubiło stylu Chavez. Ona sama miała to gdzieś. Ostatecznie nie było ich tu na dole, po uszy w gównie.

Usłyszeli odrzutowce, zanim zdążyli je zobaczyć. Grzmot ich silników poniósł się echem nad doliną. Barnes zobaczył, jak kładą się mocno na skrzydło i zmniejszają pułap, wlatując między urwiska. Skupił się z powrotem na namierzaniu kompleksu. Promień wskaźnika był niewidoczny, nie licząc miejsca, w którym dotykał ściany głównego budynku.

– Za szybko – mruknęła Chavez pod nosem. – Przerwali podejście.

Barnes spojrział w dolinę. Na tle błękitu nieba zobaczył smugę kondensacyjną rakiety. Oba Wyverny szły świecą pionowo w górę. Na pełnym ciągu z łatwością uciekły przed pociskiem. Spadł deszcz dipoli i rakiet zdetonowała daleko od myśliwców.

– Stinger? – spytał Barnes.

Chavez kiwnęła głową.

– Jad dwa-cztery do Sępa dwa. To nie było pieprzone stanowisko SAM, tylko wieśniak z rurą. Wracać mi tu kurwa i dokończyć robotę, odbiór. – Barnes wiedział, że operatorka dostanie za to upomnienie. Zrobi, co będzie mógł, żeby ją obronić. – *Pindago* dupek, jaki to problem wystrzelić samonaprowadzający?

– Spokojnie, Chavez – powiedział cicho T za nimi.

– Znajdę tę męską *puta* i zatłukę gnoja na śmierć jego własnym joystickiem. – Ucichła, nasłuchując komunikatów. Podała Barnesowi słuchawki łącza satelitarnego. – Chcą z panem mówić.

Barnes wziął słuchawki i posłuchał.

– Dowódca Jadu do Rapiera Głównego, odebrałem i zrozumiałem. – Oddał sprzęt z powrotem Chavez, a potem wcisnął guzik nadawania na własnym radiu, żeby Earl też go słyszał. – Dobra, misja przerwana...

– Cipki... – mruknęła Chavez. Porucznik rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Wiedział, że według niej siły powietrzne ich zawiodły, ale musiała sobie z tym poradzić w milczeniu.

– Dostaliśmy nowe zadanie. Tu jesteśmy odsłonięci, więc cofamy się pięć klików i tam wam powiem, co i jak. Earl, idziesz przodem.

Barnes spojrział na mapę, osłaniany przez Chavez i T. Podał Earlowi koordynaty, a potem cała trójka zagłębiła się w dżunglę. Gdzieś przed nimi szedł Earl.

Połączone Dowództwo Operacji Specjalnych ds. Operacji Scarface, Medellin

Major Harold Winterman gapił się na nowo przybyłego, jakby ten właśnie naniósł do sztabu psiego łajna. Potem spojrział na rozkaz, który właśnie otrzymał od Połączonych Szefów Sztabu, jakby owo łajno trzymał w ręku.

Ludzie Wintermana znali go jako zimnego zawodowca. Musiał nim być, skoro powierzono mu dowodzenie wszystkimi zadaniami specjalnymi w ramach operacji Scarface. Nigdy nie widzieli swojego dowódcy tak bliskiego utraty panowania nad sobą. Przeczuwali też, że byłoby to niezłe widowisko.

Obiekt gniewu Wintermana stał przed nim w świeżo wyprasowanym, nowiutkim mundurze w dżunglowym kamuflażu, ale nosił się jak ktoś, kto umie poradzić sobie w każdej sytuacji; po tym, jak wymówił słowa „majorze Winterman”, lepiej byłoby dla niego, żeby okazało się to prawdą.

– Co to, do kurwy nędzy, jest CELL? – warknął major.

– CryNet Enforcement & Local Logistics – odparł wysoki, brązowowłosy, dobrze zbudowany mężczyzna. – Część Hargreave-Rasch.

– Jesteście wojskowymi podwykonawcami? – spytał Winterman, z trudem nad sobą panując. Nieznajomy w nowym mundurze przytaknął. – W takim razie. Co. Pan. Kurwa. Tu. Robi? Pojawia się pan w moim dowództwie i wydaje mi rozkazy?

Major rozważał, czy nie kazać mężczyzny rozstrzelać. Właściwie kusilo go, żeby zrobić to własnoręcznie, a potem kazać rozstrzelać warty, które go wpuściły.

– Nie ja. To Szefowie Sztabu, czyli pańscy pracodawcy. Rozkazują także spełniać wszystkie moje ewentualne prośby. Z praktycznego punktu widzenia dowodzę tu ja.

– Nie jestem pewny, czy tak można interpretować te rozkazy... – zaczął gniewnie Winterman.

– Mam to w dupie – przerwał mu nieznajomy. Ludzie majora głośno wstrzymali oddech. Winterman zrobił krok do przodu, podobnie jak żołnierz Delt, który został mu przydzielony jako obstawa. – Nie podobają się panu rozkazy, to niech pan zrezygnuje z dowodzenia i pójdzie się wypłakać do kąta. Porównaliśmy już fiuty i mój jest większy. Czy teraz możemy się zająć bieżącymi sprawami, czy mam pana kazać aresztować za niesubordynację?

Winterman dygotał z wściekłości. Bardzo chciał uderzyć tego człowieka. Nikt nie zwracał się do niego w ten sposób od czasów jego pierwszych oficerskich szlifów.

Żyła na jego czole pulsowała od ledwie powstrzymanego gniewu.

– Znam cię, prawda? – wykrztusił major. Był pewien, że gdzieś już go widział, najpewniej w Iraku.

– Nie przepadam za wami, kowbojami z sił specjalnych, ale jesteście najlepszym, co mam pod ręką do bieżącego zadania. Nazywam się komandor Lockhart. Może się pan do mnie zwracać „sir”.

Mężczyzna odwrócił się i machnął ręką na grupę cywilów, którzy stali przy wejściu. Rangersi na warcie zatrzymali ich, a potem obejrżeli się na Wintermana. Major niechętnie skinął głową.

Pięcioro cywilów rozejrzało się za miejscem do rozstawienia sprzętu, ale każdy centymetr kwadratowy sztabu wydawał się zajęty i nikt z wojskowych nie palił się do pomocy nowo przybyłym.

Winterman, powoli opanowując złość, oparł się o biurko.

– Właśnie odwołał pan misję, która mogła znacząco pomóc naszej operacji, nie wspominając już o tym, że zmarnował pan w cholere roboczo godzin i zasobów, a także odebrał siłom powietrznym szansę, żeby się wreszcie na coś przydały. – Major popatrzył gniewnie na oficera dyżurnego sił powietrznych, który szybko odwrócił wzrok. – Lepiej, żeby miał pan dobry powód.

– W dupie mam operację Scarface i mają ją tam mieć wszyscy inni w tym pomieszczeniu, dopóki nie powiem inaczej. Jad ma ze sobą kamerę?

– Tak – odparł Winterman przez zaciśnięte zęby.

Jeden z cywilów, spocony, o świńskiej aparycji mężczyzna w okularach, którego sama obecność była dla majora obrazą, podał Lockhartowi jakiś papier i tablet. Komandor popatrzył na to drugie z niezbyt zadowoloną miną, pokręcił głową i oddał urządzenie tamtemu. Kartkę przekazał kobiecie łącznościowcowi.

– Przekazać Jadowi, że mają się skierować pod te współrzędne. Mają filmować i przesyłać nagranie wyłącznie do mnie. Częstotliwości są na tej kartce. Zrozumiano?

Łącznościowiec obejrzała się na Wintermana. Lockhart zrobił to samo.

– Chcę wiedzieć, co pan robi z moimi ludźmi – powiedział major.

– Nie, wcale pan nie chce. – Komandor na moment się zamyślił. Zerknął na łącznościowca, potem znów na majora. – Każę pana aresztować, jeśli nie wykona pan mojego rozkazu. Zostanie pan osądzony polowo za niewykonanie bezpośredniego polecenia Połączonych Szefów Sztabu. Zakładając, że jeszcze będzie pan oficerem Armii Stanów Zjednoczonych.

Twarz Wintermana stała się maską z trudem kontrolowanej wściekłości. Odwrócił się do łącznościowca i kiwnął głową.

– Ho, ho, patrzcie no państwo, jaki twardziel – nieoczekiwanie zabrzmiał zdecydowanie nieamerykański głos.

Lockhart spojrzął w kąt namiotu. Zobaczył krępego, mocno zbudowanego mężczyznę z ogoloną głową, który siedział rozparty na krześle, z butami na blacie składanego stolika. Obejrzał się na majora. Winterman wzruszył tylko ramionami. Obok speszonego przedstawiciela sił powietrznych reprezentant brytyjskiej armii był jego największym utrapieniem. Major był przekonany, że SAS podesłało mu tego prostaka złośliwie. Brytyjscy komandosi wydawali się czerpać wyjątkową przyjemność z dokuczania amerykańskim siłom specjalnym. Przynajmniej tym razem nie wrzucali do namiotów domowej roboty bomb z butelek coca-coli, które obryzgiwały śpiących żołnierzy gazowanym napojem.

– Nazwisko i stopień, żołnierzu – rozkazał Lockhart. Brytyjczyk przepraszająco pokręcił głową.

– Przykro mi, stary, ale są zastrzeżone, a w przeciwieństwie do tego oto człowieka – wskazał majora – nie podlegam dowództwu waszych Połączonych Szefów Sztabu.

Winterman z zadowoleniem skonstatował, że komandos jest bezstronny w swojej złośliwości. Lockhart popatrzył wilkiem na Brytyjczyka, Brytyjczyk odpowiedział mu uśmiechem.

– Wypierdalaj z mojego sztabu – warknął komandor.

– Obawiam się, że tego też nie mogę zrobić. Bo widzi pan, mam rozkaz tu być, a posłuszny ze mnie chłopiec.

Lockhart wziął głęboki oddech. Teraz to on musiał powściągnąć wściekłość. Odwrócił się do najstarszego stopniem podoficera Rangersów, którzy pilnowali namiotu.

– Wyprowadzić tego człowieka ze sztabu. Jeśli będzie stawiał opór, zastrzelić go.

Brytyjczyk tylko się roześmiał. Sierżant Rangersów nie palił się raczej do wyprowadzania gdziekolwiek komandosa SAS. Obejrzał się na majora.

– Coś wam powiem, sam się stąd wyprowadzę. Żeby nikomu czasem nic nie pękło z wysiłku. Wrócę i powiem swojemu szefowi, że nie wykonałem zadania. Bóg jeden wie, co na to powie. Pewnie dostanę solidny opieprz. Może nawet każą mnie „osądzić polowo”.

W namiocie rozległy się stłumione śmiechy. Nawet Winterman musiał powstrzymać uśmiech.

Brytyjczyk wstał i ruszył do wyjścia. Przystanął przed Lockhartem.

– Powinien pan zabrać swoich żołnierzyków i przyjść do nas. Tam by pan spróbował swojego mierzenia fiutów, ciekawe, co by wam z tego wyszło.

Lockhart nie odpowiedział, patrzył tylko z góry na niższego mężczyznę, rozdymając w gniewie nozdrza. Komandos odwrócił się i wyszedł, po drodze skinąwszy głową Wintermanowi. *Cóż, u tej zgrai to chyba najbliższe salutowi*, pomyślał major.

* * *

Barnes był przekonany, że to CIA. Zmiana misji, robienie zdjęć i przesyłanie ich, zaszyfrowanych, na nowej częstotliwości, śmierdziało wywiadem, podobnie jak brak informacji o celu i charakterystyczny brak danych wywiadowczych.

Cała trójka znajdowała się teraz głęboko w dżungli, teoretycznie daleko od wszelkich strategicznych miejsc, usiłując wymknąć się żołnierzom kartelu i partyzantom FARC. Chavez i T stali na straży. Earl wciąż się chował. Barnes studiował mapę.

– To wszystko? – spytał mimowolnie T. Porucznik czuł się w obowiązku przeprosić resztę patrolu za skąpe informacje.

– Tak – mruknął cicho. Za bardzo profesjonalnie traktowali swoją robotę, żeby podważać nowe rozkazy.

– To jakieś pieprzenie – powiedziała Chavez. – Tam coś w ogóle jest?

– Plantacja i mała wioska. Pewnie ludzi pracujących na plantacji.

– Koka? – spytał T.

– Nie – odparł cicho Barnes. – I to jest najdziwniejsze. Według informacji to jedna z nielicznych pozostałych w tej okolicy plantacji kawy.

– Może władza bierze się teraz za wojnę z kofeiną? – podsunęła Chavez. T parsknął śmiechem.

– Dobra, dość tego, Chavez – powiedział kontrolerce. – FARC?

– W teorii kontrolują ten teren, ale nie ma tu niczego, co by ich mogło interesować. Może jakaś skrytka z bronią albo narkotykami, ale nie zgadza się lokalizacja. Połączenia transportowe do dupy – odparł Barnes sierżantowi. Widział, że bardziej doświadczony żołnierz miał poważne obawy co do nowej misji.

– Idziemy na ślepo, T, wiesz o tym. Gonitwa za duchami dla Firmy – powiedziała Chavez.

– Earl, wiesz, dokąd idziemy? – spytał T przez radio.

– Jasne.- Nawet w tym jednym słowie wyraźnie słychać było mocny akcent z Missouri. Snajper pochodził z wiejskiej rodziny, która, kiedy uprawa roli wzięła w łeb, zajęła się gotowaniem metamfetaminy. Earl postanowił zrobić coś innego i wstąpił do rangersów. T mówił Barnesowi, że Earl był takim świetnym strzelcem, bo

do każdego strzału przykładał się tak, jakby od niego miał zależeć jego następny posiłek.

Sierżant spojrział na porucznika. Była to czysta kurtuazja. Barnes kiwnął głową.

– Dobra, Earl, wyprowadź nas stąd. Nie chcemy cię widzieć.

Snajper z Missouri nie odpowiedział. T i Earl pracowali ze sobą już od bardzo dawna. Cała trójka odczekała parę minut, a potem Barnes zajął szpicę, Chavez tyły i zagłębili się w dżunglę, ufając, że Earl jest gdzieś przed nimi.

* * *

Lockhart nie lubił być tak blisko doktora Ashera. Jako były marine brzydził się kimś, kto tak bardzo zapuścił się fizycznie. Do tego naukowiec cuchnął zepsutym mlekiem, tym gorzej, im było goręcej. Komandor nie miał pojęcia, skąd bierze się ten smród. Jego obrzydzenie wzmoгло się jeszcze, kiedy zobaczył akta osobowe Ashera i poczytał o jego niektórych skłonnościach. Niestety, w Hargreave-Rasch BioMedical, macierzystej organizacji CELL, doktor był niezastąpiony. Będąc z wykształcenia mikrobiologiem, Asher wyspecjalizował się w tyłu dziedzinach wiedzy, że w sytuacjach takich jak ta stał się dla korporacji bardzo pożyteczny.

Lockhart patrzył mu przez ramię na termograficzny, satelitarny obraz obszaru podejrzewanego najazdu. Na ekranie laptopa było zaskakująco dużo błękitu, jak na plantację w środku dżungli, nawet na tej wysokości.

– Nie podoba mi się, że nie używamy do rozpoznania personelu CELL – powiedział Asher. Miał wyraźny akcent wykształconego Anglika, który dla Lockharta brzmiał płaczkliwie.

– Nie zauważył pan, że tu się toczy operacja wojskowa na dużą skalę? – mruknął komandor. Nie znosił tłumaczyć zawłości wojskowego myślenia tępym cywilom. – Nie było czasu na załatwianie pozwolenia na interwencję, ale działania na najwyższych szczeblach cały czas trwają. Gdybyśmy tam teraz wkroczyli, zaczęłyby do nas strzelać obie strony.

Lockhart nie powiedział głośno, że grupa Deltę byłaby w tym lepsza niż ludzie CELL. Choć niechętnie to przyznawał, siły specjalne korporacji nie potrafiły działać na tym poziomie. Jeszcze.

– Jeśli coś znajdą, wyślemy ludzi.

– Och, oczywiście, że coś znajdą – powiedział Asher. Udało mu się zabrzmieć jednocześnie protekcyjnie i żałośnie. – Nawet człowiek o pańskim ograniczonym „wykształceniu” musi zdawać sobie sprawę, że te odczyty ciepła nie są standardowe,

nie wspominając o zaobserwowanej aktywności tektonicznej.

Lockhart odwrócił się od laptopa i wbił wzrok w naukowca. Asher nie przejął się jego nienawistnym spojrzeniem. Nie miał pojęcia, jak mało brakło, by komandor skręcił mu kark.

Lockhart wyprostował się i odwrócił, pragnąc jak najszybciej oddalić się od tego odrażającego człowieka. Zauważył, jak wpatruje się w niego Winterman. Twarz majora była zupełnie nieprzenikniona.

* * *

– Szlag by to.

Akcent Earla zmiekkł, a wypowiedane słowa stały się dłuższe. Barnes dał pozostałym znak, by się zatrzymali. Cała trójka ukryła się za osłoną, dbając o to, by mieć jak najszersze pole widzenia we wszystkich kierunkach. Porucznik zauważył, że zrobiło się zimno. Mimo wysokości, na której się znajdowali, zaskoczył go widok własnego parującego oddechu.

– Co masz, Earl? – spytał przez radio T. Doświadczonego żołnierza Delty zaniepokoiło zaskoczenie w głosie beznamietnego zazwyczaj snajpera.

– Lód – odparł Earl. Barnes uznał, że się przesłyszał; a może był to jakiś akronim, którego nie znał?

– Powtórz, odbiór – polecił T przez radio.

– Dobrze słyszałeś, T.

– Poruczniku? – Tym razem sierżant autentycznie oczekiwał od Barnes'a instrukcji.

– Earl, idziemy to sprawdzić, znajdź pozycję, żeby nas kryć.

Snajper nie odpowiedział. Barnes zerknął na T i Chavez. Sierżant znów był skupiony, za to kontrolerka wyglądała na niepewną. Dla żołnierzy sił specjalnych taki widok był rzadkością.

* * *

Wiedział, czego się spodziewać. Mówiono mu to na odprawie, ale i tak był zaskoczony. Odbierali przez łącze satelitarne ziarnisty przekaz od starszej lotnik Chavez. Asher patrzył na Lockharta z zadowoloną miną. Dżungla była zamarznięta. Wszystko skuł lód.

– No i co, komandorze? Może to anomalia pogodowa?

– Chcę dowodów.

– Skończy się na tym, że jakaś niepiśmienna małpa z karabinem dowie się o wiele

więcej, niż powinna. Mówię panu, że ten lód to efekt uboczny uwolnienia dużej ilości energii. Uruchomili tu jakąś swoją technologię.

– Pan to już widział? – zapytał Lockhart, choć znał odpowiedź. Asher westchnął.

– Nikt z dziś żyjących nigdy tego nie widział – odparł, jakby tłumaczył coś bardzo prostego wyjątkowo głupiemu dziecku.

– Wysyłam ich dalej.

Asher tylko westchnął i pokręcił głową.

* * *

– Zrozumiano, bez odbioru. – Barnes przypiął słuchawkę telefonu satelitarnego z powrotem do odbiornika na plecach Chavez. – Mamy iść do wioski.

– Jesteśmy w zupełnie nieodpowiednich ciuchach – mruknęła Chavez, rozglądając się po zimowym krajobrazie, w który zmieniła się puszcza.

Panował tu mróz, a ich tropikalne mundury nie grzały. Nie było śniegu, tylko lód. Powietrze zaskakiwało suchością, jakby cała wilgoć zestaliła się w pokrywającą dżunglę lodową skorupę. Kiedy Barnes zobaczył zlodowaciałe rośliny, kwiaty, owoce i drzewa, pomyślał, że być może jakiś bóg postanowił zachować ten wycinek lasu. Lód rozszczepiał promienie słońca jak pryzmat. Prawie wcale się nie topił. Wyglądał pięknie, choć bardzo osobliwie.

– Ubierzcie wszystko, co macie przy sobie – rozkazał porucznik. Chavez i T założyli już ciemne okulary, żeby osłabić refleksy.

– Ghillie Earla na nic mu się nie przyda – powiedział sierżant. Barnes skinął głową.

– Earl, wybacz, że psuję ci zabawę, ale przyjdź do nas.

Każde z nich przywdziało coś na siebie, osłaniane przez pozostałą dwójkę. Barnes miał ze sobą polarową bluzę i czapkę z polarową podszewką, z czego był bardzo zadowolony. Chwilę później Earl uprzedził ich przez radio, że zaraz się pokaże. Kamuflujący strój wysokiego, chudego snajpera upodabniał go do żywego wycinka dżungli, ale na lodowym tle bardzo rzucał się w oczy. Earl zdjął ghillie, podczas gdy reszta stała na straży.

– Dobra. Nie wiemy, co tu się, kurwa, dzieje, więc zakładajmy najgorsze – oznajmił Barnes pozostałym członkom patrolu. – Earl, idziesz na szpicy, ale nie uciekaj nam. T, na tył.

– Zasady użycia siły? – spytał sierżant.

– Bez zmian, ale zachowajmy ostrożność, OK?

Chavez i T przytaknęli, Earl nie odpowiedział, co Barnes uznał za zgodę.

Ruszyli przez zamrażającą dżunglę w szyku rombówym, z Earlem na szpicy. Co jakiś czas snajper wskazywał miejsce, do którego mogli się wycofać na wypadek nawiązania kontaktu.

Na błękitnym niebie nad nimi prawie nie było chmur, słońce oślepiało mimo okularów. Zewsząd zaczęło dochodzić kapanie topiącego się lodu.

* * *

Nie było żadnej osłony. Barnes rzadko czuł się tak odkryty. Gdziekolwiek się nie ruszyli, na tle lodowego krajobrazu byli widoczni jak kaczką na wodzie. Dla Earla to pewnie najgorszy z koszmarów, pomyślał porucznik. Szli gruntową drogą. Po jednej stronie rozciągała się zamrażająca dżungla, po drugiej zlodowaciałe zagony krzaków *coffea arabica*. Małe drzewka musiały być częścią plantacji, domyślił się Barnes. Kwitły, zanim skuł je lód. Wszędzie dookoła słońce podgrzewało zmarzlinę, z której spływało mnóstwo wody, przez co grunt pod stopami z każdym krokiem stawał się coraz bardziej zdradliwy.

Idący na przodzie Earl zatrzymał się przed zakrętem. Na coś patrzył. Wskazał punkt odwrotu, po czym ruszył do przodu.

Barnes i reszta, z bronią w pogotowiu, poszli za snajperem za zakręt. Porucznik spojrzął przed siebie i na chwilę zamarł. Earl przypadł do ziemi, krył drogę.

– Mam iść i to sprawdzić, poruczniku? – spytał przez radio.

– Nie. Trzymamy się razem. – *Bo z każdą chwilą to wszystko staje się coraz bardziej podejrzane*, dokończył w myślach Barnes, patrząc na dziwną budowlę wyłaniającą się przed nimi zza zamrażających drzew.

Była to jakaś iglica, ale nie przypominała niczego, co porucznik dotąd widział. Sprawiała wrażenie czegoś organicznego, jakby była zbudowana ze spękanej, poczerniałej zwyrodniałej kości. Wzdłuż całej wysokości tej dziwnej, poskręcanej wieży wyrastały okrągłe ostrza-wiertła, przypominające mechaniczne kwiaty. Barnes z trudem przełknął ślinę. Niemal mimowolnie wycelował w konstrukcję swój M4. Zmusił się, żeby oderwać od niej wzrok.

– Odbieracie to, Rapiér Główny? – spytała Chavez przez łącze satelitarne. Przymocowała kamerę do szyny swojego M4 i podłączyła ją do nadajnika satelitarnego, żeby móc przesyłać obraz prosto do dowództwa. – Mamy to sprawdzić – poinformowała resztę grupy. *No jasne*, pomyślał Barnes. – Powiecie nam, co to za kurewstwo, Rapiér Główny? – Chavez posłuchała. – Odmowa udzielenia informacji – powiedziała pozostałym.

- Wygląda jak jakaś maszyna wiertnicza – zasugerował T.
- Po co hodowcom kawy pieprzona maszyna wiertnicza? – spytała Chavez.
- Może używa jej FARC? – T sam chyba nie wierzył w to, co mówił.
- Ludzie krety – powiedział Earl przez radio. Barnes był tak zaskoczony, że obejrzał się na snajpera. Nikt nie był pewny, czy mrukliwy Missouryjczyk żartuje, czy nie.
- Słyszycie coś? – spytał Barnes. Uświadomił sobie, że słyszy jakiś cichy odgłos dobiegający od strony wieży, która wznosiła się w miejscu, gdzie według mapy powinna być wioska.
- Śpiew – powiedział Earl przez radio.
- Co oni śpiewają? – zapytał T.
- Nie wiem. Po hiszpańsku umiem tylko przeklinać.

* * *

- Tego się pan spodziewał? – spytał Lockhart, patrząc na ziarnisty obraz iglicy na ekranie.
- To o wiele więcej, niż się spodziewałem – odparł Asher. W jego głosie słychać było głód, który sprawiał, że komandor czuł się bardzo nieswojo.
- Tłusty naukowiec odwrócił się do Lockharta, a ten się skrzywił, kiedy jego nozdrza wychwyciły nieodłączną woń zepsutego mleka.
- Nie rusza się. Musimy wysłać tam naszych ludzi, pełny protokół zagrożenia biologicznego.
- Najpierw zobaczmy, co tam znajda.

* * *

Wioska składała się z jednej ulicy, wzdłuż której stało kilka walących się domów. Największa budowla – nie licząc dziwnej iglicy – wyglądała na połączenie biura, bazy ciężarówek i posterunku policji. Barnes domyślił się, że samochody służyły do przewozu ziaren kawy.

Zaśpiew zrobił się głośniejszy. Porucznik spytał Chavez, co mówią te głosy. Kontrolerka najpierw ze złością odparła, że wychowała się w Nowym Jorku, ale potem próbowała przetłumaczyć.

- Szczerze mówiąc, to jakiś bełkot. Jedyne słowa, jakie rozumiem, to „światło” i „biały kwiat”.
- Mówią językami – powiedział Earl przez radio.
- Poruczniku? – odezwał się cicho T. Operator broni wsparcia był po drugiej stronie

ulicy między dwoma domami, celował ze swojego karabinu maszynowego wzdłuż drogi w kierunku iglicy. Barnes, podobnie ukryty między dwoma zlodowaciałymi budynkami, osłaniał tyły. – Widzicie broń?

Porucznik spojrział wzdłuż ulicy i zobaczył leżące na jej środku uzbrojenie, głównie stare karabiny szturmowe.

Może wybrali pokój, pomyślał Barnes. Broń wyglądała jak coś, co mogłoby należeć do gorzej uzbrojonych partyzantów FARC.

– Lubię nieuzbrojonych ludzi – mruknęła Chavez. Barnes musiał się z nią zgodzić.

Byli blisko iglicy, ale wciąż nie widzieli jej podnóża.

– Dobra, podchodzimy, żeby się rozejrzeć – rozkazał porucznik przez radio. Uznał, że podstawa wieży będzie widoczna za następnym zakrętem.

– Jezu!

T powiedział to cicho, ale Barnes i tak usłyszał wykrzyknik na końcu słowa. Spojrział na drugą stronę drogi. W drzwiach jednego ze skutych lodem domów stała jakaś postać. T opuścił M249 na pasku; w jednym ręku trzymał swojego Mk.23, drugą odpychał tego kogoś.

– Earl, kryjesz godzinę szóstą, Chavez dwunastą, nie przerywać kręcenia, oczy dookoła głowy – rozkazał Barnes, rozejrzał się szybko po ulicy, czy nikogo na niej nie ma, i szybko przebiegł na drugą stronę.

– Proszę pani, proszę wracać do środka i się położyć – powtarzał T kobiecie, która na niego napierała. Kiedy Barnes zobaczył ją z bliska, żołądek skręcił mu się w supeł. Była chora, bardzo. Powtarzała po hiszpańsku coś, czego nie rozumiał, coś, co brzmiało bardzo podobnie do słów, które słyszeli w śpiewach.

Wyglądała na starą, ale Barnes wiedział, że łatwo pomylić się z oceną wieku w tych częściach świata, gdzie życie nie rozpieszca. Miała na sobie długą spódnicę i brudny T-shirt. Okolice nosa, ust i oczu pokrywały ropiejące wypryski, jej oczy były mlecznobiałe i puste. Musiała być ślepa. Wrzody, według Barnesesa, wyglądały na naskórne nowotwory.

– Naprawdę, proszę pani, proszę się cofnąć – powiedział T. Kobieta go nie słuchała. Cały czas wyciągała do niego ręce, choć ją odpychał. Barnes zobaczył, że na dłoniach miała krwawiące otwory. Sprawiały wrażenie samookaleczeń. Zerknął na jej stopy – też były zakrwawione. Brudziła swoją krwią T. Sanitariusz popchnął ją mocno, a potem podniósł nogę i lekkim kopnięciem posłał kobietę w głąb domu. Zamknął drzwi, na tyle, na ile pozwalał pokrywający je lód, i przytrzymał je.

– Widział pan jej węzły chłonne? – spytał. Barnes pokręcił głową. – Były spuchnięte i obrzmiałe.

– Epidemia? – spytał porucznik ze ściśniętym sercem. Kurwa, w co oni nas wpakowali? – pomyślał, starając się powściągnąć gniew na dowództwo.

– Zaraza – odparł T. Porucznik widział, że sierżant z trudem panuje nad strachem.

– Możesz coś dla niej zrobić? – spytał. Kobieta próbowała siłą otworzyć drzwi. T musiał je znów szarpnięciem zamknąć. Jak na kogoś starego i chorego wydawała się bardzo silna.

– Dać jej coś na ból. Skrócić jej męki.

– Nie wyglądała na cierpiącą – powiedział Barnes, wyciągając przy tym Mk.23 i nakręcając tłumik na lufę. T mu się przyglądał. Obaj wiedzieli, że kobieta zdradzi ich położenie, narazi grupę na niebezpieczeństwo.

– Moja opinia jako lekarza jest taka: nie możemy nic dla niej zrobić, a ona nas zaatakowała – powiedział T, dając Barnesowi do zrozumienia, że będzie go krył.

– Biorę to na siebie, zrozumiano? – odparł porucznik. Pora popełnić zbrodnię wojenną, pomyślał. – Otwórz drzwi.

T puścił klamkę, a drzwi rozwarły się gwałtownie. Barnes odstrzelił zaróżonej kobiecie czubek głowy. Przez chwilę obaj myśleli, że staruszka nie upadnie. W końcu zakołysała się i runęła na plecy. Porucznik przestąpił przez próg i wpakował jej dwa pociski w pierś.

– Pilnuj szóstej – rozkazał sierżantowi, odwieszając M4 na pasku. Wolał polegać na pistolecie z tłumikiem, na wypadek, gdyby takich osób było więcej. T kiwnął głową, ale Barnes wiedział, że podoficer martwi się kontaktem z zarazą.

– Poruczniku – odezwała się Chavez przez radio. – Musi pan to zobaczyć.

Barnes rozejrzał się po gruntowej drodze, która uchodziła tu za ulicę. Zobaczył w tyle przebiegającego przez nią psa, ale poza tym nic się nie ruszało. Chavez leżała obok zakrętu, pod osłoną jednego z oblodzonych domów. Wyglądała za jego róg, filmując kamerą przymocowaną do swojego M4. Barnes podbiegł do niej i wyjrzał za węgiew.

– Cholera – zaklął.

W miejscu, gdzie iglica przebiła się spod ziemi, grunt był spękany i zamarznęty. Wyrastając, zniszczyła kilka domów. Wokół jej podstawy zebrali się ludzie. Wielu z nich wyglądało na miejscowych rolników, ale niektórzy mieli na sobie mundury partyzantki FARC; jeszcze inni byli lepiej ubrani albo nie wyglądali na Latynosów, co sugerowało, że są żołnierzami kartelu bądź najemnikami. Wszystkich pokrywały rakowate narośle, wielu krwawiło z ran – jak się domyślał Barnes – zadanych sobie własnoręcznie. Wydawali z siebie bełkot przetykany hiszpańskimi słowami, kołysząc się w przód i w tył, jakby bili pokłony wieży. Porucznik zaczynał się zastanawiać, czy

iglica, która jemu samemu wydawała się martwa, nie była nośnikiem jakiejś broni biologicznej, chociaż nie umiał sobie wyobrazić czyjej. Schował się z powrotem za dom.

– Szacunkowa liczba? – spytał Chavez.

– Jest tam spokojnie ponad tysiąc osób. Musieli zejść się z całej okolicy. Co się im stało, poruczniku?

Barnes nie odpowiedział, wziął tylko słuchawkę telefonu satelitarnego z plecaka kontrolerki.

– Jad dwa-jeden do Rapiera Głównego, prosimy o natychmiastową ewakuację i kwarantannę, mamy tu jednoznaczne oznaki skażenia biologicznego.

Chavez spojrzała na niego przez ramię. Była zła i przestraszona.

– Odmawiam, Jad dwa-jeden. Nawiązać kontakt z mieszkańcami wioski. Musimy wiedzieć, co się dzieje.

Głos wydającego rozkaz był tym samym, który zastąpił majora Wintermana, kiedy zmieniono im cel misji, tyle że różniły się odgłosy tła. Było jasne, że nieznajomy nie znajdował się już w dowództwie – nadawał z lecącego śmigłowca.

– Chyba nie rozumiecie, jaka tu na dole jest sytuacja, Rapier Główny, nie mogę ryzykować dalszego narażania moich ludzi na cokolwiek to jest.

– Jad dwa-jeden, bycie żołnierzem ma to do siebie, że czasami musimy ryzykować życiem. Rozkazy natomiast, zwłaszcza takie jak ten, pochodzące od Połączonych Szefów, jakby wypisał je na kamiennych tablicach Bóg Wszechmogący i wręczył samemu Charltonowi, kurwa, Hestonowi, mają tę interesującą właściwość, że nie podlegają, kurwa, dyskusji. Jeżeli nie zrobicie tego, co każę, nie tylko postawię was i waszych ludzi przed sądem polowym za niewykonanie bezpośredniego rozkazu, ale oskarżę o tchórzostwo i dołożę wszelkich starań, żeby konsekwencje okazały się dla was tak samo paskudne, jakbyście złapali samą, kurwa, Czarną Śmierć. Zrozumiano, żołnierzu?

Barnes powstrzymał chęć, by zmiażdżyć w rękę słuchawkę.

– Pieprzony dupek – mruknęła Chavez, która słyszała większość rozmowy. – Jeśli się stąd wydostaniemy, spotka nas pewnie jakiś wypadek.

– Nie chcę tego słuchać, Chavez – uciął Barnes, chociaż sam pomyślał to samo.

* * *

– Kurwa, jacy ostrożni! – wycedził Lockhart, rzucając słuchawkę radia na ziemię. Asher wbijał się w swój kombinezon ochronny NBC w ciasnocie kabiny Sikorsky'ego

S-92, cywilnego odpowiednika wojskowych Black Hawków. W śmigłowcu z Lockhartem było tylko dwóch najemników CELL, nie licząc strzelca w drzwiach. Resztę pasażerów stanowili naukowcy Ashera. Pozostałe dwa S-92 wiozły jednak po pełnej drużynie żołnierzy korporacji.

– Jak bardzo zaraźliwy jest wirus? – spytał komandor Ashera. Naukowiec obficie się pocił, więc przebywanie z nim w zamkniętym wnętrzu śmigłowca było nie do zniesienia. Lockhart nie mógł się doczekać, aż biolog zamknie się w swoim kombinezonie.

– Jeśli nie złapali go podczas pierwszego rozsiania zarodników, powinni być zdrowi – odparł naukowiec.

– To po co kombinezony?

– Na wypadek, gdyby tym razem było inaczej. Koniec końców coś podobnego widzieliśmy tylko raz, a materiały do badania wirusa były wtedy bardzo skąpe.

Lockhart zastanowił się nad tym przez chwilę, a potem wrócił do zakładania swojego NBC.

* * *

Przedyskutowali to. Barnes przekazał im rozkaz. Jeśli chcieli prysnąć, zrozumie to i powie, że wydał rozkaz wycofania się. Widział, że kusila ich ta propozycja, ale mimo wszystko byli żołnierzami.

Powiedział im, że jest gotów samemu podjąć próbę kontaktu z zarażonymi.

T oznajmił, że jeśli wirus przenosi się drogą powietrzną, i tak są już zarażeni. Jeśli zarażenie następowało przez dotyk, to zarażony był najpewniej on, więc najlepiej by było, gdyby to właśnie on spróbował się porozumieć. Poza tym miał największą wiedzę medyczną z nich wszystkich. Tchórzliwa część Barnesesa chciała pozwolić mu iść.

Chavez powiedziała, że tak czy inaczej wszystko filmuje, a dowództwo chce dostać jak najwięcej danych. Rzecz jasna sporo przy tym bluzgała, ale sens jej wypowiedzi był mniej więcej taki.

Earl nic nie mówił, czekał, aż pozostali podejmą decyzję.

I w ten oto sposób skończyło się na tym, że Barnes z Chavez i T po bokach szedł środkiem ulicy, starając się nie poślizgnąć na mokrym teraz lodzie. Kierowali się w stronę licznej grupy bardzo chorych ludzi, wyglądających, jakby oddawali cześć dziwnej iglicy. Earla nie było widać. Pilnował ich przez lunetę swojego M14. Barnes zazdrościł snajperowi, ale zgadzał się, że Earl jest tam, gdzie może przydać się

najbardziej.

Porucznik i T przewiesili karabiny ukośnie przez pierś. Trzymali na nich dłonie, ale nie celowali do chorych. M4 Chavez był co prawda wymierzony w ludzi, ale tylko dlatego – jak sobie tłumaczyła – że znajdowała się na nim kamera.

Barnes nie miał właściwie pojęcia, co powinien teraz robić. T rozglądał się dookoła, ale wszyscy ludzie zdawali się być pod iglicą. Chorzy nie zwracali na nich uwagi. Im bliżej podchodzili, tym więcej widzieli strasznych, ropiejących, rakowatych narośli. Skupiały się wokół otworów ciała. Niektórzy ludzie byli w cięższym stanie niż reszta – wrzody pokrywały dużo większą część ich odsłoniętej skóry. Wielu obecnych cierpiało także od samookaleczeń. Ich rany często znajdowały się na dłoniach, stopach i bokach. Barnes domyślał się, że to stygmaty.

– Co mamy, Earl? – zapytał przez radio.

– Jeśli ktoś jeszcze tu jest, to go nie widzę – odparł snajper. Porucznik uznał, że w tej formie nie zabrzmiało to zbyt pokrzepiająco.

Od masy ludzi dzieliło ich niecałe trzydzieści metrów. Na twarzach wszystkich chorych malowało się uwielbienie. Gapili się na iglicę z nabożnym podziwem i oddaniem. Musieli widzieć trójkę żołnierzy stojących na otwartym terenie, ale nie zwracali na nich uwagi.

– Khm... Przepraszam... – zaczął cicho Barnes. Chavez rzuciła mu znaczące spojrzenie; słabo to zabrzmiało, sam to słyszał. – Czy mogę prosić o uwagę?! Jesteśmy żołnierzami armii Stanów Zjednoczonych i chcemy państwu pomóc! Czy ktoś tu dowodzi? Jest wśród państwa lekarz?

Parę osób obejrzało się, ale zaraz wróciły do oddawania czci iglicy, choć Barnesowi przypominało to bardziej bełkotanie i ślinienie się.

– Dobrze, spróbowaliśmy nawiązać kontakt, możemy już sobie iść? – spytała Chavez.

Dobry pomysł, pomyślał Barnes.

– Nie, dopóki nie zdobędziemy jakichś informacji – powiedział. *Jakich, kurwa, informacji?*, zapytał się gniewnie w myślach. *Ci ludzie są chorzy i obłąkani.* Chavez chciała chyba zaoponować, ale zmilczała. W końcu sama się zgodziła z nimi iść.

– Jesteś prorokiem?

Pytanie to zostało zadane dość dobrym angielskim, choć z silnym obcym akcentem. Mężczyzna miał na sobie grube džinsy i robocze buty, ale koloratka zdradzała, że jest księdzem. Jego gardło było spuchnięte, a okolice ust pokrywały zrakowacenia, co tłumaczyło bełkotanie i ślinienie się. Głowę miał pokaleczoną; Barnes zgadywał, że jego rany symbolizują cierniową koronę.

– Co takiego? – Pytanie zbiło porucznika z tropu. – Nie, proszę pana, jestem żołnierzem armii Stanów Zjednoczonych. Przybyliśmy tu zorientować się, co się dzieje, i donieść o tym waszemu rządowi, żeby z naszą pomocą mógł odpowiednio zareagować na tutejszą sytuację.

Barnes przeklął się w myślach za wzmiankę o rządzie. Okolica była kontrolowana przez FARC, w zbiegowisku musieli być partyzanci.

– Moim zdaniem jesteś prorokiem – oznajmił ksiądz.

Proszę, w Iraku nigdy mnie coś takiego nie spotkało, pomyślał porucznik.

– Przeszli na islam? – spytała Chavez.

– Tak, oddają cześć islamskiej wieży wiertniczej – odparł T. Najwyraźniej jego instynktowną reakcją na napięcie był sarkazm.

Ksiądz ruszył w ich stronę. Inni członkowie dziwnego zgromadzenia też zaczęli zauważać trójkę żołnierzy.

– Ojczy, co się tu dzieje? – spytał Barnes. – Co to jest?

– To zwiastun – odparł kapłan. Wciąż się zbliżał. Porucznik mimowolnie zrobił krok w tył, zauważył, że T i Chavez zrobili to samo. Sierżant poślizgnął się na mokrym lodzie.

– Zwiastun czego? – zapytał Barnes.

– Boga, który przynosi biały kwiat. Skrzydlatego węża, Quetzalcoatla – oznajmił ksiądz. Porucznik spojrzał na Chavez, która tylko wzruszyła ramionami.

– To chyba jedno ze słów, które śpiewali – powiedziała z niechęcią.

Coraz więcej chorych wstawało i ruszało w ślad za księdzem.

– Może kartel testuje na nich narkotyki? – zasugerował T. Jego umysł rozpaczliwie szukał jakiegoś racjonalnego wytłumaczenia. Ksiądz, a także rosnąca grupa zarażonych, napierała na ich trójkę.

– Dobrze, ojczy, ale musicie się wszyscy cofnąć. Możecie zarażać – powiedział Barnes.

– Pan powie tylko słowo – szepnął Earl przez radio.

– Co mamy, Earl? – spytał porucznik.

– Z tyłu czysto, wszystkie ex-reje z przodu.

– Myślę, że jesteś prorokiem. W twoim ciele jest światłość. Musimy iść za światłem.

Ksiądz zachowywał się coraz bardziej natarczywie. Niektórzy napierający za nim zaczęli bełkotać w obcych językach. Inni powtarzali tylko bez przerwy słowo „profeta”.

– Proszę pana, proszę, żebyście się wszyscy cofnęli! – rozkazał znów Barnes, wkładając w te słowa całą władczość i moc, jakie wpojono mu podczas szkolenia

wojskowego. Tamci nie zwolnili.

– Pan powie tylko słowo – powtórzył Earl.

– Tak, jesteś prorokiem, a światło i ciało to droga do Quetzalcoatl!

– Dobra, cofnąć się! – Barnes podniósł M4 i wycelował go w księdza. T także wymierzył broń w ludzi. – Jeśli się nie zatrzymacie, otworzymy ogień!

– Mam czystą linię strzału do księdza – powiedział Earl. Barnes poczuł, że na czoło występują mu i od razu zamarzają kropelki potu.

– Ciało i światłość proroka to sakrament, który musi zostać skonsumowany, to droga do...

– Teraz – szepnął porucznik przez radio. Poczł podmuch przelatującej kuli. Twarz księdza zapadła się i zrobiła czerwona. Mężczyzna jeszcze przez chwilę stał, potem runął na ziemię.

– Ognia! – rozkazał Barnes pozostałym.

Tłum зараżonych rzucił się do ataku. Porucznik, widząc zmierzającą ku niemu ścianę ludzi, otworzył ogień, długimi seriami; na końcu lufy jego M4 zamigotał ogień wylotowy. Napastnicy zaczęli padać, ale nie dość wielu. Trafionych pchał napór ciał z tyłu. Nawet jeśli któryś osuwał się na ziemię, podcinając nogi kolejnym, zawsze ktoś inny zajmował jego miejsce.

T też strzelał seriami, ciągnął po cizbie зараżonych ludzi, którzy biegli na trójkę żołnierzy. Co prawda M249 SAW był przeznaczony do rozpraszania tłumów, ale to nie działało, kiedy ci, których próbowało się odpędzić, pozbawieni byli jakiegokolwiek instynktu samozachowawczego, kiedy jedyne, czego pragnęli, to zamienić swoją ofiarę w jednego z nich.

Earl ze swojej ukrytej pozycji zabijał każdym strzałem, ale ludzi wciąż było zbyt wielu.

Chavez opróżniła magazynek karabinu, po czym odwróciła się i pobiegła do następnego punktu odwrotu.

– Przeładowuję! – zawołała przez radio. Wyrzuciła z M4 pusty magazynek, wbiła w gniazdo świeży, odciągnęła zamek, wprowadzając nabój do komory, a potem odpięła z szelek granat.

Barnesowi skończyła się amunicja.

– Uwaga, bliski wybuch!

Sięgnął do przodu i pociągnął za spust podwieszanego granatnika M203, mierząc prosto w tłum biegnących ludzi, tuż przed oczami. Nie czekał, żeby zobaczyć skutki eksplozji. Odwrócił się i pognął w kierunku punktu odwrotu. Earl zaczął coś mówić przez radio i w tej samej chwili detonował w tłumie granat odłamkowy. Na ziemię

padli kolejni zarażeni, poszatkowani szrapnelami. Barnes zachwiał się, coś ostrego rozdarło mu ramię. Coś innego, mokrego, uderzyło go w głowę, zrywając polarową czapkę.

– Powtórz! – krzyknął w biegu, przeładowując M4 i wsuwając do granatnika następny pocisk kalibru 40 mm – „gniazdo os”.

– Granat! – wrzasnęła Chavez i cisnęła granat w prawą flankę nacierających, daleko od T na lewej.

– Otaczają was, biegną za domami po obu stronach ulicy – krzyknął Earl przez radio.

Granat Chavez eksplodował w środku tłumu. W powietrze wystrzeliły ciała i oderwane kończyny. Ranni, którzy nie zginęli, napierali dalej, kuśtykając, pełzną albo podciągając się do przodu ocalałymi palcami, tratowani przez innych.

Barnes wyhamował obok Chavez, odwrócił się i zaczął strzelać. Zobaczył, że T odwraca się, rzucając się do ucieczki, ale zarażeni łapią go i zaczynają szarpać. Sierżant robił wszystko, by się im wyrwać, ale napastników było zbyt wielu. Nagle ci najbliżej zaczęli ginąć. Jednemu odleciał czubek głowy. Drugi zakręcił się, trafiony w pierś, padł trzeci, potem następny. Earl strzelał do nich z kryjówki.

Inni biegli na Barnes'a i Chavez.

T zdołał się uwolnić.

– Przeładowuję – oznajmił snajper przez radio. Barnesowi to słowo zabrzmiało jak wyrok śmierci. Znów sięgnął w przód i odpalił granatnik. „Gniazdo os” wypełniło powietrze grubym śrutem, jakby wystrzelił z olbrzymiej strzelby. Szereg przed porucznikiem runął jak ścięty w rozbryzgach czerwieni. Barnes chciał kupić T trochę czasu.

Sierżant padł. M249 wciąż strzelał i kilka kul trafiło niedaleko porucznika. Barnes przerzucił się na M4 i zaczął ostrzeliwać pojedynczym ogniem zarażonych najbliżej T. Sierżant walczył, rozpaczliwie się szamocząc. Porucznik z przerażeniem zobaczył, że chorzy próbują go gryźć, drzeć pazurami. Jeden z nich, starzec cały pokryty rakowatymi naroślami, rozdarł zębami policzek T. Sanitariusz usiłował się spod nich wyczołgać. Spróbował jeszcze wyciągnąć ręce do towarzyszy, a potem zniknął, wciągnięty w kłębiącą się masę ludzi.

Jeden z zarażonych upadł i pojechał po lodzie, omal nie zderzając się z Barnesem. Zdjął go Earl. Porucznik zaczął się cofać, strzelając – atakujący prawie go już dopadli. Nagle usłyszał wrzask Chavez, spojrział w prawo. Chorzy wylali się z zaułka między dwoma domami. Dopadli kontrolerkę i zaczęli szarpać jej twarz, ręce, nogi – każdy nieosłonięty pancerzem kawałek ciała. W jednej chwili zalała się czerwienią. Jej

krzyki ucichły, kiedy czyjeś palce rozerwały jej gardło.

Barnes wycelował w tamtą stronę, chciał jej pomóc, choć wiedział, że już na to za późno. Strzelił. Pocisk był smugowy – ostrzeżenie, że w magazynku zostały już tylko dwa. Porucznik wystrzelił je i puścił się biegiem. Nie miał wyboru. Chavez już nie żyła. Musiał to sobie powtarzać.

Odpiął z szelek granat odłamkowy, wyciągnął zawleczkę, puścił łyżkę i cisnął go za ramię dokładnie tak, jak uczono go tego nie robić. Zwolnił pusty magazynek z karabinka, próbując przeładować w biegu, ale upuścił świeży.

Przed sobą zobaczył Earla, który wyszedł na drogę, raz po raz strzelając ze swojego M14. Barnes czuł podmuch mijających go kul. Słyszał za sobą odgłos padających, potykających się ludzi, ale ich miejsce wciąż zajmowali następni.

Earl spojrział w prawo. Jedna z zarażonych wybiegła z zaułka między domami; prawie dopadła snajpera.

Granat za Barnesem wybuchł i fala uderzeniowa pchnęła go w przód, omal go nie przewracając. Czuł, jak odłamki wbijają mu się w kevlarową kamizelkę, ale utrzymał się na nogach.

Zobaczył, że Earl chwytając nóż i rzuca się w bok, wbijając ostrze w gardło zarażonej kobiety. Przebiegła jeszcze kilka kroków, a potem rozciągnęła się na lodzie, barwiąc go na czerwono. Snajper wyciągnął Mk.23 i zaczął strzelać raz za razem w prześwit między domami. Zarażeni, którzy próbowali go dopaść, padali na ziemię. Earl cofał się krok po kroku, nie przerywając ognia.

Barnes poczuł, że ktoś łapie go z tyłu za szelki. Chwyciła go kolejna dłoń, potem jeszcze jedna. Szarpnięty, poleciał w tył, poślizgnął się na lodzie i upadł na plecy.

Otoczyli go, zewsząd wyciągały się ku niemu dłonie. Zarażeni rzucali się na ziemię dookoła, na niego. Pole widzenia wypełniły mu wykrzywione w uniesieniu twarze, rakowate narośle i zęby. Zaczęli go szarpać ostrymi paznokciami przy wtórce ekstatycznych jęków.

– Uciekaj! Uciekaj! – wrzasnął do Earla.

Kopał, bił pięściami, usiłował się od nich odepchnąć. Jakimś cudem w jego dłoni znalazł się nóż. Popłynęła krew. Poczuł na skórze zęby i połamane paznokcie. Więcej krwi.

Usłyszał odgłos przypominający piłę spalinową. Otaczający go zarażeni zaczęli padać. Szok hydrostatyczny odrywał kończyny i wyrzucał ciała w powietrze; na ulicę spadł deszcz przerażającej ilości kul.

Barnes zdwoił wysiłki. Nie było miejsca na zaawansowane techniki walki wręcz, których uczono go w Fort Bragg. Wierzgał nogami, tłukł lewą pięścią, a za każdym

razem, kiedy ktoś kaleczył mu skórę, starał się dźgać nożem – jak najwięcej.

Jazgot obrotowego działka brzmiał już teraz nieprzerwanie. Ktoś kosił zarażonych jak zboże. Barnes kopnął jednego z napastników w twarz, po czym spostrzegł, że była to mała dziewczynka. Jakiś mężczyzna dostał od niego nożem między oczy. Porucznik zorientował się, że może wyciągnąć pistolet. Zaczął strzelać raz za razem, żeby zrobić sobie miejsce. Nie przerywając ognia podniósł się na nogi. Ktoś go chwycił – twarz napastnika zapadła się, trafiona kulą z bezpośredniej odległości. Ogień wylotowy podpalił brodę mężczyzny. Porucznik praktycznie go przeskoczył, wyrwał się spomiędzy zarażonych i rzucił przed siebie.

Wiedział, że znów próbują go łąpać, ale był wolny i wysforował się przed tłum. Nagle zobaczył przed sobą następnych. Strzelił do nich w biegu. Jeden padł, ale Barnesowi skończyła się amunicja. Przeładował Mk.23, starając się tym razem nie upuścić magazynka.

W jego polu widzenia pojawił się cywilny blackhawk. Leciał bokiem. Porucznik dostrzegł w przelocie, że strzelec w drzwiach miał na sobie kombinezon ochronny NBC. Obrotowe działko otworzyło ogień. Z luf buchnął jęzor płomienia, znów rozległ się jazgot piły mechanicznej, a zarażeni ścigający porucznika zaczęli padać.

Barnes zatrzymał się i wycelował w czwórkę przed sobą. Nigdzie nie widział Earla. Zastrzelił cztery ofiary zarazy, odwrócił się. Tylko jeden ze ścigających zdołał przeżyć nawałę ognia z działka. Porucznik strzelił mu dwukrotnie w głowę. Zamek pistoletu zatrzymał się w tylnym położeniu – magazynek był pusty. Barnes wysunął go i szybko wymienił. Karabinek przepadł w szamotaninie.

Z trudem łapał oddech. Śmigłowców było trzy. Teraz widział je wszystkie. Zasypywały wioskę ogniem. Jeden rozpoczął ostrzał dżungli. Kule z działka siekały zamrożone drzewa, które rozpryskiwały się jak kryształy.

Barnes rozejrzał się, wypatrując nowych zarażonych. Przed jego oczami rozpościerało się morze trupów.

* * *

Okrażali wioskę, szukając ofiar zarazy. Lockhart patrzył na dowódcę patrolu, który stał na środku drogi z dymiącym pistoletem w ręku. Wypatrywał nowych celów, jego ludzie zginęli. Komandorowi zrobiło się go żal.

– Bardzo ekscytujące... – powiedział Asher. Lockhart żałował, że rozkazy nie pozwalały mu lecieć innym śmigłowcem. – Możemy bezpiecznie wylądować?

Komandor tylko rzucił naukowcowi pogardliwe spojrzenie. Wsłuchał się w przekaz

w słuchawce radia.

– No i? – zapytał Asher. Lockhart wziął głęboki oddech.

– Połączeni Szefowie zgodzili się z zaleceniami komisji. Rozpoczęto protokół Burza Ognia. Samolot już wystartował.

Asher pokiwał głową.

– Ograniczone wojskowe mózdzki. W takim razie musimy działać szybko.

– Co z porucznikiem Barnesem?

– A co ma niby z nim być?

Barnes patrzył na uzbrojonych mężczyzn, którzy zjechali na linach z dwóch śmigłowców, osłaniani przez trzeci. Mieli na sobie kombinezony NBC, a na nich kamizelki kuloodporne.

Czterech podeszło do niego z wymierzoną bronią.

– Poruczniku Barnes, obawiam się, że muszę pana prosić o oddanie broni.

– Pojebało was? Jesteśmy po tej samej stronie! – Przez chwilę myślał, że może pracują dla kartelu albo FARC, ale przecież znali jego nazwisko. Oddał im Mk.23, a potem ciężko usiadł na ziemi.

Dopiero wtedy zaczęło do niego docierać, jak mocno oberwał. Cały był w skaleczeniach, siniakach; pokrywały go ślady zębów, niektóre rany były całkiem głębokie i mocno krwawiące. Miał przebity na wylot prawy biceps, prawdopodobnie odłamkiem któregoś z rzuconych przez siebie granatów. Drugie skaleczenie na czole – też od odłamka albo od kuli. Sądząc po tym, jak ciężko łąpał oddech, pękło mu przynajmniej jedno żebro, najpewniej wskutek trafienia zabłąkaną kulą, przypuszczalnie z działka. Tą, która tylko drasnęła jego kamizelkę. Szczerze mówiąc, miał szczęście, że żyje. Zauważył, że nikt z mężczyzn w kombinezonach ochronnych nie próbuje mu pomóc. Postawili za to przy nim dwóch uzbrojonych strażników.

Zaczął myśleć o T i Chavez, i o tym, gdzie się, kurwa, podział Earl.

A potem przypomniał sobie zarzonych dookoła, wyciągających do niego ręce, wbijających zęby w jego ciało. Stracił panowanie nad sobą i zaczął się trząść.

* * *

Na składanym stoliku znajdowały się naukowe instrumenty. Asher garbił się nad urządzeniem, które Lockhart uznał za jakiś rodzaj mikroskopu.

Komandor spojrział na leżący na stoliku stoper, sprawdził, ile jeszcze czasu zostało, a potem obejrzał się na dziwną wieżę. Trójka członków zespołu Ashera usiłowała wyciąć jej fragment plazmowym przecinakiem. Udawało się im, ale trwało to dłużej,

niż powinno trwać cięcie czegoś takiego plazmą.

– Co tu się stało? – zapytał Lockhart naukowca. Asher westchnął tak ostentacyjnie, że komandor usłyszał to przez gruby kombinezon ochronny.

– Powiedziałbym, że to atak, który się w pełni nie zainicjalizował. Prawdopodobnie z braku energii.

– A wirus?

Tym razem Lockhart usłyszał teatralne westchnienie w radiu. Zaczął zgrzytać zębami.

– Komandorze, pracuję w okropnych warunkach, pod absurdalną presją czasu, do tego próbuję uprawiać naukę w tym niedorzecznym kombinezonie, co przypomina grę w tenisa w worku na zwłoki...

– Odpowiedz na moje pierdolone pytanie! – warknął Lockhart.

Asher wbił w niego wzrok. Efekt osłabił nieco fakt, że żaden z nich nie widział zbyt dokładnie twarzy drugiego przez maskę kombinezonu.

– Odpowiedź na pańskie pierdolone pytanie, komandorze, brzmi: owszem, według moich wstępnych – i tu podkreślam słowo „wstępnych” – ustaleń jest to szczep bardzo podobny do tunguskiego.

– Jest zaraźliwy?

– Używając pańskiej terminologii... – Asher wskazał iglicę. – ...to zasadniczo wielka bomba skrzyżowana z grzybem.

– Broń obszarowa?

– Za każdym razem, kiedy przebija powierzchnię, wypuszcza zarodniki. Z tego, co wiemy, tylko ci zarażeni zarodnikami są podatni na wirusa. Same zarodniki przestają funkcjonować po upływie czasu, który musimy jeszcze ustalić.

– Czyli nic mu nie będzie? – spytał Lockhart, wskazując Barnesę, pilnowanego przez czterech jego ludzi. – Mimo takiego stopnia kontaktu?

– O ile mi wiadomo, będzie całkowicie zdrowy. Jak poobijany rydz, do chwili, kiedy cała ta okolica zostanie zdezynfekowana.

– Ma pan dość próbek? – spytał Lockhart. Asher nie odpowiedział od razu. Spojrzał na dywan trupów zaścielający ziemię.

– Tak sądzę – stwierdził w końcu z wyraźnie sarkastycznym tonem.

– Dobrze. Kończcie z próbką iglicy i wracajcie do śmigłowca. – Lockhart odwrócił się i ruszył w stronę Barnesy.

– Komandorze, mam nadzieję, że nie zapomniał pan o swoich instrukcjach – powiedział Asher. Komandor odwrócił się na pięcie w stronę małego, tłustego naukowca.

– Te instrukcje zwą się rozkazami, a ja nie potrzebuję, żeby taka nędzna, śmierdząca gnida przypominała mi o moich obowiązkach, zrozumiano?

Nie czekając na odpowiedź, zawrócił i ruszył w kierunku poobijanego oficera Delta Force.

* * *

Major Winterman szedł przez boisko, wykorzystywane przez siły amerykańskie i brytyjskie jako lądowisko dla helikopterów. Kierował się w stronę sektora Brytyjczyków.

– Nie, ma'am, moim zdaniem w tych okolicznościach nie da się kierować żadną operacją specjalną. – Rozmawiał przez telefon satelitarny z generał Pamelą Follet, szefową Dowództwa Operacji Specjalnych Stanów Zjednoczonych w bazie MacDill w Tampie na Florydzie. – Każdy z moich ludzi jest narażony na niebezpieczeństwo i szczerze mówiąc, jestem zdania, że mamy do czynienia z nadużyciem wojskowych zasobów dla stricte korporacyjnych celów. Niełatwo przyszła mi ta decyzja, ale składam rezygnację ze stanowiska. Oczywiście dosłużę do końca operacji Scarface, chyba że uzna pani za stosowne mnie kimś zastąpić, co rozumiem.

Wysłuchał odpowiedzi generał Follet, spostrzegł człowieka, z którym chciał zamienić kilka słów. Zatrzymał się.

– Szczerze mówiąc, pani generał, Połączeni Szefowie mogą mnie pocałować w dupę, i owszem, proszę to zapisać w protokole. Jeśli któremuś z nich nie podoba się moje zachowanie, zapraszam, niech tu przyleci i omówi to ze mną osobiście. Powinienem także panią uprzedzić, że kiedy tylko zostanie mi odebrane dowodzenie, i mam tu na myśli dokładnie tę właśnie chwilę, znajdę tego tak zwanego komandora, niedorobionego marine Dominica Lockharta, i zatłukę gnoja na śmierć. Tak, ma'am, wzajemnie – miłego dnia.

Zakończywszy uśmiercanie swojej kariery, major ruszył ponownie w stronę brytyjskiej części bazy. Do lądowania podchodził akurat jeden z angielskich chinooków. Człowiek, z którym Winterman chciał porozmawiać, zauważył go i wstał.

– Majorze!

Winterman odwrócił się. Zobaczył trzech żołnierzy z grupy zwiadowczo-snajperskiej szwadronu D. Rozpoznał sierżantów Hawkera i Corteza oraz podporucznika Dunna. To właśnie on wołał.

– Przypuszczam, że teraz to już tylko „proszę pana” – powiedział Winterman. Cała trójka wyglądała, jakby właśnie skończyła zadanie. Dunn zdziwił się przelotnie, ale

zaraz odzyskał rezon.

– Panie majorze, z całym szacunkiem, ale co tu się, kurwa, dzieje? Gdzie jest patrol T? Wracamy do dowództwa, a tam nam mówią, że pana zdjęli.

Winterman spojrział na dwumetrowego komandosa. Dunn wyglądał jak wyciosany z kamienia. Major wiedział, że wszyscy z nich przyjaźnili się od dawna z Thomasem i Earlem. Lubili też Chavez.

– Gotowi na awanturę? – spytał.

Cortez wzruszył ramionami, Hawker wyszczerzył szeroko zęby i kiwnął głową.

– No jasne – powiedział Dunn.

– To chodźcie za mną.

Major odwrócił się na pięcie i udał w kierunku nieprzyjemnego „łącznikowego” z SAS, którego osobą obarczono go na początku operacji.

– Sierzancie! – krzyknął.

Przysadzisty, ogolony na łyso komandos obejrzał się na Wintermana i trzech idących za nim, w pełni uzbrojonych żołnierzy w polowym kamuflażu.

– Będzie manto? – spytał sierżant SAS, zastanawiając się, czy nie przesadził. – Bo w tym namiocie za mną siedzą moi chłopcy, a ja nie zawaham się krzyczeć jak panienska, jeśli robi się gorąco.

– Kto to, kurwa, jest? – spytał Cortez.

– Nie, sierzancie, manta nie będzie – uspokoił go Winterman.

– W takim razie mówcie mi Sykes albo Psycho, szefie. Jak pan będzie dalej wołał na mnie „sierzancie” i tak dalej, to ludzie jeszcze pomyślą, że jestem jakimś żołnierzem czy coś...

– Założę się, że nikt by się aż tak nie pomylił – zauważył Dunn z uśmiechem.

– Co mogę dla was zrobić? Chodzi o tę awanturę dziś rano? – zapytał Sykes Wintermana.

Major potaknął.

– Czego wam trzeba?

– Jestem zmuszony wyjść poza własną hierarchię dowodzenia. Jak dobre ma pan doświadczenia w 7. Eskadrze? – spytał Winterman.

– Mogę szepnąć słówko, jeśli pan chce.

* * *

Barnes patrzył na podchodzącą do niego postać w kombinezonie NBC. Mężczyzna nosił się jak ktoś nawykły do dowodzenia. Większość pozostałych, z wyjątkiem

grubego, traktowała go z wyraźnym szacunkiem. Ludzie w skafandrach pakowali się do dwóch stojących na ziemi śmigłowców i szykowali do odlotu; trzeci helikopter krążył w górze. Barnes, korzystając z zawartości własnej apteczki, opatrzył swoje rany najlepiej jak mógł, wciąż pilnowany przez czterech ludzi z karabinami.

Komandor zatrzymał się przed nim.

– Nie weźmiecie mnie ze sobą, prawda? – spytał porucznik z rezygnacją.

– Przykro mi, synu.

Barnes spojrzał na stojącego przed sobą mężczyznę, ale zobaczył tylko maskę kombinezonu.

– Zabierzcie przynajmniej ciała moich ludzi. – Komandor pokręcił głową. – Kim wy jesteście?

– Poradzić ci coś, synu? – spytał Lockhart. Barnes nie odpowiedział. – Uciekaj, najdalej i najszybciej, jak możesz. Kieruj się na południe, ale nie zwlekaj.

– Złapałem to? Tego wirusa, czy inne gówno, cokolwiek to, kurwa, jest?

Komandor zaprzeczył.

– Jestem nosicielem? Będę zarażał?

– Nie.

Barnes popatrzył w maskę Lockharta.

– Sam się dowiem, co się tu stało, rozumiesz?

– Naprawdę powinieneś już uciekać, synu.

Porucznik podniósł się z wysiłkiem, zorientował w kierunkach i czując, jak protestuje każdy mięsień jego poobijanego, poranionego ciała, zaczął biec.

Lockhart popatrzył za nim, a potem odwrócił się i wsiadł na pokład ostatniego czekającego śmigłowca.

* * *

Spirit B2, należący do 509. Skrzydła Bombowców z Bazy Sił Powietrznych Whiteman w Missouri, zrzucił naprowadzaną bombę piętnaście kilometrów przed celem z wysokości ponad dziesięciu tysięcy metrów. Bomba bezbłędnie namierzyła transponder pozostawiony u podnóża iglicy przez komandora Lockharta. Kiedy się zbliżyła, jej konwencjonalny ładunek zdetonował, rozrzucając po okolicy nanopaliwo. Potem nastąpił jego samozapłon.

* * *

Barnes najpierw usłyszał eksplozję, potem głośny szum, wraz z którym potężny

podmuchał z powietrza cały tlen. Porucznik połknął tyle środków przeciwbólowych z apteczki, na ile starczyło mu odwagi, ale sprint przez zlodowaciałą dżunglę wciąż sprawiał mu ogromny ból; żołnierz często przewracał się i ślizgał między drzewami.

Nagle uderzyła fala ciśnienia. Zamarznięte drzewa eksplodowały, powietrze wypełniło się odłamkami lodu. Barnes poderwało z ziemi i cisnęło w wąski parów. W przeblasku świadomości dotarło do niego, że wpadł w poważne kłopoty.

* * *

Pilot 7. Eskadry RAF zawisnął chinookiem w powietrzu. Major Winterman, Dunn i Psycho tłoczyli się w drzwiach kokpitu. Razem z pilotem i drugim pilotem wpatrywali się w ścianę ognia, wysoką na kilkadziesiąt metrów. Wnętrze śmigłowca zalała piekielna, czerwona poświata.

Lockhart wychylił się z helikoptera i zerknął w tył. Ledwie zdążyli uciec przed falą uderzeniową bomby paliwowo-powietrznej. Dżungla za nimi sprawiała wrażenie, jakby w ogniu stało całe wypełniające ją powietrze.

* * *

Ziemia w dole była zdewastowana. Połać lasu długa na przeszło trzy kilometry dosłownie przestała istnieć. Zmieniła się w dymiące, pocerniałe pustkowia. Trochę dalej wiele drzew leżało zwalonych falą uderzeniową, miejscami dżungla płonęła.

– Psycho, w coś ty nas wpakował? – spytał pilot chinooka, okrążając obszar.

– Jimmy... Nie miałem pojęcia – zaczął usprawiedliwiać się Psycho. – Ale widok fajowy, co? – Dunn i Winterman obejrżeli się na niego z niedowierzaniem. – Tak tylko sobie mówię... – obruszył się w końcu.

– Widzę dym na piątej – zakomunikował Cortez z głównej ładowni śmigłowca. Winterman i Dunn poszli do niego popatrzeć.

– Co ty powiesz, dżungla się pali... – rzucił Psycho.

Pilot zawrócił chinooka.

– Widzę – oznajmił, wskazując słup żółtego dymu.

* * *

Barnes upuścił sygnalizator dymny, który odpalił, kiedy usłyszał helikopter, osunął się na ziemię i na szczęście dla siebie zemdleł.

Ocknął się chwilę później i zobaczył nad sobą tandem wirników chinooka. Czas znów przeskoczył. Kiedy ponownie odzyskał przytomność, ujrzał stojącego nad nim przysadzistego, potężnie zbudowanego, ogolonego na łyso żołnierza z karabinem maszynowym.

– Nieźle cię poharatało, kolego – oznajmił żołnierz z mocnym londyńskim akcentem.

2 dni później

– Tak, sir, jeden z komandosów Delta Force przeżył, drugi zaginął – powiedział Lockhart do szyfrującego telefonu satelitarnego. – Owszem, sir, najzupełniej przyjmuję do wiadomości, co doradza doktor Asher, ale moim zdaniem sankcje przyciągną tylko uwagę do całej sytuacji; poza tym, szczerze mówiąc, Asher to dureń. Ten żołnierz dzielnie walczył i zasłużył na to, by przeżyć – Lockhart wysłuchał z uwagą tego, co mówiono na drugim końcu połączenia. – Wciąż mam zastrzeżenia do całego programu, ale, szczerze mówiąc, uważam, że porucznik Barnes byłby doskonałym wyborem, jeśli zechciałby pan pójść w tym kierunku. – Znow słucał przez chwilę. – Dziękuję, panie Hargreave.

Odłożył telefon i napił się burbona, wyglądając przez okno korporacyjnego odrzutowca lecącego na północ. Na stole przed nim leżała teczka podpisana „Drużyna Raptor”.

Schizma

Stan Nowy Jork, 2023

– Nazywają mnie Prorokiem. Zapamiętaj mnie.

Czuł chłód przystawionej do głowy lufy automatycznego M12. Dawno już nie miał powodu strzelać z niego do kogoś z CELL czy Cepidów. Nacisk na spust. Gorąco. Zbyt gorąco, by czuć ból. Przez chwilę miał bardzo dziwne wrażenie, że coś rusza się w jego głowie, za oczami – ale tylko przelotnie. Pamiętał, jak osuwa się na kolana. Był już martwy, ale jego mózg wciąż odbierał informacje. Nikt nigdy o tym nie mówił, bo nikt nigdy stamtąd nie wrócił. Ziemia nachyliła się ku niemu, ale zanim upadł na twarz, wszystko spowijała czerń.

Pamiętał rozmowę z Hargreavem. Pamiętał, że nieco później przesłuchiwali go. Nie, to nie był on. On nie żył. Pamiętał, jak wpakował sobie kulkę w głowę. Miał do wyboru – albo to, albo powolną transformację w Cepida, nieuchronne zrakowacenia i obce DNA pożerające jego ciało, zmieniające go w nieludzką maszynę do zabijania.

Skoro był martwy, to czemu biegł przez pustkowia, za plecami mając czarny Nowy Jork, wyciągający ku niebu ruiny wieżowców niczym połamane palce? Krew na rękach nie była dla niego niczym nowym. Kiedy zabił pierwszy raz, był ledwie chłopcem, młodym oficerem. To wydarzyło się w Iraku. Wszystko stało się bardzo szybko, z odległości dwudziestu metrów. Jego pierwszy raz z bliska, z ciepłą krwią na dłoniach, to już Kolumbia. Teraz znów ręce miał zakrwawione, ale przez nanoskafander nie czuł ciepła. Krew lekko parowała w chłodnym powietrzu. Po HUD-zie kombinezonu powoli przewijały się w dół informacje o jej składzie chemicznym. Wiedział wszystko, co można było o niej wiedzieć, za wyjątkiem tego, do kogo należała i jak ten ktoś umarł. Miał jednak świadomość, że tę śmierć zadały jego ręce.

Spękany beton i karłowatą roślinność omiółł snop intensywnego światła. Na widoku pojawił się śmigłowiec szturmowy, za nim kolejny. HUD skafandra wyświetlił informacje o modelu helikoptera, jego uzbrojeniu i możliwościach. Prorok słyszał rozmowy pilotów z kontrolą naziemną. Najemnicy CELL, bawiący się w żołnierzy za pieniądze większe niż te, które szły na prawdziwe wojsko. Szukali zbiegłego nanoskafandra. Osobnika o imieniu Alcatraz. *Kim jest, kurwa, Alcatraz?*, zdziwił się Prorok. Potem przypomniał sobie chłopaka, którego wyciągnął z rzeki. Wrak USS

„Nautilus”. Zimny dotyk lufy M12 na głowie.

– Cholera. Nie żyję – powiedział do siebie Laurence Barnes, zwany Prorokiem, ale nie przestał biec. Aktywował tryb maskujący i pole soczewkujące zakrzywiło wokół niego promienie światła. Zniknął, zanim ostry, błękitny snop reflektora omiół miejsce, w którym był jeszcze przed chwilą.

Zmienił się w ducha.

* * *

– Dobra, wychodzę.

– Chyba obaj wiemy, że tak się nie stanie.

– Mam swoje życie... Rodzinę.

Przesłuchujący CSIRA zerknął w papiery.

– Doprawdy? Z tego, co mówiłeś...

– Zdaje ci się, że mnie znasz, Roger?

Prorok zatrzymał film, który odtwarzał na HUD-zie nanokombinezon. Wiedział już, jak się potoczy ta historia. Leżał w kanale, starając się ukryć swoją sygnaturę cieplną przed czujnikami termograficznymi, których na pewno używali piloci śmigłowców CELL.

Wiedział już, kogo zabił. Rogera. Gościa, którego CSIRA czy CELL, czy cholera wie kto przysłał, żeby przesłuchał go po katastrofie, jaką zakończyła się ostatnia operacja w Nowym Jorku.

Pamiętał zarazę, kwarantannę. Pamiętał, jak poproszono CELL, by w roli wojskowego podwykonawcy korporacja zaprowadziła w mieście stan wyjątkowy. Pamiętał, jak na niego polowali. Pamiętał też Cepidów. Tych samych obcych, z którymi po raz pierwszy zetknął się na Pacyfiku, na wyspie Lingshan. Przypominających mątwy kosmitów, obleczonych w maszyny wojenne, które stopniem technologicznego zaawansowania były na głowę najlepszy ówczesny ziemski sprzęt wojskowy. Pamiętał, jak jego skafander scalił się z ich technologią. To nie był ostatni raz.

Części spośród tych zdarzeń był świadom, jeśli nie on sam, to przynajmniej był ich świadom kompozyt jego i Alcatraza, teraz jednak wspomnienia się poszatkowały. Wydarzenia rozgrywały się jak dwa nagrania tej samej sytuacji, nałożone jedno na drugie i nie do końca zsynchronizowane.

To nie koniec. Im dalej cofał się w przeszłość, tym było gorzej. Pamiętał Lingshan, ale jakimś cudem odbywał równocześnie szkolenie SERE w Brunswick w Maine.

Pamiętał Kolumbię, ale w tym samym czasie uciekał ze szkoły i włóczył się z kumplami. Pamiętał Irak i jednocześnie czytanie komiksów, jazdę na rowerze, włamanie do jakiegoś oceanarium. Pamiętał obóz dla rekrutów i mamę wpajającą mu bojaźń bożą. Problem w tym, że matka ze wspomnień, nałożona teraz na piekło szkolenia rekrutów, była biała. A pani Barnes z całą pewnością biała nie była.

Dochodziły do niego również i inne sygnały. Strach przed położeniem się w ciemnej wodzie kanału – skąd się to wzięło? Głowa Proroka zdawała się pękać. Ból atakował jak palące, białe światło za oczami. Był pewny, że z uszu pod hełmem cieknie mu krew, ale przecież trupy nie krwawią. *Może to kombinezon wrasta mi w głowę, żeby mnie naprawić*, pomyślał. Skafander powinien być w stanie zakomunikować mu, co się dzieje, co jest przyczyną bólu, ale jego medyczne odczyty wydawały się sprzeczne.

Prorok wiedział, że to wszystko nie ma znaczenia. Jedynym, co się teraz liczyło, była misja. To, co wiedział. Co widział tam, na Lingshan, w lodzie. Wiedział, że to jeszcze nie koniec. Kiedy przystawił sobie karabin do głowy, zrobił to z powodu choroby; powtarzał sobie, że nie ma wyboru. Odsuwał od siebie myśl o tym, jak bardzo dotyk chłodnego metalu kusił go obietnicą upragnionego odpoczynku.

Wrzasnął z bólu. Zalała go czerń.

Przeładowanie czujnika olfaktorycznego. Po polu widzenia Proroka spłynęły informacje opisujące chemiczną reakcję rozkładu. Systemy biotelemetryczne oznajmiały mu właśnie, że siedzi w cuchnącym zaułku pełnym śmieci.

Był tu ktoś jeszcze. Mimo dezorientacji Prorok przeżył szok, stwierdzając, że jakimś cudem on, bóg wojny w nanoskafandrze, dał się podejść w brudnym zaułku. Mężczyzna – dobrze zbudowany, podgolone z boków i przystrzyżone na płasko z góry włosy, zielone oczy. Poza tym wyglądał zaskakująco pospolicie. Na oko – dwadzieścia kilka lat. Dżinsy i T-shirt, noszony mimo chłodu, nie były w stanie ukryć jego żołnierskiej postury. Prorok dostrzegł dół wytatuowanej skrzydlatej czaszki. Czaszka miała w ustach automat oddechowy, a pod nim słowa „Szybcy, cisi, zabójczy”.

– Pieprzony marynarzyk... – wykrztusił Prorok.

– Pieprz się, armijna rzygowino – odparł tamten bez śladu emocji.

Rzucona przez niego pusta butelka roztrzaskała się o ścianę. Prorok został sam. Z trudem dźwignął się na nogi. Zachwiał się lekko, ale czuł, że odzyskuje siły. Przypuszczalnie skafander właśnie kombinował, jak poradzić sobie z tą dziwną sytuacją.

Z każdym stawianym krokiem Prorok stawał się coraz bardziej czujny. Wyjrzał

z zaułka. Przed sobą miał zalaną deszczem promenadę, za nią plażę i ciemne wzburzone morze.

Systemy nawigacyjne skafandra próbowały mu to przekazać już od jakiegoś czasu, ale dopiero widok promenady z jaskrawymi neonami i witrynami kasyn sprawił, że informacja w końcu do niego dotarła: Atlantic City. *Jeszcze tego mi brakowało, pomyślał Prorok. Jestem w Jersey.*

Pora musiała być późna, bo promenada świeciła pustkami. Wciąż trochę zdezorientowany, Prorok postanowił, że chce zobaczyć ocean. Włączył tryb maskujący – pole soczewkujące zmieniło go w ducha – i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Obejrzał się za siebie i zobaczył w barowej witrynie reportaż w holograficznej projekcji Macronetu. Myślą połączył się z siecią, wyszukał nagranie i ściągnął je na swojego HUD-a. Zobaczył najemników CELL, którzy wlekli i rozstrzeliwali ofiary manhattańskiego wirusa. Po chwili ich miejsce zajęli członkowie zarządu Hargreave-Rasch, eskortowani przez tłum reporterów. Podpis głosił: „Zarząd Hargreave-Rasch ma stanąć przed komisją Kongresu w sprawie Kryzysu Manhattańskiego”.

Prorok domyślił się, że zarzuty dotyczyły przestępstw, które teraz określano mianem zbrodni wojennych. Owszem, był zdania, że członkowie zarządu powinni zostać ukarani za to, co zrobili, ale nie miał wielkich nadziei. System był za bardzo przeżarty korupcją, a dział PR Hargreave-Rasch na pewno już kombinował, jak przedstawić nowojorskie wydarzenia w korzystnym dla firmy świetle.

Prorok dotarł do plaży, nie przyciągając niczyjej uwagi swoją zwałistą postacią. *Zadanie, muszę się skupić na zadaniu.* Po raz pierwszy od dawna wykonywał własną misję. Nie robił tego, co kazali mu inni. Po raz pierwszy od dawna miał też przekonanie, że to, co robi, jest słuszne. Cel był prosty: przetrwać.

Wróciła mu prawie całkowita jasność myślenia. Ból głowy nie mijał od Nowego Jorku, ale mdłości i zgaga ustąpiły. Obserwowanie oceanu zawsze sprawiało mu przyjemność, lecz teraz ten widok go denerwował. Nie lubił już wody.

– Wróciłeś, tak?

Prorok obejrzał się i zobaczył dziewczynkę, dziesięcio-, najwyżej dwunastoletnią. Stała i uśmiechała się do niego. Była brudna, odziana w łachmany, miała ciemne włosy i zielone oczy.

Co tu się dzieje? Skąd ona się tu wzięła?! Prorok uświadomił sobie nagle, że jest w jakimś nowym miejscu.

Zerknął na GPS. Ventnor City. Na HUD-zie pojawiały się dokładne informacje.

Dzielnica robotnicza, powoli przejmowana przez gangi i pogrążająca się w narkomanii – dzieło podwójnej recesji. Prorok nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tu był, ale dziewczynka najwyraźniej go znała.

Stał między jakimiś drzewami za rzędem obitych sidingiem domków, które dawno temu mogły być nawet przytulne. Skrawek pobliskiego parku zaśmiecono pustymi butelkami, puszkami, igłami i innym narkotykowym instrumentarium. Z zagłębienia w ziemi wyzierały resztki ogniska.

– Czytałam Biblię – odezwała się znowu dziewczynka. – Mama zawsze mówiła, że to dobrze. Że tak trzeba. Zanim mi ją zabrali.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Wyglądała, jakby miała się rozpłakać.

Prorok nieczęsto miewał styczność z dziećmi. Umiał sobie z nimi radzić, kiedy było trzeba, kiedy jego znajomi zaczęli się żenić i zakładać rodziny; może traktował je trochę za surowo, ale to wynikało z jego żołnierskiej natury. Jednak dzieciaki go lubiły, sporo wiedział i umiał robić różne fajne rzeczy. Ale w tym wypadku nie miał pojęcia, jak się zachować.

Przypomniał ją sobie. Alice, jego młodsza siostra. Rodzice sprawili sobie dzieci o wiele za późno. Pamiętał, jak mała była Alice, kiedy u matki zdiagnozowano wczesną postać Alzheimerera. Zastanawiał się, czy miała go już, kiedy zachodziła w ciążę po czterdziestce. Może nawet wcześniej, kiedy rodziła jego.

Matka zawsze była religijna. Już jako dorośli, Prorok nabrał przekonania, że po części wynikało to ze strachu, po części z potrzeby osądzania innych. Kiedy Alzheimer dał o sobie znać, cóż... wtedy dopiero zrobiło się naprawdę wesoło. Wiedział, że to przez chorobę, ale dla dziecka taka świadomość nie ma zbyt wielkiego znaczenia, kiedy jest bite i słyszy, że pójdzie do piekła. Piechota morska w porównaniu z sytuacją w domu wydawała się całkiem przyjemną alternatywą.

Nie! To nieprawda! Nazywam się Laurence Barnes, wychowałem się w San Diego. Zwą mnie Prorokiem! Prorok wiedział, że te wspomnienia są fałszywe. Należały do kogoś innego. Na HUD-zie pojawiły się czerwone symbole ostrzegawcze – to kombinezon dokonywał analizy tego, co działo się w głowie jego właściciela. Prorok brał udział w strzelaninach w kilkunastu krajach świata, ale tutaj, w Jersey, skonfrontowany z dziesięciolatką, która gdzieś tam w duchu była jego siostrą, choć nigdy siostry nie miał, spanikował.

– Mama mówiła, że w Biblii jest odpowiedź na wszystko. Masz na sobie zbroję, prawda?

Prorok uspokoił się siłą woli. Ból promieniujący z martwej tkanki jego czaszki stawał się niemal nie do zniesienia. Tańczyły przed nim białe światełka, miał ochotę

krzyczeć.

– Jesteś aniołem, prawda? – Omal się nie roześmiał, a zarazem zapragnął zwymiotować. Gdyby tylko wciąż mógł. W kontekście rzeczy, które robił, pytanie dziewczynki zabrzmiało niemal obscenicznie. – Nie masz skrzydeł. Bóg się na ciebie pogniwał?

Skąd, choć czasem tak mi się wydaje.

– Alice! – Ostry głos przeciął wilgotne, nocne powietrze. – Gdzie jesteś, ty mała suko? Chodź tu szybko, bo poczujesz moją rękę.

Prorokowi nie spodobał się ten głos. Cofnął się i włączył tryb maskujący. Dopiero wtedy zobaczył, jak bardzo Alice się przestraszyła.

Alcatraz zawsze zgrywał twardziela, kiedy chodziło o jego matkę. Nie było dla niego problemem zerwać z nią kontakty, kiedy trafiła do zakładu zamkniętego. Powtarzał sobie, że nie ma wyrzutów sumienia, iż nigdy jej nie odwiedził. Ale mimo że terroryzowała go w dzieciństwie, Prorok wiedział, że to nieprawda.

Kiedy trafiła do wariatkowa, jego – *nie jego, tylko Alcatraza* – ojciec szybko się wykończył. Momentalnie, bez hałasu. Alice trafiła do rodziny zastępczej. W łzawych rozmowach jej starszy brat obiecywał, że kiedy tylko wróci do domu, będzie mogła z nim zamieszkać.

– A potem zginąłem w Nowym Jorku. Kiszka, co?

Prorok obrócił się gwałtownie, szukając źródła tego głosu. Nikogo nie zobaczył. Mężczyzna o szurzejącej twarzy, w spodniach od pizamy, podkoszulku na ramiączkach i, co dziwne, getrach, też musiał coś usłyszeć, bo obejrzał się w jego kierunku. Uznawszy, że to nic ważnego, odwrócił się z powrotem do Alice. W jego przekrwionych oczach błyskała wściekłość. Dziewczynka trzęsła się ze strachu.

– Co ci mówiłem?!

– Ale kiedy? – spytała, zdezorientowana i przerażona.

– Będziesz mi tu pyskować? – Uniósł rękę, jakby chciał ją spoliczkować wierzchem dłoni. Skuliła się tak, że Prorok nie miał żadnych wątpliwości, iż była już bita wiele razy.

– Hej – powiedział cicho komandos. Mężczyzna znieruchomiał. – Odwróć się.

Tamten zapanował nad strachem na dość długo, by zrobić, co mu kazano. Niczego nie zobaczył. Rozejrzał się, a kiedy wciąż niczego nie dostrzegł, wrócił jego gniew. Z powrotem zajął się Alice. Prorok ostentacyjnie wyłonił się z pustki. Mężczyzna wydał z siebie piskliwy wrzask, urwany raptownie, kiedy komandos chwycił go za brodę i podniósł. Złapany zsikał się w spodnie.

To rozumiem, w takiej sytuacji wiem, co robić, potrafię skutecznie i wprawnie

zastosować strach i przemoc.

Poczuł, jak szczęka mężczyzny pęka, a potem łamie się w kawałki pod naciskiem jego wspomaganym kombinezonem palców. Tamten wciąż jakimś cudem wydawał z siebie piski i jęki, mimo lejącej się z ust krwi.

– Mogę być wszędzie, ale ty nigdy nie będziesz wiedział, gdzie – szepnął do niego Prorok. – Będziesz się opiekował Alice i innymi dziećmi najlepiej, jak umiesz. Nigdy nie podniesiesz na nie ręki, ani nawet nie powiesz im złego słowa. Będziesz je traktował tak dobrze, jak tylko potrafisz. Przestaniesz pić i robić cokolwiek, co zmienia cię w śmierdzącego, wstrętnego robaka, bo ja będę cię sprawdzał. Będę cię sprawdzał regularnie, a jeśli nie spodoba mi się to, co zobaczę, pouryvam ci kończyny i zespawam rany. Rozumiesz?

Mężczyzna nie odpowiedział.

– Pytałem, czy rozumiesz?

– Chyba nie może mówić... – wydukała Alice, próbując zapanować nad przerażeniem. Na dźwięk jej głosu Proroka zalała fala wyrzutów sumienia. Zapomniał o niej. To, co zrobił dla dobra dziewczynki, okazało się tylko kolejnym aktem przemocy. Puścił mężczyznę, który na ziemi zwinął się w kłębek i cicho pojękiwał.

– Wynoś się stąd – powiedział cicho Prorok. Tamten się nie ruszył, tylko jęczał. Prorok zrobił krok w jego stronę; dopiero wtedy mężczyzna poderwał się i uciekł na czworakach.

Komandos spojrzał na Alice.

– Przepraszam – powiedział.

– Bóg wybaczy mu jego grzechy, tobie też.

Prorok miał ochotę się rozplakać. Wiedział, że wystraszona dziewczynka tworzy właśnie złożoną fantazję wokół dziwnej postaci, którą spotkała. Tłumaczyła pewnie sobie, że jest upadłym aniołem, który będzie jej strzegł i bronił, żeby odkupić własne grzechy. Okropna świadomość, że pod zbrojonym karbopłatyną koltanowo-tytanowym egzoszkieletem kryje się ożywiony trup jej starszego brata sprawiała, że wszystko to stawało się jeszcze bardziej przerażające.

– Mówiłeś poważnie? Że będziesz mnie strzegł?

Prorok przez dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nie skłamać. Rozpaczliwie chciał. Chciał jej powiedzieć to, co pragnęła usłyszeć, ale nie mógł. Była o wiele za dobra, zbyt wspaniałomyślna i naiwna, by przeżyć w sytuacji, w której się znalazła.

– Nie – odpowiedział jej w końcu. – Powiedziałem to, żeby go przestraszyć i zmusić, żeby się tobą opiekował. I pewnie będzie to robił, ale tylko przez jakiś czas. Musisz być czujna, nie wychylać się, schodzić mu z oczu i wymyślić, jak bezpiecznie

od niego uciec, jak tylko będziesz wystarczająco duża. Mam na myśli szkołę, a nie ulicę. Alice, musisz nauczyć się dbać o siebie i walczyć o swoje. Nie bij się z nikim, jeśli nie musisz, ale kiedy ktoś cię uderzy, oddaj mu, i to mocniej. Rozumiesz? Bóg to zrozumie.

A jak nie, to niech spierdala.

Dziewczynka pokiwała głową, w oczach miała łzy. To nie wystarczyło.

– Musisz pewnie pomóc też innym dzieciom, prawda? – spytała, wycierając nos rękawem.

Nie. Mam zadanie do wykonania i tylko ono się liczy, o ile twój brat mi pozwoli.

Prorok kiwnął głową, wymamrotał jakieś uspokajające banały, odwrócił się. Udało mu się odejść, bo obiecał sobie, że wróci tu i sprawdzi, co się dzieje z Alice. Gdyby nie był chodzącym trupem, miałby w oczach łzy, gdy sam sobie wciskał te kłamstwa.

Omam się nie potknął, kiedy mijał Zielonookiego. Starzał się go zignorować. Tamten patrzył tylko na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

* * *

– Proroku?...

Jeszcze jeden głos w głowie?

– Proroku. Wiem, że mnie słyszysz.

Głos był znajomy, brzmiał, jakby próbował się do niego przebić już od jakiegoś czasu. Prorok rozejrzał się dookoła i westchnął. Znów przeskoczył w czasie. Siedział na zaśmieconej plaży. Zastanawiał się, dlaczego ten drugi nigdy nie zabiera go w jakieś przyjemniejsze miejsca. Spojrzał na wzbijające się w powietrze stado mew. Z drugiej strony w swoim nanokombinezonie pewnie za bardzo rzucał się w oczy.

– Proroku, to milczenie nie służy żadnemu z nas. Moim zdaniem masz kłopoty i chyba możemy ci pomóc.

Rozpoznał głos. To był Karl Rasch. Prezes Hargreave--Rasch BioMedical. Firmy, która stworzyła żywą broń, kontrolującą zdecydowanie nieżywe, skradzione przez niego ciało.

Hargreave-Rasch była także firmą-matką CryNet Systems oraz CryNet Enforcement & Local Logistics, tak zwanych „wojskowych podwykonawców”, którzy z takim zaangażowaniem strzelali do niego w Nowym Jorku. Zabił wielu spośród nich, podobnie zresztą jak Cepidów.

– Znajdę sposób, żeby przerwać to łącze na stałe – mruknął. Gdy tylko to powiedział, HUD wyświetlił mu opcje systemów łącznościowych nanoskafandra,

a heurystyczne układy kombinezonu wzięły się do pracy.

Wrócił Zielonooki. Przyglądał się Prorokowi uważnie i słuchał jednej strony tej konwersacji. Siedział na sterwie wyrzuconego na brzeg drewna. Mewy nie zwracały na niego uwagi.

– Zastanów się, czy to aby na pewno dobry pomysł? – Głos Rascha był kulturalny, dystyngowany, z mocnym niemieckim akcentem. – Chyba nie czujesz się najlepiej. Potrafimy ci pomóc.

– To nie koniec. Wiem, co planują Cepidy. Nie ma przyszłości... – Prorok przeklął się w duchu. Zielonooki wciąż się w niego wpatrywał.

– Możemy ci pomóc, chodzi nam o to samo, co tobie.

– Gówno prawda, chcecie mnie obedrzeć ze skóry. Wykorzystać, co wasza firma robi bez przerwy.

Pamiętał swoją kłótnię z Psycho na wyspie Lingshan. Brytyjczyk był przekonany, że są zaledwie królikami doświadczalnymi w eksperymentach Hargreave-Rasch.

Rasch nie odpowiedział od razu.

– Jesteś żołnierzem, Proroku. To się wiąże z nieuniknionym ryzykiem. Ktoś musi wydawać rozkazy i ktoś musi ponosić ofiary. Ty, lepiej niż ktokolwiek inny, wiesz, o co toczy się gra – odezwał się w końcu.

– Owszem. Po prostu nie uważam, żebyście to wy nadawali się najlepiej do rozwiązania problemu.

– Chcemy rozprawić się z Cepidami tak samo jak ty. Potrzebuję w tym celu twojej pomocy. Jeśli obcy zwyciężą, przyszłości nie będzie miał żaden z nas.

– Chcę, żeby ta planeta przeżyła. Panu i pańskiej firmie zależy tylko na zyskach. Poza tym, skąd pewność, że po dochodzeniu w Kongresie w ogóle coś z was zostanie?

W słuchawce rozległ się suchy śmiech.

– Chyba obaj zdajemy sobie sprawę, że nie taka jest kolej rzeczy.

Nie, konsekwencje dotyczą tych biedniejszych, pomyślał Prorok.

– Nie wrócę. Nie ufam wam, poza tym mam zadanie do wykonania. Wiem, że Cepidy wciąż są aktywne i wiem, że wy też ich szukacie.

– To, w jaki sposób zintegrowałeś się z technologią Cepidów w Nowym Jorku może oznaczać, że jesteś naszą największą nadzieją. Wydaje mi się, że masz problemy. Nie wiemy do końca, co się stało. Nie wiemy, w jaki sposób twoja osobowość przetrwała, ale uważamy, że znajdujesz się pod jej silnym wpływem, że toczy się konflikt między nią a pozostałościami tożsamości kryptonimu Alcatraz.

Masz na myśli umysł, do którego należy to ciało? Prorok obejrzał się na Zielonookiego. Tamten uśmiechał się do niego. W uśmiechu tym nie dopatrzył się

jednak zbyt wiele wesołości.

– Przez to, że byłem marionetką Hargreave’a, ginęli moi ludzie. Zginąłem ja sam. Zginął ten biedny drań, w którego głowie teraz siedzę, i chociaż szalenie podoba mi się pańska parodia Wiktora Frankensteina, nie wracam. Wie pan, o co mi chodzi. Jeśli twierdzi pan, że zależy nam na tym samym, jeśli naprawdę pan chce, żeby Cepidy zostały pokonane, niech wasi ludzie nie wchodzą mi w drogę.

– Wiesz, że to niemożliwe. Nie mam władzy nad wszystkimi ludźmi CELL. Współpraca z nami to dla ciebie najlepszy sposób na wykonanie zadania. Wiem, że w tej firmie są pewne... nieprawomyślne elementy, ale możesz mi zaufać. Musisz wrócić. Potwór Frankensteina żył w samotności i spotkał go okrutny koniec...

Kombinezon pokazał mu, jak zerwać łączność. Prorok skorzystał z instrukcji, a potem skontrolował systemy wewnętrzne skafandra, szukając innych sposobów, które umożliwiałyby Hargreave-Rasch lub CELL kontakt lub, co gorsza, śledzenie go wbrew jego woli. Żadnych nie znalazł.

– Kim dla ciebie jestem? – spytał Zielonooki. – Zombie, w którym tkwisz? Dronem, platformą uzbrojenia, dla której stanowisz system operacyjny? No czym?

Prorok skupił się i próbował go zignorować. Usłyszał, że Zielonooki się śmieje.

– Spodziewasz się, że sobie pójdę? – Nagle tamten klęczał tuż obok niego. – Wiesz, co myślę? Skafander staje się twoją skórą. Jesteśmy nadludźmi, owszem, ale kiedy kombinezon scali się z ciałem, czujniki przesyłają informacje prosto do układu nerwowego. Czujemy każde trafienie, każdy postrzał czy ranę ciętą, każdy upadek, każde oparzenie. Wydaje nam się, że zginęliśmy już po tysiącokroć, czyż nie? Tym właśnie chyba jestem dla ciebie. Jestem pancernym. Mam brać to wszystko na siebie. Cały ból.

Prorok w końcu podniósł głowę.

– Moim zdaniem jesteś tu, bo nie chcesz odpuścić.

Wyrzucił to ku niebu. Zielonooki zniknął.

* * *

– Wiem, że tam jesteś.

W głosie pobrzmiwała fanatyczna pewność. Prorok słyszał już to wcześniej, na Bliskim Wschodzie, w Kolumbii.

Znajdował się w małym, sterylnym pomieszczeniu. Pustym, nie licząc łóżka z pętami. W małe okienko wstawiono grubą, zbrojoną szybę. To był jakiś oddział psychiatryczny. W takich miejscach Prorok odwiedzał swoich dawnych

podkomendnych.

Kobieta przypięta do łóżka była wychudzona, prawie szkielet. Mimo to jej twarz nie skrywała się za obojętną maską kogoś zamkniętego tu od dawna. Wyglądała na czujną, spiętą, mimo wyraźnie bijącego z oczu szaleństwa. Musiała mieć między czterdziestką a pięćdziesiątką – była o wiele za młoda na tak zaawansowanego Alzheimera.

Prorok ocknął się, jakby wyszedł z głębokiego, pozbawionego marzeń snu. Stał w kącie pokoju. Tryb maskujący nanoskafandra był włączony. Pole soczewkujące zakrzywiało światło wokół niego. W teorii czyniło go to niewidzialnym.

– Pokaż się! – syknęła kobieta. Najwyraźniej Prorok nie był wystarczająco niewidzialny, by ukryć się przed matką Alcatraza. – „I wybiegł Mu naprzeciw z grobów człowiek opętany przez ducha nieczystego. Mieszkał on stale w grobach i nawet łańcuchem nie mógł go już nikt związać. Często bowiem wiązano go w pęta i łańcuchy; ale łańcuchy kruszył, a pęta rozrywał, i nikt nie zdołał go poskromić. Wciąż dniem i nocą krzyczał, tłukł się kamieniami w grobach i po górach”².*

Cytowanie Biblii ma to do siebie, pomyślał Prorok, że zawsze można znaleźć w niej jakieś odniesienie do swojej obecnej sytuacji.

Nie miał pojęcia, co robić. Gdyby pokazał się kobiecie, jego obraz tylko by ją dręczył, pogłębiając religijny aspekt jej obłądu. Z drugiej strony już przecież wiedziała, że tu jest. Alcatraz musiał się jakoś zdradzić.

Akurat teraz postanowiłeś odwiedzić matkę? Prorok był solidnie wkurzony. Może właśnie o to chodziło, żeby ją dręczyć. Może to była zemsta.

Daj spokój, Alcatraz, to nie w twoim stylu, pomyślał. Nie miał pewności, czy dobiegające go z oddali wściekłe wycie to produkt jego wyobraźni.

– Synu? – spytała kobieta.

Cholera.

– Mamo... – usłyszał Prorok własny szept.

Kurwa, skąd mi się to wzięło?

Z jej oczu zniknął obłąd. Prorok zobaczył tylko to, co dziecko powinno widzieć w oczach matki – bezwarunkową miłość.

Pole soczewkujące opadło, wyczerpawszy energię. *Jak długo tu stałem? Jak długo ta kobieta bełkotała do niewidzialnego ducha w swoim pokoju?* Prorok zerknął na nadgarstki i kostki kobiety, otarte do krwi przez pęta. To coś więcej niż zwykły Alzheimer, uznał. Na cokolwiek cierpiała, nosiło to znamiona religijnego obłądu.

Kobieta spojrzała na ponad dwa metry zbrojonych węglem nanomiofibryl z miłością i spokojem. Prorok nie podniósł zasłony, nie odkrył twarzy. Tak jak wtedy, przy

Alice, okrucieństwem byłoby pokazywać matce oblicze jej martwego syna.

A potem z zawodem ujrzał, że jej rysy stają się ostre.

– Ty nie jesteś moim synem! – powiedziała głosem pełnym jadu i podejrzliwości. Prorok zastanowił się, czy powinien odpowiedzieć. – Kim jesteś?! I gdzie jest mój syn?

Jestem duchem, który włada ciałem twojego nieżyjącego syna. A on poległ, walcząc z obcymi.

– To był dobry chłopak. – Odwróciła od niego wzrok. – Och tak, potrafił szaleć. Czasami myślałam, że wstąpił w niego diabeł, ale w głębi ducha zawsze wiedziałam, że to dobry chłopak. Służy Bogu i ojczyźnie, wiesz? – powiedziała z dumą, a potem spojrzała na Proroka zmrużonymi czujnie oczami.

– Proszę pani. – *Co ty robisz, Proroku?!*, zapytał sam siebie. – Obawiam się, że mam złe wieści.

W oczach kobiety zaszklily się łzy. To był początek jednej z tych rozmów, których bały się wszystkie żołnierskie rodziny, i ona o tym wiedziała. Racjonalna część jej umysłu przygotowywała się na tę chwilę od kiedy jej syn wstąpił do Korpusu Marines.

– Pani syn poległ. W Nowym Jorku. – *Nowy Jork...*, pomyślał Prorok. *Nie powinniśmy ginąć w Nowym Jorku. Mieliśmy ginąć w Iraku, Kolumbii, Afganistanie, na Sri Lance, na Lingshan. Daleko stąd, w egzotycznych krajach, a nie w Wielkim Jabłku.* – Walczył dzielnie i zginął jak bohater. Dał świadectwo swoim kolegom, Korpusowi i ojczyźnie – dokończył niepewnie. Własne słowa dźwięczały mu w uszach banałem.

– To przez tę okropną przemoc, czyż nie? I narkotyki, które wam dają. I upadłe kobiety. Lecą na żołnierzy jak muchy do ekskrementów. I picie, wszyscy znajomi chcą, żeby się z nimi napić. Zawsze miałeś tylu kolegów. Tak to było?

Najwyraźniej na powrót stał się dla niej jej synem. Powiedział sobie w duchu, że powinien stąd iść. To wszystko do niczego nie prowadziło. Kobieta znów na niego spojrzała. Jej oczy na powrót wypełnił obłęd, silniejszy niż przedtem. Na surowej twarzy malował się słuszny gniew i nienawiść.

– To w ten sposób demony posiadły twoje ciało? Próbuja je wszczepić i we mnie zastrzykami i pigułkami, ale moja wiara jest mocna. Bóg i Jego anioły czuwają nad sprawiedliwymi. Chronią swoje dziatki. Oglądałam demony w sieci, w naszej świetlicy. Przemierzały ulice Sodomy nad rzeką Hudson! W biały dzień! Piekło wezbrało jak wrzód i wylało się na ulice Nowego Jorku!

Miotła się po łóżku jak opętana. Z jej nadgarstków i kostek płynęła krew, na usta wystąpiła piana i spłynęła na brodę.

– Wiem, kim jesteś, demonie! Wynos się z ciała mojego syna!

Modliła się. Wywrzaskiwała swoje zaklęcia do Boga, próbowała wypędzić z ciała syna pętającego go demona, aż wpadli pielęgniarze, żeby ją uspokoić. Prorok zagiął wokół siebie promienie światła. Z łatwością wyslizgnął się z pokoju.

Córka zobaczyła anioła. Matka – demona. Podejrzewał, że dziewczynka miała w sobie więcej nadziei, i martwił się, że matka może być bliższa prawdy.

Czego ode mnie chcesz? – zapytał.

Ale Zielonookiego nie było.

* * *

Ból w głowie był tak straszny, że aż obezwładniał. Prorok z najwyższym trudem zdołał wydostać się ze szpitala niezauważony. Osunął się na kolana. Tak dalej być nie może. Przez połowę czasu nie wiedział, gdzie jest i co robi. Prędzej czy później ktoś może go zobaczyć i złapać. Lokalna policja, jeśli będzie miał szczęście. CELL – jeśli pecha.

Zaczynało mu się wydawać, że Rasch jednak ma rację, że tylko oni mogą mu pomóc. Tyle tylko, że w to nie wierzył. Wciąż stał w miejscu ze swoją misją. Jeśli tak będzie dalej, jedyne, co może robić, to starać się uniknąć nieuniknionego w okresach świadomości i pędzić ku niemu w chwilach zatracenia.

Białe światło. Ból. Chodnik rzucił mu się na spotkanie, ale zanim się z nim zetknął, stracił przytomność.

* * *

Skądś wiedział, że jest w ruchu. Maskował się zaledwie na tyle dobrze, by nie widzieli go cywile i policja. Nie ukryłby się przed najemnikami ani obcymi. Jeśli miał trwać złączony w jedno z kombinezonem, co w obecnej chwili stanowiło synonim pozostania przy życiu, to musiał traktować swoją eskapadę jak luźny spacer. Takie przekradanie się będzie wypełniało jego życie aż do chwili, kiedy straci czujność, zostanie schwytyany i zabity.

Problem w tym, że Prorok wiedział, że teraz jest zaledwie pasażerem.

* * *

– Chyba musimy pogadać.

Prorok otworzył oczy i naprzeciw siebie zobaczył Zielonookiego. Obaj siedzieli przy prostym stole w pustym poza tym pomieszczeniu o gołych ścianach. Dzień za oknem

był szary i ponury. Krajobraz nijaki.

– To rzeczywistość? – spytał Prorok.

Zielonooki wycelował w niego palec.

– Chcę z powrotem swoje ciało.

– Ty nie żyjesz.

– Czyli jesteśmy sobie równi. Widziałem, jak wpakowałeś sobie kulkę w łeb, tyle że trup, którego zająłeś, narodził się z moim umysłem. Nie twoim.

Prorok chciał się uśmiechnąć. Chłopak był wyszczekany, ale nie byłoby źle mieć go pod swoją komendą. Uśmiech zgasł, kiedy komandos przypomniał sobie, ilu jego podwładnych zginęło. Cały legion duchów.

– Co to jest? Gdzie jesteśmy?

Zielonooki zmarszczył brwi.

– Zdaje mi się, że próbujesz zmienić temat.

Prorok zauważył, że nie ma na sobie zbroi. Był ubrany w wyjściowy mundur, którego nie nosił od lat.

– To, że przewyższasz mnie stopniem, nie daje ci prawa zabierać mi ciała.

– Prawo nie ma tu nic do rzeczy. Stało się, co się stało, i trzeba sobie z tym jakoś poradzić.

– Mógłbyś sobie odpuścić, dziadku.

– Ty też.

– Kurwa, przecież to moje ciało! – Zielonooki rzucił się przez stół i złapał Proroka za kłapy. Prorok ani drgnął. Spojrzał tylko głęboko w oczy mężczyzny. Ocenił go, oszacował – a szczerze mówiąc, także osądził.

– Nie wiem, gdzie jesteśmy, ale myślisz, że to coś da? – spytał cicho. Alcatraz osunął się z powrotem na swoje krzesło, już spokojniejszy. Wyglądał na znużonego. *Widać nawiedzanie człowieka potrafi dać mu w kość*, pomyślał Prorok. Zielonooki podniósł na niego wzrok.

– Ja cię nie nawiedzam. Ja nawiedzam swoje ciało.

– Tym właśnie jesteś? Duchem?

– Może. A może... częściowo wykasowanym programem albo informacją, która w systemach kombinezonu zyskała formę. A może po prostu efektem twojego załamania nerwowego. Przyszło ci to do głowy? A ty? Kim ty według siebie jesteś?

– Jestem Pro...

– Kiedyś Laurence Barnes, nieprawdaż?

– Wciąż...

– On nie żyje. Może umarłeś, kiedy założyłeś kombinezon, a może wtedy, gdy

palnąłeś sobie w łeb, ale teraz nie żyjesz. Jesteś upiorem zamieszkującym skradzionego trupa, demonem, który opętał ciało, potworem Frankensteina, zlepionym z ożywionych zwłok i obcej technologii.

– Mówisz jak swoja matka – Prorok chciał go sprowokować. Twarz Alcatraza stężała.

– Jebać tę sukę.

Tak? Kogo ty chcesz nabrać, młody? Prorok był prawie pewny, że prawdziwy Alcatraz tak się nie wyrażał. To był język wyniesiony z koszar. Fasada. Wzruszył ramionami.

– No? – spytał. – Czego ode mnie chcesz?

– Żebyś odpuścił. Żebyś się wyniósł.

– Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem?

– A ty co, mój tato jesteś?

Gdybym miał nim dowodzić, najpierw trzeba by go było ustawić do pionu, pomyślał Prorok. Rozmowa zaczęła przypominać te, które podsłuchał u swojej siostry i jej nastoletnich dzieci.

– Pytam poważnie.

– Jakim życiem?

– Będziesz czepiał się słówek? – Prorok coraz bardziej się niecierpliwił.

– Nie, i w tym właśnie rzecz, rozumiesz? To nie żadne słówka. Planuję udać się na wieczny odpoczynek. Obaj nie żyjemy. Obaj musimy odpuścić. Teraz jesteśmy tylko groteskowym dowcipem.

Jest w tobie więcej twojej matki, niż chciałbyś przyznać, co, synu? – pomyślał Prorok, ale zachował to dla siebie.

– Przykro mi. Potrzebuję twojego ciała do czegoś ważniejszego.

– Niby czego? Jesteśmy trupem w pieprzonym skafandrze.

– Zapomniałeś już o Nowym Jorku? O tym, że najechały nas mątwy z kosmosu?

– Kurwa, człowieku, to już przeszłość. Załatwiłem... załatwiliśmy to.

– To nie koniec.

Zielonooki przełknął ślinę. Prorok przyjrzał mu się surowo. Takie spojrzenie rzucał podwładnym, kiedy służył w armii, w 82. Powietrznodesantowej, przed Delta. Postukał się w głowę.

– Tak, widziałeś to, prawda, synu? – Alcatraz nie odpowiedział. – Walczyłeś ze wszystkich sił. Dobrze się spisałeś. Byłeś dobrym żołnierzem... i przykro mi, naprawdę, ale dla ciebie wojna się już skończyła.

Zielonooki otworzył usta, żeby zaoponować, ale Prorok nie dopuścił go do głosu.

– Co ty sobie wyobrażasz? Odwiedzasz siostrę? Matkę? A teraz? Gdzie jesteśmy?

– Jesteśmy tutaj. Musisz...

– Gdzie jesteśmy w prawdziwym świecie? To pożegnanie, synu. Przykro mi, że zginąłeś. Uważam, że jak najbardziej zasłużyłeś na odpoczynek, ale potrzebuję twojego ciała i musisz uwierzyć mi na słowo, że to ważne. Gdybyś wiedział to, co ja wiem, gdybyś widział to co ja, to nie musiałbym cię nawet przekonywać.

– To moje ciało – powiedział cicho Alcatraz.

– Chcesz tej wojny? – spytał Prorok. Uświadamiał sobie coraz dobitniej, że sam też jej nie pragnie. Po prostu nie widział innego wyjścia.

– To koniec – oznajmił. – Wszystko się skończyło, zanim zdążyło się na dobre zacząć, i myślę, że o tym wiesz. Masz rację, to twoje ciało, ale wydaje mi się, że gdybyś naprawdę chciał je odzyskać, już byś to zrobił.

Prorok patrzył, jak jego słowa docierają do Zielonookiego, widział jego narastającą rezygnację. Z Alcatraza uchodziło napięcie. Prorok wstał. Przygładził mundur i wyciągnął rękę. Alcatraz spojrział na podaną mu dłoń. Twarz miał zupełnie nieodgadnioną. W końcu podniósł się z krzesła.

– Alice? – spytał.

Misja, pomyślał Prorok.

– Zjrzę do niej, kiedy będę mógł. – Prawie sam uwierzył w to kłamstwo. Zielonooki skinął głową.

– Jak się nazywasz, synu?

Alcatraz powiedział mu.

* * *

Stał samotnie na cmentarzu pod szarym niebem. Popatrzył w dół, na nagrobek.

System heurystyczny: rozwiązywanie problemów w oparciu o doświadczenie. Innymi słowy, nauka. *Jak inteligentny jest w rzeczywistości ten skafander?* – zastanowił się Prorok. Potem się poprawił: *Jak inteligentna jest wbudowana w niego obca technologia?* Cepidy były gatunkiem adaptatywnym, reagowały na zewnętrzne bodźce. Kiedy zderzały się z nową sytuacją, zmieniały podejście tak długo, aż odnosiły sukces; w przypadku niepowodzenia ulegały zniszczeniu. Kombinezon wiedział, że z Prorokiem jest coś nie w porządku. Czy raczej – wiedział, że coś jest nie w porządku z jego procesorem. Czyżby znalazł sposób, żeby go naprawić? A może dokonał wyboru między Prorokiem i Alcatrazem? Prorok uświadomił sobie, że nie chce zbyt dogłębnie tego roztrząsać...

Dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo zazdrości Alcatrazowi spokoju, nawet jeśli ów spokój sprowadzał się do najzwyklejszego nieistnienia.

Wrócił myślą do stwierdzenia, które usłyszał na szkoleniu od pewnego podoficera: pod ostrzałem znajdujesz albo osłonę, albo Boga. Alcatraz raczej nie miał wielkiego wyboru.

Prorok spojrział na grób ojca Alcatraza. Potem odwrócił się i odszedł, słysząc echo ostatnich słów tamtego.

– Nazywają mnie Alcatraz. Pamiętaj mnie.

* za Biblią Tysiąclecia (przyp. tłum.)

Archeologia

Petersburg, 2024

Amanda spojrzała w dół, w mrok. Ciemność była zupełna. Absolutny brak światła. Wiedziała, że gdzieś tam na dole musi być jasno, ale miała wrażenie, że będzie tak opuszczać się w czarną otchłań bez końca. Było cicho, zimno, powietrze prawie się nie poruszało. Lampy przymocowane do stalowej ramy windy oświetlały gładką, kamienną ścianę szybu. Skała wyglądała na naturalną, ale według informacji z odprawy została wydrążona przez Cepidów tysiące lat temu.

Dziesiątki metrów nad nią znajdował się Ermitaż, panował mróz i leżała gruba warstwa śniegu. Petersburska zima. Wystawiony na pokaz dekadenski przepych carskiej kultury. Dziwny to kontrast z ciemnością, surową skałą i tym, co tu znaleźli, głęboko pod powierzchnią ziemi.

W dole pod sobą Amanda dostrzegła w końcu słaby blask.

* * *

Winda opuszczała ją na główne stanowisko. Z grubsza półkulistą grotę oświetlały przenośne reflektory. Słysząc było rytmiczny terkot dieslowskich generatorów. Na dole panował mróz, mimo rozstawionych nagrzewnic. Owinęła się długim płaszczem. Skalna podłoga groty była ciągiem łagodnych wzniesień i wgłębień, które wyglądały jak wyżłobione przez wodę. Przez jaskinię przepływało kilka strumyczków.

Główna grotta – Stanowisko A – była gwarna jak ul. Na całej powierzchni jej dna mężczyźni i kobiety w niezliczonych warstwach znoszonej odzieży łupali kamień najróżniejszymi ręcznymi i elektrycznymi narzędziami. Kiedy winda zjechała niżej, dało się zobaczyć biegnące w skale metalowe łączenia. Nie wyglądały na dzieło natury – układały się w wyraźne, nieprzypadkowe kształty. Ktoś zatopił w skale obwody scalone – to było najtrafniejsze skojarzenie, jakie przyszło Amandzie do głowy, nie oddawało ono jednak niezziemskiego charakteru tej technologii. To coś istniało w tym miejscu na długo przed pojawieniem się człowieka. Amanda, która przeżyła kryzys w Nowym Jorku, żywiła zdrowy szacunek i strach przed Cepidami oraz ich techniką. Rozumiała, dlaczego Hargreave-Rasch chce tak dokładnie badać cepidzkie znaleziska, ale po nowojorskich doświadczeniach czuła się przy nich

zdecydowanie nieswojo.

Całego stanowiska pilnowali żołnierze CELL. Dwóch z nich czekało na nią na dole szybu przy windzie.

– Alan, Mikey, jak leci? – spytała Amanda z wyraźnym nowojorskim akcentem. Autentycznie ucieszyła się na widok dwóch najemników, z którymi pracowała trzy lata, dopóki pracodawca nie zdegradował jej i nie wysłał na zieloną trawkę.

– Dobrze cię widzieć, Cross – odparł Alan z uśmiechem. Dobrze zbudowany Amerykanin o piwnych oczach, krótko przyciętych ciemnych włosach i płaskiej twarzy służył z nią jeszcze w SRT. Namówiła go, żeby wstąpił do CELL, kiedy odszedł z żandarmerii. Teraz tego żałowała.

– Witaj, szefowo – powiedział Mikey i uściskał ją. Jeszcze nie tak dawno nie tolerowałyby czegoś takiego. Teraz, szczerze mówiąc, miała to w dupie. Od chwili odejścia z armii jej kariera wcale nie nabrała przesadnego rozpędu.

Wymienili się nowinami, ale były to błańhostki, nie dotyczące obecnej sytuacji. Amanda знаła obu mężczyzn wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że coś ukrywają.

– To jaki jest ten wasz szef, jak mu tam, Walters? – spytała. Mikey i Alan popatrzyli po sobie.

– Asher chce się z tobą widzieć – zakomunikował Mikey. Brytyjczyk afrokaraimskiego pochodzenia nie chciał jej spojrzeć w oczy.

Dowódcą ochrony był John Walters. Miał reputację kompetentnego, choć pozbawionego wyobraźni i nadmiernie surowego dowódcy. Po degradacji Amandy odziedziczył jej drużynę. Przez ostatnie półtora roku Cross pełniła funkcję niewiele ważniejszą od ochroniarza w supermarkecie.

Niedobrze jednak było słyszeć, że kierujący wykopaliskami doktor Asher próbuje kontrolować także kwestie bezpieczeństwa. Ochrona miała stworzyć bezpieczne środowisko pracy, ale pod niezależnym dowództwem co jakiś czas – z przyczyn bezpieczeństwa właśnie – musiała zakłócać rutynowy przebieg operacji, której strzegła.

Poza tym Amanda znała reputację Ashera. Przed kryzysem w Nowym Jorku stał bardzo wysoko, ale jednego z jego podwładnych, niejakiego Nathana Goulda, spotkało coś, co sprawiło, że jego przełożony wypadł z łask. Amandzie obito się też o uszy, że jeszcze wcześniej osobista ochrona Ashera nie raz musiała tuszować skutki jego co bardziej podejrzanych działań.

– Wolałabym najpierw zobaczyć się z Waltersem, jeśli mam zostać jego zastępczynią – powiedziała.

Tamci znów spojrzeli po sobie.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – spytała wprost.

Od czasu Nowego Jorku nie dbała tak naprawdę o swoją karierę. To był pierwszy awans od momentu degradacji. Nie mogła się doczekać pracy ze starym zespołem, bo uważała, że wyszkoliła ich na lepszych specjalistów niż te żółtodzioby i malowane żołnierzyki, których zazwyczaj zatrudniała CELL. Przede wszystkim jednak chciała zabezpieczyć sobie ciepłą posadkę do momentu, aż uskłada na jakąś sensowną emeryturę. Chociaż przy nieustannych zmianach warunków w dokumencie, który tylko w żartach można by nazwać kontraktem, emerytura stawała się coraz bardziej odległa.

– Tylko wiesz, Amando, Asher utrudnia życie ludziom, którzy nie robią tego, co im każe... Nie możesz najpierw porozmawiać z nim? – spytał Alan.

Amandzie nie spodobał się ton jego głosu. Słyszała w nim rezygnację.

– Wszystko gra? – spytała, zarzucając na ramiona obie swoje torby. Kolejna wymiana spojrzeń. – Dobra, gadać mi natychmiast!

– Chodzi o Sam – oznajmił Mikey.

Mikey był twardy – w brytyjskiej armii służył jako oficer żandarmerii, specjalista od bliskiej ochrony – ale teraz wydawał się przetrącony. Sam była najmłodszym członkiem ich grupy. Bez przerwy musiała coś nadrabiać. W przeciwieństwie do pozostałych trafiła do nich prosto z cywila. To, czego brakowało jej kompetencjom, kompensowała z naddatkiem miłym charakterem, do tego robiła postępy. Kiedy Amandę zdjęto z dowodzenia zespołem, Sam zapowiadała się bardzo obiecująco i dobrze spisała się w Nowym Jorku – przynajmniej nie gorzej niż pozostali.

Amanda poczuła, jak kurczy się jej żołądek. Nie zamierzała się rozpląkać – już dawno temu nauczyła się nie okazywać słabości przy innych. Kiedy nadarzy się okazja, ewentualnie obali w samotności butelkę wódki i wtedy poszłoła. Tak było łatwiej.

– Co się stało? – spytała, panując nad emocjami. Mikey i Alan milczeli. Nie chcieli jej spojrzeć w oczy. – To się stało tu, na dole?

– Musisz porozmawiać z Asherem – powiedział Alan. – On... yyy... to on się zajmuje tym, co zaszło dziś rano.

Amanda popatrzyła na jednego i drugiego. Zmroziło jej krew w żyłach.

– Są tu na dole jakieś aktywne Cepidy? – spytała zdecydowanie. Nie usłyszała odpowiedzi. Oparła się ciężko o metalową klatkę windy. Koszmarne wizje Nowego Jorku, które starała się ignorować, powróciły ze zdwojoną siłą. Najemnicy z innych zespołów rozwalający tych dotkniętych Rapture, manhattańskim wirusem. Widok jej zarażonego brata. Połowa jej drużyny martwa, rozdarta na strzępy przez

opancerzonych obcych – a wszystko to jakimś trafem w jej rodzinnym mieście.

Chciała powiedzieć im, żeby wszystkich stąd wyprowadzili. Żeby ściągnęli do jaskiń specjalne jednostki CELL albo jeszcze lepiej, wypalili korytarze żywym ogniem. Z bolesnego doświadczenia wiedziała jednak, że Hargreave-Rasch BioMedical, macierzysta korporacja CryNet Enforcement & Local Logistics, inwestowała o wiele więcej w swoje zainteresowanie technologią Cepidów niż we własnych pracowników.

* * *

Doktor Herman Asher był zszokowany widokiem nowej szefowej ochrony wykopaliska. Żyłasta Afroamerykanka na wygolonej głowie miała coś w rodzaju irokeza zaplecionego w warkoczyki. W obu uszach nosiła liczne kolczyki, w lewym dodatkowo tunel. Kolczyk błyszczał też w jej nosie. Miała na sobie wojskowe buty, polowe spodnie i przydziałową kamizelkę kuloodporną CELL – rozpiętą i odsłaniającą biały T-shirt. Na T-shircie widniały napisy „London Calling” oraz „Clash”, a także wizerunek mężczyzny roztrzaskującego gitarę o ziemię. Na wszystko to założyła wytarty, stary płaszcz.

– Panno Cross, co ma oznaczać pani wygląd? – spytał ostro Asher.

– To punk rock – poinformowała Amanda nadzorującego prace obleśnie grubego okularnika o świńskiej aparycji. Miała trzynaście lat, kiedy wkradła się do klubu CBGB przy ulicy Bowery, w Lower East Side, na ostatni organizowany tam koncert. Po Nowym Jorku, kiedy uświadomiła sobie, że jej kariera dobiegła końca, a ona sama ma to gdzieś, postanowiła wrócić do dawnego stylu. Przypominał jej, że miała jakąś osobowość poza CELL. Teraz jednak bardziej martwiło ją poskręcane ciało komandora podporucznika Johna Waltersa, leżące na ziemi przy Stanowisku D.

Głowa Waltersa była wykręcona o pełne sto osiemdziesiąt stopni. Miał zmiażdżoną klatkę piersiową; wyglądała tak, jakby coś bardzo mocno uderzyło go w żebra. Amanda sięgnęła do jednej z kieszeni i wyciągnęła z niej parę chirurgicznych rękawiczek oraz długopis. Przyjrzała się ranie na piersi Waltersa i potwierdziła to, czego się spodziewała.

– Umarłby od uderzenia w pierś, ale zginął w chwili, w której wykręciło mu głowę. Mikey, sprawdź jego grendela.

Mikey zsunął swoje przydziałowe rękawice, które zostawiłyby włókna na karabinie szturmowym leżącym obok Waltersa, i nałożył lateksowe, podane mu przez Amandę. Sprawdził magazynek.

– Brak sześciu pocisków – powiedział. Zgadzało się to z liczbą leżących na ziemi

wystrzelonych łusek. Amanda rozejrzała się po małej jaskini. Wychodziły z niej co najmniej trzy tunele. Duża część podłogi została odłupana i stali w wykopach pełnych technologii obcych.

Amanda przypatrzyła się ułożeniu zwłok, potem rozejrzała się dookoła. Wskazała jeden z wylotów tuneli.

– Alan, sprawdź tamto miejsce, może znajdziesz ślady po kulach.

Alan włączył latarkę przymocowaną do szyny swojego grendela i poszedł we wskazanym kierunku.

– Spodziewam się, że będzie się pani przynajmniej stosować do podstawowych wymogów CELL dotyczących ubioru – odezwał się Asher.

– No i? – spytała Amanda z roztargnieniem.

– Słucham? – naukowiec zająknął się z niedowierzaniem, czując wzbierającą złość. Cross westchnęła i podniosła na niego wzrok. Nie sądziła, żeby dane jej było go polubić. Zawsze dziwili ją tacy ludzie. Dlaczego za wszelką cenę usiłowali uprzykrzyć życie tym, którzy mogli ich bez trudu stłuc na miazgę? Obok tłustego, małego naukowca stało dwóch żołnierzy ochrony. Jednym z nich była Safiya, francuska Algierka w trzecim pokoleniu, która pracowała już kiedyś z Amandą. Poprzednio służyła w marsylskiej policji. Drugiego żołnierza – cherlaka o króliczych zębach – nie знаła.

– Założę na moment, że nie jest pan skończonym durniem – powiedziała Asherowi Amanda – i że zwłoki szefa pańskiej ochrony, które tu leżą, nie umknęły pańskiej uwadze. Jak również i to, że to już drugi trup na pana zmianie...

– Na zmianie komandora porucznika Waltersa... – poprawił ją Asher. *Jasne, zwał winę na kogoś innego*, pomyślała Amanda.

– W dupie pan ma, jak jestem ubrana. Chce mnie pan zgnoić, ustalić hierarchię. Dajmy sobie z tym spokój. Pan robi swoje, ja robię swoje i oboje staramy się jak najmniej nawzajem się wkurzać.

Asher patrzył na nią wybałuszonymi oczyma. Po raz kolejny nie potrafił pojąć, czemu te na wpół piśmienne małpoludy koniecznie muszą się odzywać, kiedy wymaga się od nich tylko tego, żeby robiły to, co każą im ludzie mający nad nimi intelektualną przewagę.

– Ojej... – powiedział z udawanym smutkiem. – Zaszło chyba jakieś nieporozumienie. Postaram się zatem objaśnić sytuację najprościej, jak umiem. Ma pani robić to, co pani każę i kiedy pani każę, i robić to bez pytania.

Amanda spojrzała na niego. W jej oczach nie było złości, tylko znużenie.

– Nie – odparła krótko. Asher zaczął przybierać zabawny odcień czerwieni. Cross

przypuszczała, że od podwładnych rzadko słyszał to słowo. – Niech pan posłucha: próbowałam już zabawy w karierę w tej zasranej branży. Nie wyszło. Nie ma mi pan czym zagrozić. Nie podobam się panu? Niech mnie pan odeśle, albo nawet zwolni, żalony mały wieprzku.

Zębaty członek ochrony Ashera zaskarbił sobie względy Amandy, starając się nie parsknąć śmiechem.

Asher robił się już bordowy, ale ostatecznie zdołał nad sobą zapanować.

– Ma pani rodzinę w Nowym Jorku, prawda, panno Cross? – spytał z uśmiechem.

– Miałam, dopóki CELL nie wysiedliła jej stamtąd pod pretekstem jakichś swoich tajnych działań. Niech pan sobie tylko wyobrazi, jak wszyscy są dla mnie za to mili na rodzinnych przyjęciach.

Amandzie nie podobało się, dokąd zmierzała ta rozmowa. Za nic nie potrafiła pojąć, czemu Kongres powierzył CELL kontrolę nad zrujnowanym miastem po bałaganie, jakiego korporacja narobiła tam podczas kwarantanny.

– Zdaje mi się, że pani bliscy przebywają w obozie dla uchodźców tuż pod Sleepy Hollow. Mogę im bardzo utrudnić życie, podobnie zresztą jak członkom pani zespołu.

Amanda spojrzała na niego z niedowierzaniem. Poczowała ten zimny gniew, który wzbierał w niej za każdym razem, kiedy ktoś groził bliskim jej ludziom. *Nie wybuchaj*, powiedziała sobie, *graj na czas*.

– Szefowo – zameldował Alan, wracając. Amanda była wdzięczna za tę naturalną konieczność zmiany tematu. Bała się już, że powie albo zrobi coś bardzo głupiego i być może brutalnego. – Trzy kule wbite w ścianę. Ciasno skupione. Pozostałych dwóch nie znalazłem. Pewnie poleciały tunelem głębiej w kompleks jaskiń. Mogę pójść ich poszukać.

Amanda już kręciła głową.

– Nie ma mowy. Jak idziemy, to kupą. – Alanowi wyraźnie ulżyło. – Powiedziałeś dwóch? – Żołnierz podniósł coś w dłoni. – No nie, co ci mówiłam o obchodzeniu się z dowodami rzeczowymi? – spytała Cross zbolalym tonem. Mikey wyszczerzył zęby w uśmiechu, a Alan zrobił zawstydzoną minę. Amanda wzięła od niego przedmiot i obejrzała go z bliska.

– Rozpłaszczony pocisk pełnopłaszczowy kalibru 6.8 mm z grendela. Standardowy, bo CELL nie nauczyła się jeszcze, żeby niedoszkolonym debilom, których zatrudnia jako żołnierzy, wydawać amunicję o niskiej prędkości wylotowej. Uderzył w ścianę jaskini.

Ale już w chwili, kiedy to mówiła, wiedziała, że coś się nie zgadza.

– Sęk w tym, szefowo, że znalazłem go w samym środku wylotu tunelu – powiedział

Alan.

– Czy Walters mógł spanikować? – spytała.

– Nie, był twardy – odpowiedziała po angielsku Safiya. Jej akcent był mieszanką francuskiego i algierskiego. – Nie było go w Nowym Jorku, ale pomagał oczyścić kilka gniazd Cepidów i brał udział w walkach na Sri Lance z waszym 10. Piechoty.

– Co by się zgadzało z ciasnym skupieniem strażów. W takim razie dlaczego nie trafił tego, w co strzelał? – Amanda wskazała wlot tunelu. – Coś na niego biegnie. On puszcza dwie trzynabojowe serie. Trafia, ale nie ma krwi? – Obejrzała się na Alana, który pokręcił głową. – To coś skraca dystans pod ogniem broni automatycznej i nie tylko pokonuje w walce wręcz wyszkolonego ekszołnierza, ale wykręca mu głowę na plecy.

– Czyli Cepid, tak? – spytał zębaty.

Amanda zerknęła na Ashera.

– Chciałby pan coś dodać, doktorze? – spytała. Asher zachował pokerową twarz.

– Myślisz, że to był Stalker? – zapytał Mikey.

– Nie ma oparzeń od plazmy, nie ma ran po odłamkach. Stawiałabym na Stalkera. – Wstała. – Alan, ilu tu mamy ludzi?

– Teraz? Dziesiątkę, licząc ciebie.

– A ze starej drużyny, poza waszą trójką?

– Danielsa, Schmidta i Okobe. O'Donnel po bójce w barze w północnej Finlandii jest kaleką...

– Tak, słyszałam, szkoda, porządna była z niej babka. Dopóki nad sobą panowała.

– Marceau zwolnili po tej aferze w Manchesterze. Nie mógł znaleźć pracy, nie dostał zasiłku, strzelił sobie w usta...

– Cholera. O tym akurat nie wiedziałam. A Harrisona załatwili w Nigerii? – Alan pokiwał głową. – Czyli trójka nowych?

– Licząc tego zębatego skurwysyna – powiedział Alan, skinieniem głowy wskazując czwartego obecnego żołnierza ochrony.

– Dzień dobry, zębaty skurwysynu – przywitała się serdecznie Amanda. Nowy uśmiechnął się i pokiwał głową. – Podoba mi się ten facet, zwłaszcza to, jak mu się nie chce domknąć gęba.

– Wszyscy mówią na mnie Hank, ma'am – przedstawił się zębaty najemnik.

– Alabama? – spytała Cross.

– Gdzie tam! Południowa Georgia.

– Masz problem z nami, kolorowymi?

– Zapominając o tym rasistowskim zaszufładowaniu mnie jako biednego białego

śmiecia, tylko przy znajomych i rodzinie.

Amanda nie zdołała ukryć uśmiechu.

– Prosto z ulicy czy gdzieś służyłeś? – spytała, wstając i otrzepując spodnie.

– Tak, 1. Marines. Trafiłem na sam koniec Sri Lanki. Byliśmy w Nowym Jorku, próbowaliśmy ewakuować cywilów. Pod pułkownikiem Barclayem.

– Porządny z niego gość – zapewnił Mikey.

– Panno Cross – przerwał im z irytacją Asher. – Mój czas jest bardzo cenny, a pani ma chyba jakąś pracę do wykonania.

– Dobra, koniec z zabawą w detektywa. Standardowa procedura operacyjna jest taka, że zabiera pan stąd wszystkich ludzi i ściąga jednostki specjalne. Oni upolują to coś, a potem możecie wracać do pracy.

– Nie, nie sądzę – stwierdził doktor Asher.

– Taka jest procedura – zaproponowała Amanda, czując, że traci nadzieję. Asher nie chciał przerwać prac i wezwać sił specjalnych, bo to oznaczało dla niego spadek wydajności i utratę kontroli. W skrócie – nie pomogłoby mu dopchać się z powrotem do korporacyjnego koryta.

– Jest was dziesiątka, a to coś tylko jedno...

– I musimy zapewnić bezpieczeństwo prac, upolować to coś, a może nawet przy tym spać. Tunele mają kilkaset kilometrów długości, nie wspominając o tym, że to może być czubek góry lodowej. Z mojego doświadczenia wynika, że gdzie jest jeden, tam pewnie jest i więcej.

– Czytałem pani akta. Grupa specjalnego reagowania żandarmerii wojskowej, potem przeniesienie do Kryminalnej Służby Śledczej Departamentu Obrony. Ma pani wystarczające kwalifikacje, żeby sobie poradzić z tą sytuacją. Była pani bardzo obiecującą młodą oficer CELL, dopóki nie zhańbiła się pani niewykonaniem bezpośredniego rozkazu i opuszczeniem posterunku w Nowym Jorku.

Amanda zacisnęła zęby, ale nie dała się sprowokować.

– Dobrze. Proszę zamknąć stanowiska od B do E...

– Otóż nie. Powiem więcej: kiedy tylko tu skończymy, proszę zabrać zwłoki, bo ściągam tu dodatkową grupę. Fakt, że to coś tu zabiło, może oznaczać, że to miejsce jest ważniejsze, niż początkowo sądziliśmy. Znajdźcie tylko to coś i zabijcie.

– Nie jesteśmy w stanie ochronić wszystkich na pięciu stanowiskach. Ludzie będą ginąć – wycedziła Amanda przez zęby.

– A śmierć Waltersa i pani obecność tutaj są dowodem, że zabitych można zastąpić. Mam pani wytłumaczyć jeszcze jakieś proste koncepcje, zanim wreszcie weźmie się pani do roboty? – spytał Asher.

Odwrócił się, żeby odejść. Safiya i Hank zostali na swoich miejscach. Naukowiec obejrzał się na nich, wyraźnie wściekły.

– Wy dwoje za mną, ale już! – warknął.

– Chce pan zatrzymać dwójkę moich ludzi?! – spytała Amanda z niedowierzaniem. Asher popatrzył na nią jak na kretynkę. – Doktorze, potrzebuję przynajmniej jednego z nich.

– Pani niekompetencja już mnie irytuje. Wystarczy jeden telefon... – Nie dokończył groźby wobec kuzynki Cross i jej rodziny w obozie dla uchodźców.

– Niech pan uważa, żeby nie przegiąć, bo ktoś może uznać, że nie ma nic do stracenia – poradziła mu Amanda. Asher znów zaczął czerwienić z wściekłości.

– Ty, niedorobiony! – powiedział w końcu do Hanka. – Zostajesz z nią.

– Tak jest, sir – odparł spokojnie żołnierz.

Amanda wolałaby Safiyę, poza tym nie podobało się jej, jak Asher patrzył na atrakcyjną Algierkę. Miała jednak całkowitą pewność, że Safiya potrafi o siebie zadbać.

Asher odszedł.

– No, no, całkiem miły gość – mruknęła Cross. Mikey się roześmiał, Alan i Hank uśmiechnęli.

* * *

Zebrała ich wszystkich na stanowisku A. Usiedli w kręgu tuż za jednym z reflektorów. Okobe, Daniels i Schmidt przywitali ją serdecznie, autentycznie zadowoleni, że do nich wróciła.

– Pono przyszedł tu z psów? – spytał Kearney, żyłasty chłopak o bandyckiej aparycji, pochodzący z jakiegoś Wolverhampton w Anglii.

Trafił do CELL na mocy brytyjskiego Aktu o Karnym Poborze. Amandzie wydawało się to dziwne. Sądziła, że poborowi objęci aktem mieli trafiać do brytyjskiego wojska, a nie do prywatnej korporacyjnej armii.

W odpowiedzi zmrużyła tylko oczy i pokręciła bezradnie głową. Akcentu Kearneya praktycznie nie dało się zrozumieć.

Miała zapiętą kamizelkę, a w kaburze na biodrze hammera II. Właśnie składała i sprawdzała strzelbę bojową Alpha Jackal; przyczepiła przedni uchwyt do szyny pod lufą i mocowała latarkę do bocznej.

– On pyta, czy jesteś z policji – przetłumaczył Daniels. Też Brytyjczyk, służył w saperach – Królewskim Korpusie Inżynieryjnym. Był mężczyzną w średnim wieku,

który powoli się wykańczał. Gdyby CELL miała choć trochę oleju w głowie, posłałaby go do obsługi technicznej maszyn i broni, ale wskutek typowo wojskowego braku logiki wcisnęła mu w ręce grendela i przydzieliła do sił ochrony.

– Byłam w żandarmerii – odpowiedziała Amanda Kearneyowi.

– Czyli poprowadzisz śledztwo?

– To nie śledztwo, lecz polowanie. Nie ma znaczenia, kto ani co to zrobiło, ani dlaczego, musimy tylko znaleźć obiekt i go zdjąć. I mam dla ciebie złą wiadomość, młody. – Kearney zmrużył oczy. – Idź zmienić Safiyę i przyślij ją do mnie.

Młody Brytyjczyk chciał zaoponować, ale Daniels obejrzał się na niego i tylko pokręcił głową. Chłopak zmilczał i poszedł w kierunku doktora, który oglądał jakieś znaleziska.

– Idziemy w głąb jaskiń? – spytał Coyle zmartwionym głosem. Był kolejnym nowym, Amerykaninem z pułku pancernego. Wyglądał jak żołnierz, który przestał się troszczyć o samego siebie i wszystko inne.

– Zgubimy się, jeśli nie będziemy mieli konkretnych informacji, gdzie to coś jest.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytał Alan Amandę. Cross się roześmiała.

– Wsadzili mnie do transportowca w Lagos. Nie powiedzieli nawet, że lecę do Petersburga.

Niektórzy z żołnierzy też się roześmiali.

– Asher ujmuje to bez owijania w bawełnę. Uważa, że każdy, kto nosi broń, jest chorym umysłowo debilem, który go nie rozumie.

– O tak, uroczy z niego gość – powiedziała Amanda. – No i?

– Sądzi, że to część komory rozrodczej. Gdzieś poniżej są Cepidy albo coś, co ma się zmienić w Cepidów, albo przynajmniej jakaś ich technologia, tak jak w Nowym Jorku.

– Nieźle. Czyli skoro jeden z nich się obudził... – Amanda załadowała do jackala przedłużony magazynek.

– To prawdopodobnie szuka sposobu, żeby obudzić resztę.

– I w Petersburgu będziemy mieli drugi Nowy Jork.

– Dla nas to i tak bez znaczenia – powiedział Daniels – bo załatwią nas w mgnieniu oka.

Był z nimi w Nowym Jorku i widział, do czego zdolne są Cepidy.

– Ja chcę tylko odpłacić im za Sam – mruknął Okobe. Mikey i Schmidt pokiwali głowami. Okobe trafił tu z nigeryjskiej armii. Był wysoki, chudy jak tyczka, ale zarazem emanował siłą. Zazwyczaj milkliwy, zbliżył się do Sam i jej śmierć mocno go zabolą. Amanda ścisnęła go za ramię. Ona też lubiła Sam.

Dołączyła do nich zdyszana Safiya.

– Mam tylko chwilkę, zamiana bardzo mu się nie spodobała – powiedziała. Rozległy się gniewne pomruki.

– Dobra, jakieś pomysły? – zaczęła Amanda.

– Claymore’y? – podsunął Daniels.

– A masz jakieś? – Saper pokręcił głową. – To akurat dobrze. Zaraz rozsmarowałyby po ścianach jakiegoś młodego ksenoarcheologa.

– Może trafiłoby na Ashera – zasugerował Schmidt. Znów wszyscy się zaśmiali. Schmidt służył jako strzelec czołgu w niemieckiej armii. Umiał o sobie dbać. Ostrzyżone po wojskowemu jasne włosy i niebieskie oczy sprawiały, że wyglądał jak aryjski ideał, co zresztą nie przystawało do jego szczerej, przyjaznej i otwartej natury.

– Musimy obstawić pięć jaskiń, nie wspominając o łączących je tunelach, a Asher chce, żeby wszystkie stanowiska pracowały bez zakłóceń. Nawet przydzielając po jednej osobie na jaskinię, będziemy mieli ciężko, w szczególności jeśli będziemy chcieli się przespać, a ktoś musi jeszcze zostać z Asherem i trzymać go za rączkę – zauważył Mikey. Amanda już kręciła głową.

– Będziemy się zmieniać przy tym tłustym chuju, żeby z Safiyi z obrzydzenia nie zeszła skóra. – Parę osób parsknęło śmiechem; chichot Algierki sprawiał wrażenie wymuszonego. – Szóstka na dyżurze, trójka ma wolne, szesnastogodzinne zmiany. – Tym razem rozległy się jęki. – Wolna trójka śpi tu, w głównej grocie. Pozostała szóstka pracuje w dwóch patrolach po trzy osoby, obchodzi wszystkie pięć stanowisk. Żadne z nas nigdzie nie idzie w pojedynkę, jasne?

Pozostali pokiwali głowami.

– Wciąż słabo – zauważył Alan.

– To wymyśl coś lepszego. Domyślam się, że zarówno Sam, jak i Walters byli sami? – Parę osób w kręgu przytaknęło. – Jak stoimy z łącznością?

– Mamy przekaźniki na ścianach tuneli. Łączność generalnie działa dobrze w pięciu jaskiniach i korytarzach między nimi, ale wystarczy zboczyć gdzieś dalej i dupa zbita – powiedział Hank.

– Kamery? – spytał Daniels. Amanda pokiwała głową.

– Chcę, żeby kamery słały obraz prosto do telefonów każdego patrolu. Da się to zrobić?

Daniels przytaknął.

– Powinienem coś wykombinować, chociaż nie mogę obiecać stuprocentowego pokrycia.

Amanda wiedziała, że to działania pozorowane. Dawała im po prostu jakieś zajęcie;

cieszyli się, że ktoś podejmuje decyzje, potrafiąc przy tym sprawiać wrażenie kompetentnego.

Kamery mogły się przydać, ale Cross była zdania, że to nie oni, lecz Stalker – czy jakiś inny cepidzki potwór, jaki tu z nimi był – narzuci tempo polowania. Dopóki nie odgadną, jaki cel mu przyświeca, gdzie przebywa i kiedy zamierza uderzyć, pozostawało im jedynie reagować.

Amanda była zdania, że mogłaby coś zdziałać, gdyby Asher wycofał wszystkich na stanowisko A w głównej jaskini. Przy obecnym rozrzucie kopaczy ktoś po prostu będzie musiał zginąć.

Światło zaczęło migotać. Wszyscy podnieśli wzrok. Cross uświadomiła sobie, że to dygocze ziemia. Reflektory przewróciły się i stłukły z brzękiem. W całej jaskini działy się podobne rzeczy, archeolodzy z trudem utrzymywali równowagę. Niektórzy łapali lampy i inny sprzęt, próbując je podtrzymać. Wszędzie dookoła groty eksplodowała skała. Rozległy się krzyki bólu ludzi trafionych odłamkami. Metalowe wstęgi w kamieniu ożyły. Organiczny, przypominający kość metal wyłaniał się ze skał niczym czubki szponów. Lśnił jakimś wewnętrznym blaskiem.

To koniec, pomyślała Amanda. *Budź się. Już po nas.* Poczwała, jak ogarnia ją ta sama groza co w Nowym Jorku. I wtedy wstrząsy ustały, równie nagle, jak się rozpoczęły. Do uszu Cross dotarły jęki i płacz ludzi w głównej grocie; byli przerażeni, a niektórzy ranni.

Wszyscy wbili w nią spojrzenia. Robiła wszystko, by nie okazać strachu.

– Mikey, Schmidt, zostajecie tu z Coylem. Macie nie pomagać nikomu, nawet rannym, tylko trzymać się razem i obejść perimetr. Alan, bierzesz Okobe i Safiyę i sprawdzacie stanowiska B i C. Daniels, ty i Hank ze mną.

Zignorowała wołania o pomoc. Zignorowała krzyczącego coś do niej Ashera i ruszyła w głąb tunelu z jackalem przyciśniętym mocno do ramienia. Rozglądając się na boki, zobaczyła, że wewnętrzny blask, który bił z metalu, gasł, zupełnie jakby z metalicznych elementów uchodziło życie.

– Gdzie jest Kearney? – spytała. Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć.

* * *

Amanda z trudem przełknęła ślinę. Nie tego się spodziewała. Na stanowisku E pogasły światła. Podobnie jak jaskinia D, E była małą grota o nieregularnym kształcie, wygładzoną przez płynącą tędy od tysiącleci wodę. Podłogę pokrywał ciąg chropowatych, wąskich bruzd wyciosanych w skale. Tak jak w głównej jaskini, tak

i tu segmentowane, przypominające kości maszyny Cepidów na chwilę ożyły i wydarły się z kamienia, i tak samo jak tam, również i tu coś przerwało ten proces. Jednak inaczej niż w głównej grocie, tu ze sterczącymi cepidzkimi elementami coś było nie tak. Sprawiały wrażenie chorych, może nawet martwych.

Trup Kearneya leżał na podłodze, ale Amanda nie miała na razie czasu go oglądać. Najpierw musieli jak najlepiej zabezpieczyć stanowisko.

Snop światła latarki przymocowanej pod lufą strzelby drżał, kiedy szukała nim obcego mordercy, przecinając smolistą czerń jaskini, prawie dwa kilometry pod powierzchnią ziemi.

Niczego nie znaleźli. Kiedy chaos i panika minęły, zdołali z powrotem podciągnąć światło na stanowisko E. Po długim przekonywaniu, że to bezpieczne, dołączył do nich bardzo rozzłoszczony doktor Asher. Zapewnił Amandę, że zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za swoją niekompetencję i dopuszczenie do uszkodzenia stanowiska. Amanda musiała powstrzymać Danielsa, żeby się na niego nie rzucił.

– To jak pan myśli, doktorze, co się tu stało? – spytała, kiedy Asher skończył ją łajać.

– Czy to nie oczywiste? Cepidzka bioforma, przypuszczalnie Stalker, przysłała tu i zabiła pani człowieka.

– W cholernie dziwny sposób – zauważył Hank.

– Wiecie, co oznacza słowo „obcy”, prawda? – spytał pogardliwie Asher.

– Został zabity czymś przypominającym ostrze, co wbito przez podstawę czaszki do mózgu...

– Wyrostek kostny Stalkera...

– Być może, ale mając pełny zespół śledczy mogłabym się dowiedzieć więcej...

– Co jeszcze chciałaby pani wiedzieć? To Stalker...

– Stalkery tak nie zabijają – powiedział Daniels ze swojej pozycji, z której obserwował wylot jednego z czarnych tuneli. Ashera jakby ktoś spoliczkował.

– Niech pani panuje nad swoimi ludźmi! – warknął, autentycznie urażony.

Którego dnia będziemy musieli zweryfikować powody twojego poczucia wyższości, pomyślała Amanda.

– On ma rację, one tną, jak mieczem – stwierdziła.

– Nie można myśleć w tak ograniczony sposób. Ten gatunek nie jest taki jak my, adaptują się z pokolenia na pokolenie. Z upływem czasu, którego nie potrzebują znowu tak dużo, wytwarzają potrzebne im narzędzia.

– Czyli możemy tu mieć do czynienia z czymś nowym? – spytała Amanda.

– Niewykluczone.

– Czy to ma coś wspólnego z uruchomieniem cepidzkiej maszynierii? – spytał Hank. Ashera rozgniewało, że zębaty żołnierz ośmielił się do niego odezwać.

– Być może, a może reagowała tylko na obecność bioformy. A teraz, chociaż ta rozmowa sprawia mi tyle samo frajdy, co uczenie małą algebry, muszę się zająć pracą.

Asher odwrócił się na pięcie i gestem dał znak Safiyi, żeby poszła za nim.

– Co się stało z cepidzką technologią w tej jaskini, doktorze Asher? – spytała Amanda. Zobaczyła, że doktor z trudem przełyka ślinę.

– Nie wiem, o czym pani mówi – stwierdził po chwili.

Łesz, kurwa, pomyślała Cross, ale nic więcej z ciebie nie wyciągnę, prawda?

– Dobrze, doktorze, w takim razie dziękujemy, wezwiemy pana, jeśli będziemy uważali, że może nam pan jeszcze pomóc – zakomunikowała naukowcowi o aparycji wieprza.

Asher chciał jeszcze zaprotestować przeciwko odsyłaniu go jak podwładnego, ale Amanda nie dała mu możliwości.

– Mikey, połóż swoich ludzi, postarajcie się wyspać, bo macie czas do szesnastej – powiedziała przez radio i zaczęła na potwierdzenie. – Alan, twoja grupa idzie na obchód, zostawcie główną jaskinię, to coś uderzy nas tam, gdzie jesteśmy najslabsi. Skupcie się na stanowiskach B do D, z E chyba już skończyło.

Amanda zerknęła na Ashera, wypatrując reakcji. Wciąż wyglądał na rozgniewanego odesłaniem, ale odwrócił się na pięcie i wyszedł z jaskini E. Safiya udała się za nim.

– Biedny dzieciak – powiedział Daniels, patrząc na Kearneya. – Niby gnojek, ale widać było, że ma w sobie coś dobrego.

Nie miałam nawet szansy go poznać, pomyślała Amanda. Nie była w stanie wykrzesać z siebie wielkiego współczucia. Widziała już nie raz, jak marnuje się życie młodych ludzi, jednak było dla niej jasne, że Daniels lubił chłopaka.

– Co o tym myślisz? – spytał żołnierz, odwracając wzrok od trupa Kearneya.

– Nie wydaje mi się, że to był Stalker – odparła. Brytyjski saper pokiwał potakująco głową.

– Myślisz, że to w ogóle Cepid?

– To musi być Cepid – stwierdziła Amanda, lecz bez przekonania. – Ta maszynieria nie aktywuje się bez powodu. – Wskazała na wykopy pełne nieruchomych cepidzkich urządzeń stopionych ze skałą. – Nie miała powodu się aktywować, jeśli nie wzbudził jej Cepid. A jeśli to nie przez tego zabójcę, to mamy większe problemy.

– W takim razie co? – spytał Hank.

– Uważam, że to może być coś, co na drabinie ewolucji stoi wyżej od tych mątw, i to mnie martwi – odparła Amanda Georgijczukowi. Tamten pokiwał głową, a potem

zrobił zakłopotaną minę.

– Wykrztuś to z siebie.

– Nie chciałbym cię urazić...

– Trudno, po takim wstępie z reguły ktoś mnie obraża.

– Pogodziłem się już z tym, jak CELL nas zostawiła w Nowym Jorku. To nie byliście wy, ale słyszałem, co o tobie mówią. Że opuściłaś posterunek, zostawiłaś swoich ludzi.

Amanda zerknęła na Danielsa. Ten wzruszył ramionami.

– Kazaliśmy mu o tym z tobą porozmawiać – powiedział.

– Widzisz, fajna jesteś i w ogóle, ale ja po prostu chciałbym wiedzieć, z kim pracuję.

– W porządku. Dokładnie to zrobiłam w Nowym Jorku – oznajmiła wprost Amanda.

Hank tylko na nią patrzył i milczał. – Miałam tam rodzinę. Całe miasto roilo się od Cepidów, do tego ten wirus plus oddziały CELL, rozstrzeliwujące uchodźców i zarażonych. Zostawiłam swoich ludzi, żeby spróbować znaleźć swoją rodzinę. Gdybym znalazła się w tej sytuacji jeszcze raz, zrobiłabym to samo.

Hank pokiwał głową.

– Poszlibyśmy z nią – powiedział mu Daniels. – Wszyscy chcieliśmy zdezerterować, ale Amanda wiedziała, że to nam złamie kariery, o ile tak można je nazwać. Wymknęła się, kiedy nie patrzyliśmy.

Hank dalej kiwał głową.

– Skoro chodzi o rodzinę, to rozumiem.

– Gdybym wciąż służyła w wojsku, to może byłoby mi trudno, ale szczerze mówiąc, w dupie mam CELL. Dla mnie to tylko kurcząca się bardzo szybko comiesięczna pensja. Skoro byłeś w Nowym Jorku pod Barclayem, to dziwię się w ogóle, że wstąpiłeś do CELL.

Hank wzruszył ramionami.

– Czasy są ciężkie. Ja też mam rodzinę.

Daniels i Amanda pokiwali głowami.

– Zamontujmy te kamery – powiedziała Cross. Zerknęła na zwłoki. Wyślą go windą na górę tak samo jak Waltersa, tam zaś zostanie zutylizowany w najmniej kosztowny sposób. Do tego czasu będzie leżeć w jednej z jaskiń, pozbawionej maszynarii Cepidów, blisko głównej groty. Jego bliscy zostaną powiadomieni tekstowo przez Macronet. Być może.

– Biedny dzieciak... – powtórzyła Amanda za Danielsem.

* * *

Stanowisko C było długą, wąską jaskinią. Jej dno przecinała sieć wyłobień, podobnie jak wszystkie pozostałe. Jeden z reflektorów stłukł się podczas niedawnych wstrząsów i koniec groty naprzeciw wejścia był pogrążony w ciemności. Ósemka robotników trzymała się blisko światła i tunelu prowadzącego do głównej groty.

Amanda nie znała się na archeologii ani wydobywaniu stopionej ze skałą starożytnej maszynerii obcych, ale pracujący tu ludzie nie radzili sobie chyba najlepiej. Kilkoro z nich płakało – teraz albo wcześniej. Inni dygotali, a wszyscy co chwila zerkali w ciemny koniec jaskini.

Robotnicy wyglądali na biednych miejscowych, przeszkolonych w minimalnym stopniu i jeszcze gorzej opłacanych. Spali tu, na dole, na karimatach i w śpiworach, stłoczeni wokół nagrzewnic w głównej grocie. Patrzyli na Amandę, Danielsa i Hanka jak na więziennych strażników.

Nie jesteśmy waszymi wrogami, dzieciaki, pomyślała Amanda, kiedy razem z Danielsem mijają ich z bronią w gotowości. Latarki podwieszane pod lufami kroili snopami światła gęstą, atramentową, nieprzeniknioną niemal ciemność. Hank krył ich z tyłu, z pewnego oddalenia.

– Czysto – oznajmiła Amanda, kiedy skończyli sprawdzać jaskinię. Zabrzmiało to dla niej jak kłamstwo. Przy takiej gmatwaninie grot i korytarzy to coś, co zabijało ludzi, nie musiało być bardzo daleko, żeby nie dało się tego znaleźć.

Asher jakby nie pojmował, że robotnicy nie będą pracować wydajnie tylko dlatego, że im kazał i że na tym polega ich kiepsko płatna praca. Nie rozumiał, dlaczego ludzie nie mogą albo nie chcą robić tego, co im mówi. Nie pojmował, że strach, spotęgowany obecnością trupów, które wszyscy widzieli przy wejściu do głównej jaskini, obniża wydajność. Do naukowca nie docierało, że na dłuższą metę szybciej osiągnąłby to, na czym mu zależy, gdyby zabrał stąd swoich ludzi, poczekał na załatwienie problemu i wrócił. Innymi słowy, nie miało znaczenia, jak bardzo ich sztorcował, zawsze będą się bardziej bali obcego potwora, których ich po jednym zabija, niż doktora.

Jeden z robotników łamaną angielszczyzną oskarżył Amandę, że używają ich jako przynęty. Gdyby mogła postawić na swoim, ewakuowałyby wszystkich; w myśl wytycznych CELL jako *de facto* szef ochrony miała do tego prawo, ale rzeczywistość była inna. Dlatego musiała jakoś sobie radzić. Uczciwie mówiąc, robotnik miał rację. Znaleźć potwora najłatwiej byłoby albo kiedy kogoś by zabijał, albo usiłował aktywować cepidzką maszynerię.

Wychodząc z jaskini C, zerknęła na jedną z robotnic. Dziewczyna była wychudzona, obdarta, miała pewnie najwyżej kilkanaście lat. Odwzajemniła spojrzenie Amandy z niechęcią graniczącą z nienawiścią.

To nie ja, miała ochotę powiedzieć jej Cross, ale wiedziała, że stała się już częścią problemu.

– Szefowo? – powiedział Daniels z tunelu prowadzącego z powrotem do głównej jaskini. Amandzie nie podobał się ton jego głosu. Obejrzała się i zobaczyła, że ściany korytarza mieniały się ruchomymi, świetlnymi symbolami. Wyglądało na to, że aktywowały się na nich jakieś obwody, bez wątplenia cepidzkie.

– Znowu aktywacja? – spytał Hank. Krył drugi koniec tunelu. Lampy umieszczone tam przez ludzi zaczęły migotać. Cała trójka włączyła latarki, choć obca maszyna w ścianach dawała dużo światła.

– Mikey, gdzie twoi ludzie, odbiór? – spytała Amanda przez radio. Alan, Okobe i Safiya odpoczywali. Cross była wyczerpana; udało się jej zdrzemnąć podczas lotu z Lagos, ale miała już za sobą prawie szesnaście godzin na nogach. Wiedziała, że po tak długiej zmianie, w stanie napięcia nerwowego, zmęczenie nie pozwala jej jasno myśleć. Nie chciała brać amfetaminy, po niej nie mogłaby później, po zmianie, zasnąć, a poza tym nie chciała do tego wracać, przynajmniej dopóki nie musiała.

– Cross, co się dzieje, do cholery!?! – zapytał gniewnie Asher przez radio.

– Doktorze, wypierdalać mi z tej częstotliwości! Mikey, zgłoś się, odbiór.

– Wchodzimy do... kontakt!

W korytarzach poniósł się echem trzask wystrzałów. Dwie krótkie serie, potem jedna dłuższa, mniej zdyscyplinowana, i strzały umilkły. Daniels zaczął biec.

– Czeka! – rozkazała Amanda. Żołnierz usłuchał. Hank krył tyły. Cross puściła jackala na pasku, wyciągnęła z kieszeni telefon i włączyła go. Mieli kamery sprzężone z telefonami, ale te ze stanowiska B nie działały.

– Stanowisko B. Biegiem!

Blask podświetlał unoszące się w powietrzu wstęgi kordytowego dymu. Ziemia pokryta była mnóstwem łusek i krwi. Reflektory też zostały porozbijane. Jedyne oświetleniem były latarki pod bronią i jaśniejące obce symbole na ścianach. Amanda gapiała się, zdjeta zgrozą. Zebrało się jej na wymioty.

Widziała już śmierć. Napatrzyła się na nią w Nowym Jorku – na pokłosie manhattańskiego wirusa, okrucieństwo Cepidów, a w niektórych przypadkach także swoich kolegów z CELL. Traciła już ludzi – ale to starcie poszło cepidzkiej bioformie zbyt łatwo. Mimo broni, opancerzenia, wyszkolenia i doświadczenia coś zabiło Mikeya, Schmidta i Coyle'a, jakby rozdeptywało robaki. Może dla Cepida tym właśnie byli.

– To coś musi tu cały czas być – powiedział Daniels. Grubawy Brytyjczyk

w średnim wieku ciężko dyszał i patrzył na Mikeya. Zawsze udawał, że go nie lubi, bo tamten był ekszandarmem wojskowym, tak samo jak Amanda, a żołnierze nie przepadali za żandarmerią. Ale w rzeczywistości byli sobie bliscy. Szyja Mikeya była czerwoną, ziejącą raną. Cepid prawie oderznął mu głowę.

Amanda z trudem przełknęła ślinę i spróbowała opanować dygot. Musiała wytrzymać na tyle długo, by wydać rozkazy, dzięki którym nikt więcej nie zginie. Światło jej latarki padło na zwłoki Schmidta. Leżał na krawędzi jednego z płytkich wykopów, w blasku obcej technologii. Miał złamany kręgosłup. Kąt wygięcia jego ciała był okropnie nienaturalny, wręcz obsceniczny. Amanda widziała zastygły na jego twarzy grymas zaskoczenia.

– Po... pomocy...

Głos był słaby. Latarki Amandy i Daniela omiotły dno jaskini. Tylko Hank zachował spokój i świecił dalej w głąb. Rannego znalazł Daniels. To był Coyle, z krwawą pianą na ustach.

– Daniels... - Amanda próbowała ostrzec Brytyjczyka, ale było za późno. Żołnierz podbiegł do Coyle'a i uklęknął w bruździe obok niego.

Amanda stanęła tam, gdzie przed chwilą był Daniels, starając się nad sobą zapanować. Miała wrażenie, że coś jest tu razem z nimi. Czuła narastającą grozę, jakby to coś czaiło się tuż poza zasięgiem wzroku, unikając światła.

– Już dobrze, stary, zabierzemy cię stąd. Wszystko będzie dobrze.

– Tu nic nie ma... - wykrztusił Coyle mokrym, lepkiem głosem, jakby mówił z ustami pełnymi cieczy. Zaczął się niepowstrzymanie trząść; Daniels usiłował go przytrzymać. Amerykanin zwymiotował pienistą krwią, a potem znieruchomiał.

– Cross, raport! – zażądał Asher przez radio. – Proszę natychmiast przyprowadzić resztę swoich ludzi do głównej jaskini!

– Doktorze, do kurwy nędzy, proszę się zamknąć! – odwarknęła Amanda. Słyszała tupot butów ludzi biegnących w ich stronę tunelem.

Daniels gapił się na Coyle'a. W świetle latarki krew na jego rękach wydawała się czarna. Brzuch Amerykanina był czerwoną miazgą.

– Szefowo – powiedział cicho Hank. Słyszać było, że z trudem panuje nad głosem. – Coś tu chyba z nami jest.

Amanda poczuła lód w żyłach. Jakby w zwolnionym tempie popatrzyła wzdłuż snopu światła latarki Hanka. Hank świecił za Daniela, dygoczącego jak liść. Przez chwilę Cross nic nie widziała. Tylko skałę i neonowe linie obcych symboli. To właśnie one wyglądały dziwnie – jakby przez coś przeświecały albo się od czegoś odbijały. Amanda zmartwiała.

Daniels gorączkowo usiłował uruchomić coś, co trzymał w ręku. Z trzaskiem zapłonęła alarmowa flara. Prawie oślepiła Amandę i Hanka swoim fosforyzującym, migoczącym blaskiem. Światło nie zachowywało się tak, jak powinno – załamywało się tuż za Danielsem. Plama zakrzywionego odbicia się poruszyła. Daniels zaczął wrzeszczeć. Coś uniosło go w powietrze. Nagły ruch i Brytyjczyk zaczął bryzgać krwią na wszystkie strony.

– Nie waż się! – wrzasnęła Amanda. Rzuciła się na bok, kiedy Daniels poleciał w jej stronę.

Hank zaczął strzelać. Staccato średniego karabinu maszynowego Mk.60 w zamkniętej przestrzeni było ogłuszające, ogień wylotowy dawał w ciemności efekt stroboskopu.

Amanda też otworzyła ogień, odrzut automatycznej strzelby tłukł ją w ramię. W chaosie flar, świecących obcych symboli i rozbłysków wystrzałów nie miała pojęcia, w co strzela, ale pragnęła odgrodzić się od tego czegoś ścianą ognia.

Nagle obok niej znalazł się Alan ze szturmowym grendelem w pogotowiu. Wypatrywał celu przez celownik optyczny, ale niczego nie znalazł. Rozległo się głucho puknięcie, kiedy Okobe wystrzelił z granatnika podwieszono pod karabinem. Flara eksplodowała daleko w głębi tunelu wychodzącego z jaskini B.

W strzelbie Amandy skończyła się amunicja. Hank przestał już strzelać. W powietrzu było siwo od gryzącego kordytowego dymu. Wszystkim dzwoniło w uszach. Obie flary zalewały ich migotliwym blaskiem. Okobe przeładowywał granatnik. Gdzieś z tyłu głowy instynkt i wyszkolenie podpowiadały Amandzie, że powinna przeładować strzelbę. Wysunęła magazynek, schowała go i załadowała nowy. Zrobiła to odruchowo.

– Szefowo? – spytał Alan. Amanda go zignorowała. Poczula rękę na ramieniu. – Amando?

Obejrzała się na niego gwałtownie.

– Maskuje się – powiedziała. Alan nie zrozumiał. – Ma urządzenie maskujące. Kurwa, nie zobaczymy go.

* * *

Wrócili do głównej jaskini. Amanda wciąż dygotała. Omal nie oblała się kawą. Nie miała ochoty oglądać nagrania, ale zmusiła się do tego. Gówniany holoprojektor wyświetlał trójwymiarowy obraz z dwuwymiarowego filmu; rezultat był ziarnisty i niepełny, ale pokazywał to, co musieli zobaczyć.

Robotnicy na wykopie uciekli, kiedy tylko cepidzka maszyna ożyła. Przez jakieś pięćdziesiąt sekund na nagraniu widać było pustą jaskinię, potem do środka weszli ostrożnie Coyle, Schmidt i Mikey z bronią w pogotowiu. Światło z latarek na ich karabinach sprawiało, że obraz momentami stawał się przeświecony. Mimo czujności Mikey nawet nie zdążył się zorientować, co mu się stało. Wyglądało to jak jakiś stary film o demonicznym opętaniu. Głowa Mikeya odskoczyła w tył, a potem jego gardło rozpruło się jakby samoistnie. Amanda zatrzymała film i przyjrzała się uważnie, aż zobaczyła ziarniste wgłębienia na twarzy żołnierza w miejscu, gdzie niewidzialne palce zabójcy chwyciły jego głowę.

Obraz znów się przeświecił, kiedy wystrzeliły grendele, potem niewidzialna siła chwyciła Schmidta i cisnęła nim w kamerę. Film się urwał. Zapadła cisza.

– To coś wiedziało o kamerach? – spytał w końcu Alan.

– Chyba musimy tak założyć – odparła Amanda.

– Skąd wiedziało? – zapytał Okobe.

– Może nasłuchuje naszej łączności?

Zamilkli. Ludzie rozglądali się po uszczuplonym kręgu. Safiya dołączyła do niedobitków ochrony – w końcu Asher był teraz pilnowany przez cały oddział.

– Czy to coś byłoby w stanie nas zrozumieć? – spytał Alan.

– Wiemy, że są inteligentni – zauważyła Amanda.

Nieliczni pozostali na wykopach poza główną jaskinią robotnicy odmówili dalszej pracy. Cross nie mogła mieć do nich pretensji. Ocalali członkowie ochrony odprowadzili ich do największej groty.

Asher dość długo wrzeszczał na żołnierzy, żeby zagonili robotników do pracy i że zawiedli na całej linii. Nikt go nie zastrzelił.

– Widziałem już takie maskowanie – powiedział im Hank. Z miejsca skierowały się na niego cztery pary oczu. – W Nowym Jorku. Próbowaliśmy ewakuować uchodźców, razem z 4. Zwiadowczym Marines. Jeden z nich, niejaki Alcatraz, skombinował sobie jakąś eksperymentalną zbroję. Miała tryb maskujący, ale on był po naszej stronie. Ten marine walczył jak demon, nie mieliśmy przeciwko obcym niczego lepszego.

Alan i Amanda popatrzyli po sobie porozumiewawczo.

– Co? – spytał Hank.

– Tinman – powiedział Alan. Okobe wbił w niego wzrok, zainteresowała się też Safiya.

– Kto to jest Tinman?

– Ktoś w jakiejś eksperymentalnej zbroi zabił w chuj ludzi CELL i gości z Operacji Specjalnych. Słyszałeś o Dominicu Lockharcie?

– To facet, który kierował wojskową stroną CELL? Ten, który spieprzył operację w Nowym Jorku? – spytał Hank.

– Gość, którego obwinili za spieprzoną operację w Nowym Jorku – poprawił Alan. Amanda zmilczała, choć miała o Dominicu Lockharcie własne zdanie. – No, to ten cały Tinman rzekomo zabił go podczas ataku na kompleks CELL. Jesteśmy w epicentrum inwazji obcych, a ten Tinman zwraca się przeciwko ludziom, którzy próbują coś z tym zrobić.

– Posłuchaj, Alan, nie chcę się z tobą o to kłócić, ale CELL w Nowym Jorku robiła rzeczy...

– Które liberalne media... – zaczął Alan.

– Dość – przerwała mu Amanda. – Hank, do czego zmierzasz?

– Cokolwiek kombinowali ten Alcatraz czy Tinman, walczyli z Cepidami. Asher mówił, że obcy są adaptatywni. Ewoluują z pokolenia na pokolenie w odpowiedzi na bodźce otoczenia. Jeśli widzieli kamuflaż w akcji w Nowym Jorku, to może ich następne pokolenie już go miało.

– Niektóre Cepidy już w Nowym Jorku miały kamuflaż – powiedziała Amanda cicho. Pozostali popatrzyli na nią ze zgrozą.

– To nie wszystko – dodała Safiya. – Podśledzałam, jak Asher rozmawiał z jednym z techników. Byliśmy na stanowisku E. Asher miał jakieś dziwne urządzenie, które podłączył do maszynerii Cepidów w skale. Wyglądało jak sprzęt obcych. – Amanda przypomniała sobie, że miała wrażenie, iż po morderstwach cepidzkie artefakty w skałach zmieniły swój wygląd. – Asher powiedział, że to wszystko martwe. Że zostało zakażone jakąś odmianą szczepu Tunguski.

– Czyli to coś szkodzi cepidzkiej technologii? – spytał Okobe. Miał niski, dudniący głos, przez co często zakładano, że nie jest zbyt bystry. Amanda wiedziała, że milczący Nigeryjczyk po prostu wolał wszystko długo i dobrze przemyśleć. W przeciwieństwie do ludzi Zachodu nie był zakochany we własnym głosie.

– A więc to może być ten Tinman? – spytał Alan.

– Niby skąd? – odpowiedział pytaniem Hank. – Alcatraz to marine, zwykły gość z karabinem, taki jak ja. W zbroi był nie do zatrzymania, owszem, walczył szybko, cicho i zabójczo, ale na pewno nie był niewidzialnym seryjnym mordercą.

– Powiedz to Dominicowi Lockhartowi i jego ludziom. Wymordował, kurwa, setki żołnierzy CELL. Takich jak ty czy ja... – powiedział ze złością Alan.

– Posłuchaj, stary, nie przepadam za Nowym Jorkiem, ale to, co goście z CELL robili...

– Dość – ucięła Amanda. – Zapomnijcie o Nowym Jorku. – Żałowała, że sama tego

nie potrafi. – Fakt jest taki, że to coś morduje naszych. Nie obchodzi mnie, po której jest stronie ani co mogło robić w przeszłości. Nie należy do zbioru naszych przyjaciół. W mało prawdopodobnej sytuacji ujrzenia tego czegoś, od razu otwieramy ogień ciągły.

– Co teraz robimy, szefowo? – zapytała Safiya. Amanda słyszała w jej głosie strach.

– Zwijamy się – odparła. – Jesteśmy za cieni na tę sprawę. Nawet gdybyśmy mieli k-volty i mike’i, nie chciałabym się z tym czymś obecnie pierdolić.

– Asher? – spytał Alan.

– Stawką jest jego kariera. Nie chce, żeby wyszło na to, że spieprzył sprawę, do tego chce sobie przypisać zasługę, jeśli złapiemy albo zabijemy to coś. Miejmy nadzieję, że zrozumiał, że sytuacja nas przerasta, bo jeśli nie...

– Zajmę tym obleśnym, tłustym chujem osobiście – powiedziała Safiya. Obrzydzenie najwyraźniej przewyciężyło w niej strach. – Ktoś oprócz mnie zauważył, że śmierdzi od niego skwaśniałym mlekiem?

– Jeśli trzeba będzie posłać mu kulkę, ja to zrobię, rozumiecie? Nikt inny, tylko ja. – W kręgu rozległy się pomruki, nikt nie chciał spojrzeć Amandzie w oczy. – Powiedziałam: tylko ja. Zrozumiano?

Przytaknęli niechętnie.

– Dobra, idziemy z nim pogadać. – Cross wstała. – Nie używamy radia, jasne?

Wszyscy pokiwali głowami i również wstali. Amanda wymieniła magazynek w swojej strzelbie Jackal na pociski volt, które wydano jej w Nowym Jorku. Każdy nabój krył naładowane elektrostatycznie kulki. Nie zużyła ich i teraz była z tego zadowolona.

* * *

Mijali właśnie jaskinię, w której składowali zwłoki, kiedy usłyszeli jakiś odgłos.

Alan szedł na szpicy, za nim Okobe, Amanda i Safiya, na końcu Hank. Posuwali się najciszej, jak mogli, z wyłączonymi latarkami. Wystarczyła im poświata dochodząca z głównej jaskini. Amanda zabiłaby za noktowizyjne gogle. Grota była szeroka i niska, pełna naturalnych kolumn w miejscach, gdzie złączyły się stalaktyty i stalagmity.

Oświetlani z tyłu blaskiem z głównej jaskini rzucali długie cienie. Amanda zaklęła i włączyła latarkę u boku strzelby. Snop światła przeciął ciemność jak nóż. Pozostali poszli za jej przykładem.

Przesunęli się na bok od wejścia, stając w szeregu pod kamienną ścianą. Amanda

oświetliła zwłoki Danielsa. Rozległy się ciche przekleństwa pozostałych.

– Cisza – syknęła.

Zauważyła, że snop światła z jej latarki znów drży. Zaświeciła na Coyle'a. Schmidta. Mikeya. Po Alanie ten ostatni był jej najstarszym kolegą z drużyny.

Chrzęst był prawdopodobnie bardzo cichy. Dla Amandy zabrzmiał ogłuszająco. Zobaczyła, że ciałem Mikeya szarpnęło, jakby zostało potrącone przez kogoś przechodzącego obok. *Wie, że tu jesteśmy, i ma to w dupie*, pomyślała.

Reakcja była niemal odruchowa. Jej palec owinął się na spuście strzelby. Nacisnęła. Cztery naboje. Iglica uderza w spłonkę. Ładunek w naboju eksploduje. Proch wypycha naładowane kulki przez lufę. Długi jęzor ognia rozświetla mrok jaskini. Wystrzelona łuska odlatuje na bok. To samo powtórzyło się jeszcze trzy razy.

Elektrostatycznie naładowane kulki wypełniły powietrze nad zwłokami Mikeya. Amanda podświadomie rejestrowała, jak niektóre wyszarpują z nich strzępy ciała.

Wyładowanie elektryczne zatańczyło wokół potężnej, masywnej, lecz ludzkiej sylwetki stojącej nad Mikeyem. Pole maskujące zamigotało, a potem zgasło w snopach iskier.

Postać miała na sobie kombinezon, który wyglądał jak zbudowany z przypominających mięśnie, metalicznych przewodów rozpiętych na pancernym egzozkielecie. Twarz skrywała zasłona. Nieznajomy wodził wzrokiem między nimi, nie spieszył się. Nie przejmował.

– Ognia! – wrzasnął Alan i zaczął słać serię za serią ze swojego grendela. Safiya i Okobe również otworzyli ogień. Trafiające pociski obsypały pancerną postać iskrami. Hank zawahał się, w końcu pociągnął za spust Mk.60. Strzelał z broni podniesionej do ramienia. Pociski smugowe i przeciwpancerne uderzyły w cel, pchnęły go w tył. Smugowce odbijały się i znikwały w mroku jaskini.

Postać się podniosła i znów spowiła ją ciemność. Amanda zrozumiała, że tamten próbuje z powrotem włączyć kamuflaż. Wystrzeliła trzy pozostałe volty, oplatając przeciwnika wyładowaniami i przeciążając pole maskujące.

Z głośnym, głuchym hukiem wypalił granatnik Okobe. Granat uderzył w postać, znów ją przewracając, potem wybuchł. Fala uderzeniowa cisnęła wszystkich najemników na skałę. Amanda z trudem podniosła się na nogi, huczało jej w głowie. Krzyknęła, że przeładowuje, ale nie słyszała własnego głosu. Spróbowała wziąć się w garść na tyle, by wysunąć magazynek ze strzelby. Upadł na ziemię, sięgnęła do szelek po następny.

Postać wychynęła z ciemności, nie dbając już o kamuflaż. Dymiła. Pancierz się zmienił. Spłaszczyl, przeistoczył w zachodzące na siebie płyty. Napastnik wyminął

Amandę, ignorując ją. Tylko Okobe zachował dość przytomności umysłu, by wystrzelić. Cross wrzasnęła, kiedy rykoszetujący pocisk trafił ją w bark i obrócił.

Amanda odwróciła się z powrotem w samą porę, by zobaczyć, jak pancerna postać wbija nóż w kamizelkę Okobe i unosi go nad ziemię. Krzyk ucichł. Nigeryjczyk zwiotczał i osunął się po ostrzu, aż przedramię przeciwnika zagłębiło się w jego torsie.

Wrócił słuch. Dopiero po chwili Amanda uświadomiła sobie, że krzyk, który słyszy, to Asher, domagający się wyjaśnień. Dygoczące palce w końcu zdołały wepchnąć świeży magazynek w gniazdo strzelby.

Rozwścieczony Alan skoczył postaci na plecy. Nieznajomy bez wysiłku odrzucił ciało Okobe, ściągnął z karku Alana i cisnął nim o ścianę jaskini. Nawet przez dzwonienie w uszach i bezustanny bełkot Ashera Amanda usłyszała trzask i krzyk.

Hank puścił długą serię niemal z przystawienia. Grotę rozświetliły iskry i rykoszetujące smugowce. Safiya padła, trafiona jednym z nich.

– Czekaście! Wstrzymać ogień! Wstrzymać ogień, do cholery! Kurwa, przestańcie strzelać! – wrzasnęła Amanda.

Hank puścił spust, ale szybko odsunął się od postaci, która odwróciła się w jego stronę. Safiya, leżąca na ziemi, też się odczołgała, chwytając przy tym grendela. Alan jęczał. *Dobrze*, pomyślała Amanda, *to znaczy, że żyje*.

– Proszę! Wiem, że mnie słyszysz – krzyknęła w mikrofon radia. – Damy ci spokój, tylko przestań, kurwa, zabijać moich ludzi – poprosiła.

Postać odwróciła się do niej. Amanda ujrzała przed sobą beznamiętną, opancerzoną maskę.

– Czy to tu jest? – spytał nieznajomy. Miał niski, basowy głos, zimny i wyprany z uczuć.

– Nie wiem, czym jest to twoje „to”, ale znajdujesz się obecnie na kurewsko nieważnej placówce. – Tamten tylko patrzył na Amandę. – Posłuchaj, powiedz mi, co mamy zrobić, żebyś przestał zabijać moich ludzi, a my to zrobimy, dobrze?

– Alcatraz, stary? – spróbował Hank. Cross słyszała grozę w głosie byłego marine. Postać odwróciła się do niego.

– Znam to imię. Nie jestem nim – powiedziała.

– Czego chcesz? – zapytała Amanda.

– Dostępu.

– Dobra, to my po prostu sobie pójdziemy.

Opancerzony trup milczał, ale nie próbował ich zabić, co Amanda zapisała w myślach na poczet sukcesów.

– Co wy, kurwa, robicie?!

Asher, kiedy krzyczy, ma bardzo piskliwy głos, zauważyła Cross. Nagle dotarło do niej, że słyszy go nie tylko w słuchawce. Ona i opancerzona postać odwrócili się w stronę doktora. Amanda ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że grubas odważył się podejść blisko do trupa w zbroi.

– Po co ty z nim, kurwa, rozmawiasz, głupia dziwko?! Zastrzel go!

– Pieprzę to – oznajmiła Cross. – Wymarsz.

Odwróciła się i podeszła do Alana, mając nadzieję, że będzie w stanie iść. Hank pomagał wstać Safiyi.

– Zastrzelić go! Zastrzelić! – wrzeszczał Asher. Pancerna postać wciąż tylko patrzyła na ich dwoje.

Zdaniem Amandy kręgosłup Alana nie był złamany. Zresztą to nie miało znaczenia, i tak musiała spróbować go podnieść.

– Zginiesz za to! Każę wymordować twoją rodzinę! – wrzasnął do niej Asher. Rozległ się strzał. Naukowiec padł na ziemię, ściskając brzuch. Zaczął płakać i cicho pokwikiwać z bólu. Amanda spojrzała na dymiącego hammera II w rękę.

– Co ci mówiłam, Asher? Musisz zostawiać ludziom coś, co mogliby jeszcze stracić. – Rzuciła pistolet pancernej postaci. – Wygląda na to, że mnie rozbroiłeś i postrzeliłeś doktora Ashera – powiedziała mu. Tamten kiwnął głową. – Zrób z nim, co chcesz, my zabieramy naszych zabitych.

Postać zastanowiła się, potem przytaknęła.

Amanda i Hank pomogli wstać Alanowi. Jęczał, na przemian odzyskując i tracąc przytomność. Skierowali się z powrotem do głównej jaskini. Cross obejrzała się przez ramię. Zobaczyła Tinmana po raz ostatni; podchodził właśnie do postrzelonego w brzuch, kwiczącego Ashera.

Jej twarz zastygła w grymasie nienawiści. *Zabiłeś moich ludzi, pomyślała. To jeszcze nie koniec, skurwysynu.*

Daimyō (fragment)

Baza piechoty morskiej Quantico, Wirginia, 2024

Przeczytał dzieła wszystkich teoretyków wojny. Sun Tzu, Musashiego, Clausewitza. Praktyczne rzeczy, zresztą często oparte po prostu na zdrowym rozsądku, stanowiły użyteczną podstawę tworzenia strategii. *Reszta to pseudo-uduchowione pierdoły, próbujące usprawiedliwić zabijanie ludzi*, myślał generał Sherman Barclay, patrząc na w połowie pełną szklankę whisky single malt. *W wojnie nie ma niczego wzniosłego. Czasem, jeśli masz szczęście, bronisz swojego kraju, najczęściej jednak udowadniasz jakiemuś upartemu draniowi, że potrafisz mu dokopać bardziej niż on tobie.* W skrócie, jeśli jesteś żołnierzem, robisz, co ci każą. Barclay był czterogwiazdkowym generałem i do niedawna dowódcą Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych. Dostał tę posadę po katastrofie w Nowym Jorku. Nigdy jej nie pragnął, a teraz, kiedy ją już piastował, odkrył, że nie ma także ochoty na to, by robić, co mu kazano.

Ekran na ścianie jego gabinetu wyświetlał wiadomości z Macronetu. Nie powiedzieli o nim na początku programu, ale wiedział, że zaraz przyjdzie na to kolej. Temat dnia dotyczył CELL. Generał patrzył, jak wysoki starzec o twarzy przypominającej drapieżnego ptaka wychodzi z olbrzymiego drapacza chmur we Frankfurcie i trafia w nawałnicę fleszy. Jego ochroniarze odpychają reporterów i paparazzich, a on kieruje się do czekającej na niego ośmiokołowej pancерnej limuzyny Mercedesa.

– Zwolnienie Karla Ernsta Rascha, prezesa Hargreave-Rasch BioMedical, po tym, jak skrytykował firmę córkę, CELL Corporation, nie zaskoczyło analityków biznesu. Hargreave-Rasch przeżywa właśnie burzliwy okres, który doprowadził do zmiany nazwy, co ma zapobiec kojarzeniu firmy z rzekomo nieetycznymi eksperymentami medycznymi.. Rasch publicznie wypowiadał się o domniemanym wykorzystaniu przez giganta branży energetycznej technologii Cepidów w nowojorskiej placówce...

– ...i chuj wam w dupę – skomentował Barclay, wyłączając dźwięk. Siedział za biurkiem, wciąż w galowym, granatowym mundurze, ze służbowym M1911 na suszce przed sobą. Rozłożył i oczyścił pistolet. Wyćwiczone, powtarzane setki razy ruchy pomagały mu jasno myśleć. Drink trochę tę jasność tłumił. Szybko złożył czterdziestkę piątkę z powrotem.

Podczas operacji Iracka Wolność, jeszcze jako młody kapitan, rozmawiał

z operatorem sił specjalnych, który powiedział mu, że jeśli ktoś wyceluje do niego z pistoletu, powinien po prostu odwrócić się i uciec. Zdaniem operatora pistolety były tak niecelne, że jeśli uwzględnić stres walki, szansa trafienia czegokolwiek była znikoma. Po tej rozmowie Barclay postawił sobie za punkt honoru zostać najlepszym strzelcem w Korpusie. Umiejętność ta nieraz mu się później przydała.

Wsunął magazynek i odciągnął zamek, ładując nabój do komory. Nienaładowany pistolet do niczego się nie przyda. Zostawił broń niezabezpieczoną. Było to wbrew przepisom Korpusu. Nauczył się tej sztuczki od sił specjalnych – tamci lubili mieć możliwość wyciągnięcia pistoletu i strzelenia szybko i płynnie. W końcu nie musieli się martwić o dzieci czy wnuki w domu. Barclay nie musiał się martwić nawet o żonę. Odchodząc, Susan powiedziała mu, że piechota morska jest jego kochanką, a ona nie jest w stanie z nią konkurować.

Podniósł M1911 i przyłożył bok pistoletu do siwej skroni. Czarny metal był przyjemnie chłodny. Generał odłożył broń na poplamiony oliwą papier. Obok obiektu swojej dumy.

Barclay wychował się w Nowym Jorku, w robotniczej, irlandzkiej dzielnicy na Bronksie. Jego tata uwielbiał westerny i to właśnie od ojca generał przejął zamiłowanie do historii amerykańskiego pogranicza. Kiedy był dzieckiem, tata zabrał go na cmentarz Woodlawn i pokazał mu grób Williama Barclaya Mastersona, znanego lepiej jako Bat Masterson. Masterson był łowcą bizonów, wojskowym zwiadowcą, wrogiem Indian, rewolwerowcem i szeryfem. Żył w czasach Wyatta Earpa. Młodego Shermana Barclaya uderzyło, że się tak samo nazywa, nawet jeśli nazwisko Barclay było tylko drugim imieniem rewolwerowca.

Był właśnie świeżo awansowanym podporucznikiem, kiedy rewolwer został wystawiony na aukcji. Colt Peacemaker .45, należący do samego przekłętego Bata Mastersona, z jego nacięciami na kolbie. Barclay, rzecz jasna, nie dawał wiary, że to właśnie tej broni używano w Dodge City czy Kolorado podczas wojen kolejowych. Był to jeden z dwóch rewolwerów, które Masterson nabył w lombardach w Nowym Jorku, kiedy pracował tam jako dziennikarz pod koniec swojego życia. Ponacinał kolby, a potem sprzedawał broń, wmawiając kupującym, że pochodzi ona z czasów jego burzliwej młodości.

Porucznik Barclay wydał wszystkie swoje oszczędności i nałgał w banku, żeby dostać pożyczkę brakującej kwoty. Był świeżo po ślubie z Susan i to właśnie wtedy miała miejsce najgorsza awantura w ich wspólnym życiu, ale rewolwer kupił. Z biegiem lat pieczołowicie go odrestaurował, a potem, ponieważ nie znosił rzeczy bezużytecznych, nauczył się z niego strzelać. Nie było to proste. Podejrzewał, że

łatwiej byłoby mu trafić do celu, rzucając weń żywymi kanarkami.

Właśnie skończył czyścić peacemakera, kiedy w wiadomościach zobaczył siebie. Jego rozchełstany już teraz galowy mundur nie był jeszcze taki rano, kiedy generał postanowił zlekceważyć swój instynkt, nie wspominając o sporej liczbie przepisów regulaminu, a nawet prawa – kiedy urządził swoją zaimprovizowaną konferencję prasową na cmentarzu Arlington.

Pasek na dole ekranu głosił: Generał Sherman Barclay alarmuje o przejęciu przez CELL kontroli nad marines.

Nie zamierzał iść do wojska. Jeszcze na studiach nie miał pewności, co chciałby robić. Futbol zapewnił mu częściowe stypendium, a ciężka praca matki, ojca i starszego brata pozwoliły zostać pierwszym członkiem rodziny, który poszedł do college'u. Ojciec i brat byli instalatorami ogrzewania. Często realizowali zlecenia w centrum Manhattanu. Ojciec widział, jak żyją ludzie, którzy tam pracują, i pragnął tego dla swojego syna. Sherman nie miał pewności, że tego właśnie chce. Ojciec i brat byli w World Trade Center jedenastego września. Rok później, po skończeniu studiów, Barclay wstąpił do marines.

Potem, tak jak powiedziała Susan, zakochał się. Amerykański Korpus Piechoty Morskiej był starszy niż kraj, któremu służył. Brał udział we wszystkich znaczących konfliktach, w które zamieszana była Ameryka. Od walk o niepodległość po starcie z najeźdźcami z kosmosu na ulicach jego rodzinnego miasta. Barclay pierwszy przyznał, że w Nowym Jorku dostali w dupę, ale był dumny z każdego swojego człowieka, mężczyzny bądź kobiety, walczącego z machinami obcych, żeby dać cywilom czas na ewakuację.

Marines popełniali błędy, to na pewno. Barclay był świadkiem zbrodni wojennych, ostrzału artyleryjskiego cywilnych skupisk. W szeregach Korpusu służyły potwory i tchórze, choć kiedy objął dowodzenie, zaczął bezlitośnie eliminować wszystkie trefne elementy. Mimo to ludzie służący w marines napawali go większą dumą niż cokolwiek innego, z czym obcował w swoim długim, brutalnym, ekscytującym i przy tym ciężkim życiu.

A potem pojawiły się korporacje. Przez całą swoją karierę z obrzydzeniem obserwował proces prywatyzacji wojny. Jego zdaniem, kiedy tylko nacisk przesunął się z obowiązku i lojalności wobec towarzysza broni na wypłatę, zniknęła spójność wojskowej dyscypliny. W najlepszym razie skutkowało to wysyłaniem na pole walki słabo wyposażonych jednostek, zupełnie nieradzących sobie z rozkazami. W najgorszym – prowadziło do zbrodni wojennych.

Barclay nie był jakimś antykapitalistycznym, buntowniczym hipisem. Pamiętał, jak

okupowano Wall Street. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, miał dla tych ludzi szacunek. Słusznie czy nie, stanęli w obronie tego, w co wierzyli. Był wściekły, kiedy zaczęto ich bić i uciszać. Ich prawo do wyrażania własnej opinii było jedną z rzeczy, o które wydawało mu się, że walczy. Dziś ci ludzie zostaliby po prostu nazwani terrorystami i wyrżnięci przez korporacyjnych opryszków, jak tak zwana Grupa Oporu, protestująca pod placówką CELL w Tokio. Barclay czytał materiały wywiadu na ich temat. Żadni terroryści, oficjalne informacje na ich temat to spreparowane bzdury. To były zwykłe dzieciaki.

W college'u studiował ekonomię. Nie miał nic przeciwko kapitalizmowi. Jego tata wpoił mu przekonanie, że jeśli ciężko pracujesz, należy ci się zapłata. Podwójna recesja udowodniła, że i kapitalizm, i korporacje trzeba wziąć w cugle. Że współczucie i odpowiedzialność są ważniejsze niż drapieżne bogacenie się mikroskopijnej mniejszości. Niektórych spraw – na przykład dobrobytu narodu – nie należało pozostawiać instytucjom troszczącym się głównie o pomnażanie zysków. Świat jednak poszedł w inną stronę.

A teraz ta sama firma, która zawłaszczyła jego ukochane miasto, przyszła po jego ukochany Korpus. Barclaya nie obchodziło, że wszystko zostało uzgodnione w Waszyngtonie, zatwierdzone przez przekupnych polityków w szemranych, niejawnych układach. CELL sprawowała kontrolę nad marines i mogła ich używać, jak chciała.

– Nie na mojej zmianie – mruknął, prawie zupełnie wyraźnie.

Nawet nie drgnął, kiedy strzały wyrwały zawiasy drzwi jego domu. *Lekka przesada*, pomyślał. Wziął peacemakera i zatknął go za pasek galowych spodni.

Wkroczyli do gabinetu. Najpierw ujrzeli przetrąconego starca, siedzącego w fotelu ze szklanką whisky w ręku. Było ich pięciu. Słyszał, jak chodzą po domu. Z innych pokoi dobiegał głośny trzask tłuczonych przedmiotów. Mieli na sobie eleganckie garnitury, w rękach trzymali gówniane pistolety maszynowe Feline i demonstrowali swoją głupotę, nosząc w pomieszczeniach ciemne okulary. Barclay uznał, że nie zdołałby ich polubić, nawet gdyby nie uszkodzili drzwi jego ponad stuletniego domu.

– Shermanie Barclay – zaczął jeden z nich. Stał przed biurkiem. Emanował sztuczną pewnością człowieka, który z bronią w ręku stoi przed bezbronnym starcem. A mimo to zerkał na M1911, leżący na papierach przed Barclayem.

– Generale Barclay – poprawił generał.

– Już nie...

– Czy ty się perfumowałeś, synu?

– Yyy... co proszę? – Mężczyznę zbił z pantalyku władczy ton Barclaya. – To woda

po goleniu.

– Perfumy. Moi marines nie używają perfum i ty też byś ich nie używał, gdybyś miał choćby krztynę szacunku do siebie samego. Co ty i twoi kumple robicie w moim domu, oprócz zużywania dobrego powietrza?

– Jesteśmy tu...

– Masz się do mnie zwracać per „sir” albo „panie generale”, albo wynoś się stąd. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Chłopak z pistoletem maszynowym zaczął tracić pewność, że poradzi sobie z upierdliwym dziadkiem. Znów zerknął na M1911. Barclay podążył za jego spojrzeniem, a potem popatrzył mu w oczy. Zobaczył tylko swoje odbicie w lustrzanych okularach, ale wiedział, że tamten pierwszy odwrócił wzrok.

– Sir, przyszedliśmy pana aresztować...

– Z czyjego upoważnienia?

– Zarządu CELL...

– Który reprezentuje prywatną firmę. To mniej więcej tak, jakby aresztował mnie Ronald McDonald. Nie uznaję ich władzy. A o co niby jestem oskarżony?

– O zdradę...

Barclay zerwał się na nogi. Natychmiast wycelowało w niego pięć pistoletów maszynowych w rękach bardzo nerwowych strzelców. Wymierzył palec w mężczyznę przed sobą. Whisky czy nie, dłoń mu nawet nie drgnęła.

– Posłuchaj mnie, ty niedoszła aborcjo. Mojej lojalności, wierności, honoru... – Jeden z mężczyzn parsknął śmiechem i złośliwie się wykrzywił. – ...dowodłem w ogniu i krwi. Stoisz tu, gdzie stały tysiące mężczyzn i kobiet o wiele lepszych od ciebie, i masz czelność zarzucać mi zdradę. Sama twoja obecność w tym miejscu jest cholerną obrazą dla każdego marine, który poległ na jakimś zapomnianym przez Boga i ludzi zadupiu, od Trypolisu po Okinawę. Obrażasz ich twoją popierdoloną pewnością siebie i brakiem szacunku. Wypierdalaj mi stąd natychmiast, zanim cię przegonię kopniakiem!

– ...o zdradę CELL – dokończył tamten. Barclay wlepił w niego szeroko otwarte oczy, a potem zaczął się śmiać.

– A cóż to w ogóle oznacza, mój chłopcze?

– Oznacza to tyle, że musi pan pójść ze mną.

– Bo co?

– Zostaliśmy upoważnieni do użycia siły.

Barclay pokiwał głową.

– Jesteś pewien, chłopcze? – spytał.

– Panie generale, sir...

Gdyby przysłali marines, choćby żandarmerię, zamiast tych cherlawych elegancików... Gdyby mu zasalutowali, okazali szacunek stopniowi, Korpusowi, którego był dowódcą do dzisiejszego ranka. Randze, na którą zasłużył potem i krwią. Wtedy poszedłby po dobroci. Być może.

Chwycił z biurka M1911. Pierwszy strzał, z jednej ręki, posłał z bezpośredniej odległości. Wpakował grzybkującą kulę między oczy mężczyzny, który z nim rozmawiał. Pocisk się spląszczył i rozsadził tył głowy trafionego.

Generał odskoczył w bok. Trzymał pistolet obiema rękami. Następnym był ten, który się śmiał. Nie chodziło o zemstę; po prostu tamten lubił sobie postrzelać, Barclay rozpoznał ten typ człowieka. Dwa pociski. Mężczyzna runął na ziemię.

Barclay przebiegł za fotel. *Nie stój nieruchomo podczas strzelaniny, kule przyjdą cię szukać.* Następane dwa strzały. Był pewien, że tylko drasnął strzelca stojącego najbliżej drzwi, ale tamten runął i nie odpowiedział ogniem.

Ostatnia dwójka zaczęła strzelać. Choć niedoświadczeni, przynajmniej zdołali zareagować. Kule odłupały drzazgi z ponad dwustuletniego biurka. Kryształowa karafka eksplodowała, obryzgując Barclaya whisky. Generał wciąż przesuwiał się w bok. Wystrzelił dwa razy, kobieta z pistoletem maszynowym zwała się na podłogę. Ostatni mężczyzna wciąż strzelał z feline, na oślep, wycofując się ku drzwiom. Barclay zarejestrował grymas paniki na jego twarzy. Pocisk trafił go w lewe ramię, odrzucając mężczyznę w tył. Generał wycelował. Napastnik ujrzał nadciągającą śmierć, nie potrafił zrozumieć, dlaczego szarpiący mu się w rękach pistolet maszynowy nie może go ocalić. Kula trafiła go w głowę. Zrobił jeszcze krok, wciąż strzelając, a potem osunął się na ziemię.

Pokój wypełnił się kordytowym dymem. Rozległo się żalosne skomlenie rannych – jak po każdej bitwie. Ten najbliżej drzwi wciąż żył, generał faktycznie tylko go drasnął. Zamek M1911 zatrzymał się odsunięty do tylnej pozycji, w pistolecie nie było naboju. *Nie, pomyślał Barclay, to nie bitwa, to tylko strzelanina.* Jedną z rzeczy, które w historiach o Bacie Mastersonie lubił najbardziej było to, że rewolwerowiec miał dobre oko. Nie siał kulami na oślep.

Najpierw ich usłyszał. Wpadli przez podwójne drzwi. Barclay odrzucił pusty M1911 i zza pasa szybko dobył peacemakera. *Och, jak długo to ćwicyłem.* Otworzyli ogień. Generał szybkimi uderzeniami dłoni odwodził kurek rewolweru, strzelając z biodra. M1911 upadł na biurko. Iglica peacemakera szczęknęła w pustej komorze.

Jakimś cudem trafił wszystkich trzech napastników. Sześcioma kulami, z biodra, owszem, z bliskiej odległości, trafił wszystkich trzech, zupełnie jak w westernowych

strzelaninach.

– Widzisz mnie teraz, Bat? – powiedział do siebie, uśmiechnął się, a potem zachwiał i ciężko opadł na fotel. Kula w brzuchu bolała najbardziej, ale był pewien, że zabije go ta w piersi. Oddychał z trudem, jakby coś nie pozwalało mu wciągnąć powietrza do płuc.

Cała ta filozofia wojny to bzdury. Dowodem na to było ośmioro młodych ludzi, martwych, rozrzuconych po jego domu, przysłanych tu przez tchórzy. Jeśli w jakiś sposób udało mu się w tej krwawej jatce pozostać przyzwoitym człowiekiem, to dzięki temu, czego nauczył go ojciec. Nie dowiedział się tego z książek. Z przeczytanych bzdur wyniósł co innego. Dwie rzeczy. Czasami kwestionowanie rozkazów i nieposłuszeństwo to najbardziej patriotyczny czyn, na jaki można się zdobyć. Nauczyli go tego Ojcowie Założyciele.

Usłyszał hamujące na zewnątrz samochody. Tupot biegnących stóp. Ktoś krzychał.

Ta druga rzecz: kiedy samuraj nie zgadzał się ze swoim *daimyō*, swoim panem, najbardziej znaczącym gestem protestu, jaki mógł wykonać, było odebranie sobie życia. Ta rytualna forma samobójstwa przez wyprucie sobie wnętrzości zwie się *seppuku*.

To też pieprzenie, pomyślał Barclay, drżącymi palcami zdolawszy załadować do peacemakera jeszcze jeden nabój. *Chcę po prostu sam zdecydować, jak mam odejść*. Nigdy nie uważał, że ktoś jest mu cokolwiek winien, ani kraj, ani ludzie, ani marines, ani rząd – no, rząd może czasem – ale taka zapłata za ponad trzydzieści lat służby? *Szczerze: do dupy z taką zapłatą*.

Przystawił sobie lufę rewolweru do głowy i odciągnął kurek. Pomyślał o Susan. Pomyślał o swoim ojcu.

Wpadli do gabinetu, wymachując bronią i krzycząc. Przez całe jego życie ktoś krzychał, przynajmniej odkąd wstąpił do Korpusu.

– *Semper fidelis* – rzucił im. Pociągnął za spust.

Nikt nie zauważył jego ostatniego aktu „zdrady”. Kamery w doniczce w kącie, ślące nagranie do Macronetu.

„Są tacy, którzy twierdzą, że na tym naszym świecie wszyscy dostają po równo. Moim zdaniem głupcy, którzy to głoszą, uzasadniają to tak: bogaty ma lód w lecie, a biedny w zimie, więc w sumie wychodzi na to samo. Może i tak, ale klnę się: ja tak tego nie widzę.”

William Barclay „Bat” Masterson,
Nowy Jork, 1921

Refuse/Resist

HMS „Robin Hood”, rejs próbny, Ocean Atlantycki, Wschodnie Wybrzeże, 2034

Kapitan Cyrus Harper wpatrywał się w wydruk rozkazu. Zerknął na holograficzny obraz celu – termowizyjny podgląd sił zgromadzonych w ruinach Yonkers. Zauważył, że część obrazu była edytowana – ta, która mogłaby ujawnić, co się dzieje w Nowym Jorku. Zdjęcie zrobiono z orbity. Harper domyślał się, że wykonał je jeden z satelitów CELL połączony z orbitalną platformą uzbrojenia Archangel. *Dlaczego po prostu jej nie użyli?*, zdziwiła się tchórzliwsza część jego natury.

– Sir – odezwał się pierwszy oficer, komandor Stevens. – Mamy rozkazy.

Harper spojrzał na niego. Stevens był wysoki, bardzo szczupły i miał w sobie coś ewidentnie drapieżnego. Zyskał przez to wśród innych miano „Nosferatu”. Był jednym z tych, których Harper zwykł nazywać „oficerami korporacyjnymi”.

Obok pierwszego stała porucznik Zinah Talpur, dowódca małego kontyngentu Royal Marines na pokładzie „Robin Hooda”. Wyglądała na niezbyt zadowoloną, że ją w to wciągnięto.

Jeszcze nie tak dawno pierwszy oficer nie ośmieliłby się kwestionować – a co dopiero mówić o próbach terroryzowania – swojego kapitana, sytuacja jednak się zmieniła. Marynarka została sprywatyzowana. Korporacja CELL, monopolistyczna gospodarcza potęga, kupiła wojsko od bliskiego bankructwa kraju.

Wielu oficerów marynarki próbowało odejść ze służby, ale odkryli, że zmieniły się ich „warunki kontraktu”. Co prawda Harper nie był jednym z nich, ale dziewiczy rejs HMS „Robin Hooda” miał być jego ostatnią podróżą. Wstąpił do floty na przełomie wieków. Teraz był pięćdziesięcioparolatkiem i czekała go albo robota za biurkiem, albo przydział szkoleniowy. To drugie sprawiało wrażenie atrakcyjniejszego, ale żadna z opcji nie była wystarczająco kusząca, żeby zostać. Harper nie odnowił kadencji przed wykupem. Wciąż mógł odejść. Marynarka, oprócz wszystkiego, była ogromnie zbiurokratyzowana. Kiedy już coś się tam zrobiło, bardzo trudno było to odkręcić.

– Sir!

Głos pierwszego oficera stał się jeszcze bardziej natarczywy. Harper zerknął na niego znad papierów. Nie lubił Stevensa, odkąd tylko się poznali. Nie podobał mu się jego charakter, jego styl dowodzenia ani sposób traktowania ludzi. Kapitan w oczach swojego zastępcy widział głód. Przejęcie armii przez CELL oznaczało drogę awansu dla określonego typu oficerów. Stevens chciał, żeby Harper odmówił wykonania rozkazu swoich nowych właścicieli – rozkazu otwarcia ognia w kierunku niepodległego państwa w imię korporacyjnych interesów – by sam mógł przejąć dowodzenie. Dla niego awans był ważniejszy niż wszystko inne, nawet honor.

Kapitan miał jednak pewne wątpliwości. Nie obchodziło go, czy amerykański rząd klepnął tę decyzję. Nie obchodziło go, że miała to być tak zwana operacja sił połączonych pod auspicjami CELL. Po prostu nie mógł ścierpieć, że jakaś firma ma takie wpływy. Dotąd zawsze uważał, że antykapitalistyczne nastroje to domena hipisów i nieudaczników, którzy nie chcą albo nie umieją poradzić sobie w życiu. Teraz nie miał już takiej pewności. CELL uosabiała kapitalizm podniesiony do takiej potęgi, że zaczynał przypominać feudalizm. Z drugiej strony Harper nigdy w życiu nie odmówił wykonania rozkazu i nie zamierzał teraz tego zmieniać.

– Panie Stevens, nie wiem, pod kim służył pan wcześniej, ale nie mam zwyczaju pozwalać, żeby mój pierwszy na mnie powarkiwał... – zaczął.

– Sir, jest moim...

– ...ani mi przerywał. Otrzymałem rozkazy. Nadal jesteśmy ponad siedemnaście godzin żeglugi od miejsca, w którym zaczną obowiązywać. Nie potrafię zrozumieć przyczyn pańskiego zachowania. Chciałbym wręcz usłyszeć jakiś dobry powód, dla którego nie miałbym pana zawiesić w obowiązkach i umieścić w areszcie w pańskiej kajucie. Porucznik Talpur, szczerze mówiąc, spodziewałem się po pani czegoś więcej.

Młoda Pakistanka miała przynajmniej dość przyzwoitości, żeby zrobić zawstydzoną minę. Harper nie był zadowolony, widząc, że Stevens ma u boku pistolet.

– Sir, nie ma pan władzy zawiesić mnie w obowiązkach – powiedział oficer, nieco zbyt pewnie jak na gust kapitana.

Gniew przetoczył się po twarzy Harpera niczym burzowa chmura.

– Czemuż to? Czyżby w ciągu ostatnich pięciu minut na pokład zstąpił Pan Bóg?

– Sir, takie decyzje podejmuje na szczeblu zarządu dowództwo CELL. Jego członkowie uważają, że być może nie jest pan w stanie należycie wykonać ich rozkazów.

– Ciekawe, skąd mają o mnie taką opinię? – spytał Harper. Odpowiedzią był typowy dla Stevensa lekki złośliwy uśmiezek. To wystarczyło. Kapitan odwrócił się do Talpur.

– Pani porucznik, czy nadal uważa mnie pani za kapitana tego statku, czy może też już się pani zbuntowała?

– Chwila, moment! – zaprotestował Stevens.

– Nakazuję panu milczeć! – krzyknął Harper. Rzadko podnosił głos.

– Oczywiście, kapitanie, ale...

– Panie Stevens, zostaje pan zawieszony. Pani porucznik, proszę odprowadzić pana Stevensa do jego kajuty i tam go zamknąć.

– Panie Stevens... – Porucznik Talpur wskazała drzwi. Oficer odwrócił się i spojrzał z góry na o wiele niższą od niego kobietę.

– Czy pani oszalała?! – zawołał.

– Proszę nie utrudniać, sir.

Stevens gwałtownie obrócił się do Harpera.

– Zapłaci pan za to! – warknął.

– Jeszcze słowo i każę pana zamknąć w celi. Pani porucznik, proszę odebrać panu Stevensowi broń. Proszę ją zostawić na moim biurku i wyprowadzić go.

Porucznik wyjęła M12 Nova z kabury oficera i położyła pistolet na biurku kapitana. Protestujący Stevens nie chciał wyjść i musiała go niemal powlec siłą.

Kiedy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Harper zgarbił się w fotelu. Stracił panowanie nad sobą i dobrze o tym wiedział. Pozwolił, żeby ten wredny gnojek zalał mu za skórę i przez to postąpił pochopnie.

Zerknął na wypełnioną do połowy butelkę dobrej whisky, stojącą obok modelu 55-działowego okrętu liniowego HMS „Prince Royal”. Potrzebował się napić, ale wiedział, że nie ulegnie pokusie. Nie tym razem.

Każda tego rodzaju awantura na okręcie Królewskiej Marynarki Wojennej oznaczała niepochlebną adnotację w aktach wszystkich w nią zamieszanych. Problem polegał na tym, że kapitan najwyraźniej nie służył już w Królewskiej Marynarce Wojennej. Zamierzali nawet pozmieniać nazwy okrętów: miały już nie być „His Majesty’s Ships” – Okrętami Jego Królewskiej Mości.

Harper spojrzał w lustro nad umywalką ciasnej kajuty. Był wysoki, chudy, miał haczykowaty nos, który wraz z krzaczastymi brwiami nadawał mu aparycję drapieżnego ptaka. Chociaż toczył nieustanną wojnę z rosnącym brzuszkiem, zazwyczaj był zdania, że – jak na swój wiek – trzyma się dobrze. Dziś wyglądał po prostu na zmęczonego – zmęczonego i starego. Przeklął ten tak zwany ruch oporu „anty-CELL”. Gdyby tylko wystartowali miesiąc później, nie służyłby już wtedy w marynarce.

Potrafił zrozumieć, czemu CELL chce mieć gwarancje, że kapitan wykona rozkaz,

kiedy przyjdzie co do czego. Gdyby wycofał się w ostatniej chwili, poważnie skomplikowałyby im plany. CELL miała duże wpływy w amerykańskim rządzie i chociaż udało im się kupić US Marines, dysponujących własną flotą i siłami powietrznymi, nie weszli w posiadanie US Navy. HMS „Robin Hood” był jedyną jednostką w tym rejonie, zdolną przeprowadzić ostrzał artyleryjski z morza, chociaż Harper nie pojmował, czemu korporacja nie wykorzystwała do tego celu marines.

Większość konfliktów, w których brał udział przez trzydzieści lat służby, była tak zwanymi konfliktami niskiej intensywności: Irak, Kryzys Londyński, Sri Lanka, Kolumbia, a nawet operacje przeciwko gniazdom Cepidów. Zbyt wiele z nich wymagało od niego ostrzału artylerią bądź rakietami skupisk cywilnych. Prawie nigdy nie zmierzył się z równym przeciwnikiem. Teraz jego celem znów byli „terrorysty”. Wiedział, że Yonkers zostało ewakuowane, kiedy CELL *de facto* anektowała Nowy Jork po inwazji Cepidów.

Harper wciąż nie potrafił pogodzić się z faktem, że obcy najechali Nowy Jork.

Problem polegał na tym, że znał ludzi, których kazano mu ostrzelać. Nie osobiście, choć nie zdziwiłby się, gdyby natknął się wśród nich na kilka znajomych twarzy. Ale to byli ci sami ludzie, których znał całe życie. Wojskowi. Służył z takimi jak oni. Rozumiał, dlaczego walczą. Nie godzili się na to, że monopol energetyczny CELL trzyma w szachu cały świat, i na prywatyzowanie przez korporację armii różnych krajów.

Wiedział, że rozkazy, które mu wydano, są niesłuszne, ale nie był to pierwszy raz. Kiedy znajdował się na pokładzie HMS „Anguish”, kapitan otrzymał rozkaz ostrzelania południowego Londynu, stojącego u progu zamieszek. Widok płonącego miasta sprawił, że Harper na kolejne cztery lata stał się funkcjonującym alkoholikiem.

Nie raz kwestionował rozkazy ostrzelania cywilnych ośrodków na Sri Lance. Kwestionował oczywiście w duchu, nie otwarcie. Nie mógł sobie pozwolić na bunt, nie w marynarce Jego Królewskiej Mości. Nie, jeśli zależało mu na karierze.

Wiedział przynajmniej, że będzie strzelał do żołnierzy pod bronią, gotowych do walki. Nie miał tylko pewności, czy się z nimi nie zgadza. Tak samo jak oni nie chciał wykonywać rozkazów pazernej wielonarodowej korporacji.

Jeszcze tylko miesiąc. Wraz z Rachel postanowili wykorzystać resztki oszczędności, tę niewielką sumę, którą zdołali odłożyć mimo niekończącej się recesji, oraz skąpe emerytury, i kupić dom w Dorset. Ona dalej pracowałaby jako nauczycielka, on miał nadzieję dostać posadę konsultanta w którejś ze stoczni współpracujących z marynarką.

Zgarbił się w fotelu i znów spojrzął na whisky. Wiedział, jakie jest łatwe wyjście.

Wiedział, co winien jest Rachel, zwłaszcza po tym, jak była przy nim po Kryzysie Londyńskim. W końcu nie pierwszy raz bombardował miasta z morza.

Potrzebował dokładnych danych. Problem polegał na tym, że jeśli chodziło o zebranie informacji, mógł zaufać tylko sobie. Nie chciał opuszczać statku – ktoś mógłby to uznać za dezercję – ale nie miał innego wyjścia. *Nieprawda, stary durniu, masz drugie, tyle tylko, że nie za bardzo ci się widzi*, pomyślał. Nie ufał swoim nowym mocodawcom. Królewska Marynarka Wojenna nie mogła przecież stać się zbrojnym ramieniem wielonarodowej korporacji! Musiał dowiedzieć się więcej o tym powstaniu. Ruch oporu nie zaryzykowałby naruszenia dyscypliny łączności, żeby z nim porozmawiać. Zostawało więc tylko spotkanie twarzą w twarz, a jedyną osobą, której Harper ufał na tyle, żeby jej na to pozwolić, był on sam. Powtórzył sobie w duchu, że to dlatego, że chce wiedzieć jak najwięcej, zanim podejmie decyzję. Wstał i wyszedł ze swojej ciasnej kajuty.

Idąc wąskimi korytarzami w stronę mostka, pomyślał, że do HMS „Robin Hooda” czuje miłość i nienawiść. To był doskonały okręt. Miał potrójny kadłub oparty na technologii SWATH, zmniejszającej do minimum objętość kadłubów w miejscu styku z wodą, gdzie napotykały opór energii fal. Oznaczało to redukcję sygnatur akustycznych i kilwatera. Sprawiało także, że taki niewykrywalny niszczyciel rakietowy stawał się bardzo szybki. Podczas rejsów testowych udało się go rozpędzić do blisko sześćdziesięciu węzłów.

Okręt potrafił także mocno ugryźć, mimo tego, że niewykrywalna konstrukcja uniemożliwiała montaż głównej armaty, będącej uzbrojeniem wielu innych statków tej klasy. Zaprojektowano go jako praktycznie niewidzialną platformę rakietową, konwencjonalny statek o niewykrywalności porównywalnej z okrętem podwodnym. Choć pozbawiony głównego działka, był uzbrojony w dwa w pełni zautomatyzowane działka Bushmaster kalibru 30 mm oraz dwa wielolufowe, naprowadzane radarowo systemy Phalanx 20 mm do zestrzeliwania nadlatujących rakiet. Oprócz pocisków obrony przeciwlotniczej i torped, „Robin Hood” wyposażony był dodatkowo w wielozadaniowe pociski 23 CVS401 Perseus.

Jego zwężający się ku górze kadłub, brak pionowych płaszczyzn, wyrugowanie kątów prostych oraz konstrukcja z utwardzanych włókien węglowych spajanych na poziomie cząsteczkowym jeszcze bardziej zmniejszały wykrywalność statku przez radary, a także detektory podczerwieni i sonary.

Jednak najbardziej imponujący był system kamuflujący. Emiter umieszczony na rufie był w stanie wytworzyć pole soczewkujące, które zakrzywiało promienie światła

wokół statku. „Robin Hood” praktycznie zniknął, jeśli tylko pozostawał nieruchomy bądź płynął z prędkością poniżej dwudziestu węzłów. Przy wyższych prędkościach pole znacząco rozmywało jego sylwetkę.

Harper musiał to zobaczyć, zanim uwierzył. Wciąż nie miał pewności, czy przez całe to pole jego załoga nie dostanie raka. Oparte rzekomo na technologii wynalezionej w ramach amerykańskiego projektu rządowego Tęcza, pole soczewkujące używane było w zminiaturyzowanej wersji przez siły specjalne USA na Pacyfiku podczas incydentu na Lingshan, a potem w Nowym Jorku w czasie inwazji Cepidów.

Właśnie pole soczewkujące było powodem ambiwalentnych uczuć Harpera wobec „Robin Hooda”. Nie dlatego, że niewidzialny statek kojarzył mu się z czymś podstępny czy wręcz niehonorowym, choć jakaś staroświecka część kapitana tak właśnie uważała. Niechęć, jaką czuł do okrętu, wynikała z kosztów jego produkcji.

„Robin Hood” został zbudowany przez firmę wykupioną przez CELL. Pole kamuflujące podwoiło jego cenę, przez co znacząco przekroczono budżet. Wraz z dwiema bliźniaczymi jednostkami, okręt ten przyczynił się w dużej mierze do finansowego kryzysu, który zmusił Wielką Brytanię do sprzedaży swojej marynarki, która, choć niezbyt liczna, była bezsprzecznie najlepszą na świecie. CELL naciskała admiralicję, potem skarb państwa, wreszcie rząd. I właśnie dlatego Harper nie znosił tego statku, mimo jego kuszących możliwości.

Mostek znajdował się na środkowym kadłubie. Składał się z szeregu ciemnych stanowisk roboczych z włókna węglowego, rozświetlonych holograficznymi projekcjami różnych części statku: sterówki, uzbrojenia, maszynowni, łączności, nawigacji itd.

Komandor podporucznik Samantha Swanson nie była zaskoczona widokiem kapitana, choć była to jej wachta.

– Kapitan na mostku – oznajmiła, salutując.

Harper odpowiedział salutem. Swanson zwolniła jego skórzany fotel obrotowy, z którego rozciągał się widok na cały mostek, i stanęła z rękami za plecami przy stanowisku nawigacyjnym. Była zbyt doświadczonym zawodowcem, by wypytywać o przyczynę jego obecności czy choćby zdradzać jakiegokolwiek zdziwienie, chociaż Harper domyślał się, że Stevens prawie na pewno z nią rozmawiał i że musi znać rozkazy dla „Robin Hooda”.

Pracował już z nią wcześniej i uważał tę wysoką, jasnowłosą kobietę za kompetentnego oficera. Rekomendował jej kandydaturę na pierwszego oficera „Robin

Hooda”, co mogłoby w przyszłości zapewnić jej dowodzenie własnym okrętem, ale względy polityczne – choć wyglądało na to, że chodzi tu raczej o politykę korporacji, a nie admiralicji – zdecydowały, że narzucono mu Stevensa.

– Nawigacja, proszę wytyczyć kurs na zachodni kraniec Long Island Sound. Maszynownia, uruchomić kamuflaż. Sterówka, utrzymać prędkość dwudziestu węzłów. Zobaczmy, czy to pole faktycznie potrafi to, co o nim mówią. Urządźmy naszym nowym pracodawcom pokaz możliwości ich technologii maskującej.

– Sir, czy mamy powiadomić Liberty Station o nowym kursie? – zapytał midszypmen Walters, szef łączności. Liberty Station była placówką CELL w Nowym Jorku, w tej chwili teoretycznie sprawującą bezpośrednie zwierzchnictwo nad „Robin Hoodem”.

– Celem tego ćwiczenia jest przetestowanie niewykrywalności „Robin Hooda”. Zobaczmy, jak blisko Nowego Jorku podpłyniemy niewykryci. Zachować dyscyplinę łączności.

– Aye, sir.

Swanson obejrzała się na kapitana, ale nie odezwała się. Wiedziała, że właśnie sprzeciwił się rozkazom, a ci, którzy znali prawdziwy cel misji okrętu, mieli świadomość, że gdyby chcieli, mogą zbombardować pozycje buntowników w Yonkers z odległości ponad stu pięćdziesięciu mil. Kilka osób wymieniło spojrzenia, ale nikt nie wyraził głośno sprzeciwu.

Harper raczej poczuł niż usłyszał w tle szum uruchomionego pola. Okręt zmienił kurs. Nawet na wzburzonym morzu płynął tak gładko, jakby bezgłośnie sunął po jedwabiu.

* * *

Minęli światła New London, New Haven, Bridgeport oraz Norwalk i skierowali się ku Stamford na północnym, należącym do Connecticut brzegu zatoki Long Island Sound. Long Island po południowej stronie była ciemna. Po inwazji Cepidów i agresywnym zagarnięciu ziemi przez CELL ceny nieruchomości spadły na łeb na szyję. Bogate dzielnice, takie jak Port Jefferson i Whitestone, zostały opuszczone. W pustych rezydencjach mieszkali uciekinierzy z miasta, szczury i stada zdziczałych psów.

Mimo wyczuwalnego na mostku napięcia kapitan Harper był przerażony tym, jak łatwo mu poszło. Zwłaszcza że CELL musiała już wiedzieć, że „Robin Hood” zniknął.

– Panie Hamilton, czy East River to dla nas jakiś znaczący problem? – spytał.

– Yyy... nie, sir – odparł porucznik Hamilton niezbyt pewnym tonem. Harper nie

pracował wcześniej z pulchnym, wąsatym mężczyzną, ale czytał akta nawigatora i uznał go za wystarczająco wykwalifikowanego. Na „Robin Hooda” nie dostawał się byle kto.

Im bliżej miasta, tym więcej domów stało opuszczonych – kilometry ciemnych, pustych budynków, kiedyś jednych z najbardziej pożądanых nieruchomości na świecie. Teraz zmieniły się w duchy przedmieść i dzielnic Nowego Jorku. Jedynymi źródłami światła i ruchu były napotykanе z rzadka pojazdy czy śmigłowce CELL, przecinające ciemność szperaczami.

Ruchliwa kiedyś droga wodna był obecnie prawie pusta. Widoczne w oddali łodzie patrolowe, głównie korporacyjne, ale też parę amerykańskich, ominęli szerokim łukiem. Nikt ich nie zatrzymywał. Nikt ich nawet nie zauważył. Pole maskujące działało doskonale.

– To po prostu nieprzyzwoite – mruknął jeden z marynarzy w dziale łączności, zanim ktoś go uciszył. Harper pomyślał, że jest podobnego zdania.

Kiedy wpłynęli na East River, Nowy Jork stał się dla nich słabą poświatą na południowym zachodzie.

Na mostku ciszę przerywały tylko rzadkie, wypowiedane spokojnym głosem polecenia. Chwilę największego napięcia przeżyli wtedy, kiedy minęli w odległości pięćdziesięciu metrów łódź patrolową. Jej szperacze omiatały oba ciemne brzegi rzeki. Prawdopodobnie szukała żołnierzy ruchu oporu. Porucznik Chalmers, który dowodził sekcją uzbrojenia, zerknął na Harpera, ale kapitan milczał. Nie wiedział sam, co robi, jeśli zostanie wykryty. Będzie walczył czy się podda? Jeśli postanowi walczyć, to czy załoga wykona jego rozkazy? Reflektor w pewnym momencie przeświecił wprost przez „Robin Hooda”, ale patrolowiec ich nie zauważył.

Jak oni mogą nie widzieć, że obok nich płynie coś tej wielkości?, zdumiał się Harper. Czy oni w ogóle nas nie czują?

– Ster, proszę nas zbliżyć na sto pięćdziesiąt metrów do północnego brzegu – rozkazał. Na południe od nich widać było Rikers Island, niesławne więzienie, opuszczone po ataku na Nowy Jork. Nastąpiła szybka wymiana informacji, werbalnych i elektronicznych, między sterem i nawigacją. Harper poczuł, że okręt zmienia kierunek. – Tam się zatrzymamy. Komandor porucznik Swanson, zapraszam do sali planowania.

Wstał i ruszył do pomieszczenia przyległego do mostka. Swanson poszła za nim. W sali stał stół konferencyjny z holoprojektorem na środku, otoczony stanowiskami roboczymi. Nie licząc zdjęcia HMS „Robin Hooda”, ściany były gołe.

– Sir? – spytała komandor, z trudem powściągając widoczną na twarzy ciekawość.

– Będę brutalnie szczery: czy jest pani gotowa słuchać moich rozkazów? – zapytał Harper.

– Czy będą sprzeczne z naszym rozkazami od CELL? – odpowiedziała pytaniem, równie szczerym.

– Rzekłbym, że nie, nie będą – zełgał kapitan; było to oczywiste kłamstwo. *Zrozum, czego nie mogę powiedzieć wprost*, prosił w myślach. *Zaufaj swojemu kapitanowi, kiedy cię oszukuje*. To stwierdzenie miało w razie czego zapewnić jej obronę. Prawdopodobnie niewystarczającą. W końcu na jej twarzy dostrzegł zrozumienie.

– Może mi pan zaufać, sir – powiedziała. Pokiwał głową, wierząc jej.

– Zamierzam opuścić pokład.

– Sir?... Jak to? – Była wyraźnie zaskoczona.

– Żeby zebrać informacje.

– Sir, mamy przecież ludzi...

– Muszę mieć podstawy do podjęcia decyzji. Obawiam się, że to muszę być ja.

Młoda komandor porucznik nie wyglądała już na tak pewną siebie.

– Czy to zmienia pani stanowisko? – zapytał ją po chwili.

Swanson zastanowiła się krótko.

– Nie, sir, nie sądzę – oznajmiła.

– Wie pani, beze mnie będzie tu duża presja... – Komandor pokiwała głową. – Doskonale. Mój rozkaz brzmi: zostać tu w kamuflażu, dopóki nie wrócę.

– A jeśli pan nie wróci, sir?

Mieli jeszcze osiem godzin do rozpoczęcia bombardowania Yonkers.

– Wtedy, obawiam się, decyzja spadnie na panią – odrzekł Harper. Nie dodał, że obciąży ona także jej sumienie. Nie dodał, że niezależnie od tego, co Swanson postanowi, będzie ją to dręczyło przez lata. Wiedział, że miała dwadzieścia osiem lat, mało jak na swój stopień. *Za mało na podejmowanie takich decyzji*, pomyślał.

Przełknęła ślinę, ale pokiwała głową.

– Otworzycie ogień tylko w wypadku, kiedy będzie od tego zależało życie załogi. Tymczasem skupiamy się na niewykrywalności.

– A Nosferatu? To znaczy komandor Stevens?

– Pozostaje zamknięty w swojej kajucie. Jeśli będzie sprawiał kłopoty, proszę go zamknąć w celi. – Swanson przytaknęła. – Coś jeszcze?

– Nie, sir. – Ruszyła do wyjścia, potem jednak zawahała się, odwróciła i podała Harperowi dłoń. – Sir, to był zaszczyt.

Kapitan spojrzał na jej wyciągniętą rękę.

– Zamierzam tu wrócić – powiedział z uśmiechem. Komandor skinęła głową

i wróciła na mostek.

* * *

Kajuta mieszcząca gabinet porucznik Talpur znajdowała się obok części z kojami sypialnymi jej marines i była maleńka. Dla drobnej kobiety nie przedstawiało to problemu. Kapitanowi było tu jednak nieprzyjemnie ciasno.

Porucznik podała mu kubek herbaty.

– Będę szczerzy. Mogę pani ufać? – spytał Harper. Obecność Talpur przy wcześniejszej niesubordynacji Stevensa podważyła nieco jego dobrą ocenę dowódczyni marines. Porucznik westchnęła.

– Że też do tego doszło... – mruknęła.

– Pani porucznik, nie mamy dużo czasu.

– Nie przyszło mi nigdy do głowy, że nie wykonam rozkazu kapitana okrętu, na którym stacjonuję. Problem w tym, że zmienił się nasz łańcuch dowodzenia.

– Oficer wciąż ma prawo odmówić wykonania rozkazu, jeśli jest sprzeczny z jego sumieniem.

– Dopóki warunki naszego kontraktu się nie zmienią, bo później takie nieposłuszeństwo przypieczętuje koniec jego kariery.

– Zależy pani na karierze w tej służbie?

Porucznik utkwiała wzrok w kapitanie. Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, oceniała go, zastanawiała się, co powiedzieć.

W końcu ze znużeniem potarła twarz.

– Nie. – Harper chciał coś powiedzieć, jednak nie zdążył. – Ale chcę móc wyżywić rodzinę. Nie wiem, czy stać mnie na luksus wierności zasadom, jak pana, sir.

Też nie mam tego luksusu, pomyślał Harper, rozgoryczony. Choć nieliczni, marines mogli odegrać kluczową rolę w przejęciu okrętu.

– Zatem nie mogę na pani polegać?

– Nie, sir, przykro mi.

Przesunęła przez stół kartkę papieru. Harper wziął ją do ręki i przeczytał listę sześciu nazwisk. Talpur była na samej górze.

– Pani porucznik?...

– Musi mi pan odebrać dowodzenie i zamknąć te osoby w ich kajutach, ponieważ wszyscy oni mają rodziny i, szczerze mówiąc, zbyt wiele do stracenia. Sierżant Martin jest kawalerem, nie ma dzieci, o których by wiedział, i otwarcie krytykuje CELL. Na nim może pan polegać, sir.

– Pani chłopcom się to nie spodoba.

– Dziewczynom też. Sprawa została omówiona, sir.

Harper popatrzył na listę i z powrotem na porucznik.

– Dziękuję pani. – Talpur tylko skinęła głową. – Jeszcze jedna rzecz, pani porucznik.

Czy któryś z pani chłopców... któraś z pani osób... ma kryminalną kartotekę?

Oficer zrobiła zbolałą minę.

– Sir, sporo moich ludzi trafiło tu na mocy Aktu o Karnym Poborze. Kogo pan potrzebuje?

– Najchętniej złodzieja samochodów.

– Liverpoolczyka? Mam kogoś takiego.

* * *

Niewiarygodne, pomyślał Harper. Ponton desantowy opuszczano między dwoma kadłubami trimarana. Nad sobą i dookoła kapitan widział konstrukcję statku z węglowego kompozytu. Kiedy sternik wyprowadził ponton spod nadbudówki „Robin Hooda”, Harper poczuł przelotną jonizację pola soczewkującego. Obejrzał się za siebie i nie zobaczył już nic.

Pozostała trójka nie zdradzała większych oznak zdziwienia. Ponton cicho i powoli sunął w stronę ciemnego nabrzeża Bronxu. Sternik skupiał się prowadzeniu łodzi. Szeregowy Fry, znany powszechnie jako Scouse, obsługiwał karabin maszynowy na dziobie. Kapral Fenn, twarda, młoda kobieta z wiejskich rejonów północnego Yorkshire, trzymała w pogotowiu swój karabinek szturmowy SCAR i przepatrywała powierzchnię rzeki.

Harper pamiętał, że nowojorski Bronx słynął kiedyś z przestępczości, zwłaszcza jego południowa część. Teraz musieli się martwić tylko o rzadkie grupki bezdomnych, jeszcze rzadsze patrole CELL i włączące się stada psów. Niby słyszał pogłoski o niedobitkach cepidzkich bioform... Ale chociaż widział to wszystko w wiadomościach i sam był częścią sił szybkiego reagowania stworzonych po inwazji obcych, wciąż nie potrafił przyjąć tego do świadomości. Obcy na ulicach Manhattanu cały czas wydawali mu się wytworem science fiction.

Z wprawą nawigatora określił położenie „Robin Hooda” na podstawie charakterystycznych punktów na brzegach. Miał ze sobą GPS i pamiętał współrzędne statku, ale zamierzał je wprowadzić w ostatniej chwili, na wypadek gdyby urządzenie wpadło w niepowołane ręce.

* * *

Wpłynęli pod butwiejące molo. Harper kazał sternikowi czekać tu osiem godzin na ich powrót. Znaleźli drabinkę, która wyglądała na najmniej przegniłą, i ruszyli przez upiornie cichą dzielnicę.

Samochód z napędem na cztery koła byłby lepszy, ale szeregowy Fry znalazł jedynie działającego sedana. Spuścili z innych aut tyle paliwa, ile tylko zdołali, osłaniani przez kapral Fenn. Z oddali dobiegało wycie polującego stada psów. Jeszcze dalej widać było światła na niebie – helikopter CELL, lecący w stronę Manhattanu. Na pustych, ciemnych ulicach odgłos budzącego się do życia silnika sedana zabrzmiał niewiarygodnie głośno.

Para masywnych marines z bronią sprawiała, że w środku było dość ciasno. Oboje, podobnie jak Harper, nie mieli na sobie mundurów, tylko ciemne cywilne ubrania, które udało im się skompletować. Założyli jednak swoje szelki z oporządzeniem.

– Muszę was uprzedzić, że jeśli zostaniemy złapani po cywilnemu, mogą nas rozstrzelać jako szpiegów. Jeśli któreś z was chce wracać, zrozumieć – oznajmił im Harper.

Fenn milczała.

– Mam nadzieję, że zobaczymy jakiegoś Cepida – odpowiedział Fry ze swoim mocnym liverpoolskim akcentem i opuścił na oczy noktowizyjne gogle. – Nigdy jeszcze nie widziałem obcego.

* * *

Zanim wyruszyli, Fry przestudiował mapę. Wiele tablic z nazwami ulic wciąż wisiało na swoich miejscach. Marine wprawnie prowadził ich przez opuszczone miasto. Musieli objeżdżać gruzowiska i spychać z drogi spalone wraki samochodów; cały czas mieli w pamięci ograniczenie czasowe, przez które podróż zdawała się niemiłosiernie dłużyć.

Harper bywał kilkakrotnie w Nowym Jorku, zapamiętał go jako miasto tętniące życiem. Widok upiornego truchła metropolii, które teraz oglądał, był dla niego trudny do zniesienia.

Kilka razy mignął im Manhattan. Był rozświetlony, ale tak, jak rozświetlone bywają place budowy. Spora część znanej na całym świecie panoramy wieżowców była ciemna i zniszczona po inwazji Cepidów. Harper zauważył pnące się ku górze nowe budynki, ale z tej odległości nie potrafił określić ich przeznaczenia.

Po drodze nie napotkali niczego, nawet dzikich psów. Oprócz szperaczy śmigłowców nad Manhattanem praktycznie nic się nie poruszało.

* * *

Przejechali nad rzeką Bronx i wjechali do południowo-wschodniego Yonkers. Miasto zbudowano na wzgórzach ciągnących się od rzeki Hudson na zachód. Podobnie jak cała okolica, wyglądało na opuszczone. Jechali szeroką arterią między rzędami pustych kamienic i lokali użytkowych.

– Sir? – spytał Fry.

Harper wiedział, że Ruch Oporu rozproszył się po całym mieście, żeby nie stanowić jednego dużego celu. Wiedział też, że znajdują się właśnie w jednym z tych obszarów, w których orbitalna platforma Archangel zarejestrowała sygnatury ciepłe.

– Sądzę, że znajdą spo...

Oślepiły ich reflektory. Fry krzyknął, jednocześnie próbując podnieść noktowizor i zatrzymać samochód. Harper poleciał do przodu, ale zdążył zauważyć, że Fenn podrzuca do ramienia swojego SCAR-a. Fry też już sięgał po broń.

– Czekajcie! Opuścić broń! – krzyknął kapitan. W poprzek drogi przed nimi stał jakiś stary samochód pancerny. W ich stronę biegły ciemne postacie. Drzwi auta otworzyły się gwałtownie i Harper znalazł się twarzą przy asfalcie. Ktoś kablem wiązał mu ręce za plecami.

* * *

Harper uznał, że jego wyjaśnienie, iż jest kapitanem niewykrywalnego niszczyciela raketowego stacjonującego w zasięgu strzału i że chce rozmawiać z dowódcą, ogłoszone przez czarny worek na głowie, straciło nieco na sile przekazu.

Zostali przeszukani, potem drugi i trzeci raz, w sposób, który graniczył z gwałtem, przeprowadzeni przez kilka różnych pomieszczeń, aż w końcu przywiązani do krzesel. Kapitanowi ściągnięto worek z głowy; zobaczył, że siedzi na krześle w piwnicy o podłodze zalanej kilkucentymetrową warstwą wody. Fenn i Fry siedzieli obok niego, wciąż zakapturzeni.

Oprócz nich w pomieszczeniu znajdowali się inni ludzie, sami mężczyźni. Jednym z nich był surowy biały sześćdziesięciolatek w miejskim kamuflażu, znoszonym, ale wciąż zdatnym do użycia. Jak na swój wiek był w doskonałej formie. Skrzyżował ręce na piersi; bynajmniej nie sprawiał wrażenia, że widok Harpera i jego marines napawa go szczególną radością.

Drugi mężczyzna był Latynosem. Włosy miał krótko przystrzyżone, wyglądał na jakieś trzydzieści kilka lat. Nosił dżunglowy mundur bez rękawów i kamizelkę kuloodporną. U jego biodra wisiał olbrzymi rewolwer majestic.

Trzeci z mężczyzn siedział naprzeciwko Harpera. Był łysy i chudy, niemal chorobliwie. Na oko osiemdziesięcioletki. Bardzo dobrze się trzymał. Jego oczy wyglądały tak, jakby należały do kogoś młodszego. Spoglądały żywo i bystro. Harper odniósł wrażenie, że skądś go zna, jakby go wcześniej widział w telewizji.

– Czy wie pan, kim jestem? – spytał mężczyzna. Miał mocny środkowoeuropejski akcent. W końcu Harper skojarzył.

– Karl Rasch, zwolniony szef Hargreave-Rasch BioMedical – zaryzykował. Zerknął na Fenn i Fry'a.

– A także szef CryNetu, do którego należy CELL, do którego z kolei należy teraz Królewska Marynarka Wojenna. Czy raczej marynarka CELL?

– Nazywam się... – zaczął Harper.

– Wiemy, kim pan jest. Potwierdziliśmy pana tożsamość.

Kapitan nie dopytywał, jak.

– A pozostali panowie? – zapytał.

– Nie życzą sobie ujawniania swoich nazwisk – odparł ten surowy. Widać było, że nawykł do dowodzenia. Miał w sobie coś, co kojarzyło się Harperowi z siłami specjalnymi. Nie nosił żadnych insygniów na mundurze, tylko gwiazdki i paski na jednym ramieniu.

– Jest pan kapitanem „Robin Hooda”? – spytał Rasch.

Harper skinął głową.

– Wiedzą, gdzie jesteście – powiedział.

– Należało się tego spodziewać. Kiedy byłem prezesem Hargreave-Rasch, znałem sprawę kontraktu na budowę „Robin Hooda”. Nieobce mi są jego... dość przerażające możliwości. CELL postanowiła nie korzystać w Nowym Jorku z usług byłych amerykańskich marines w obawie przed buntem. Miasta bronią prywatni żołnierze korporacji, których lojalność została zweryfikowana. „Robin Hood” jest dla nas największym zagrożeniem, i to z więcej niż jednego powodu. – Rasch przerwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. – Rzekłbym, że to co najmniej dziwne, iż oto jego kapitan włóczy się po Yonkers o tak później porze.

– Muszę wiedzieć, dlaczego. – oznajmił Harper. Kapral Fenn odwróciła głowę, jakby chciała popatrzeć na niego przez kaptur.

– Od kiedy to musimy się tłumaczyć załodze HMS „Robin Hood”?

– Muszę mieć pewność, że to nie jest jakaś korporacyjna wendeta.

– Myśli pan, że bylibyśmy tu, gdyby tak było, *ese*? – spytał Latynos.

– Proszę zdjąć kaptury moim ludziom – zażądał Harper. – Jesteśmy nieuzbrojeni, możecie nas rozwiązać, macie moje słowo, że nie podejmiemy przeciwko wam

żadnych działań.

Latynos się roześmiał.

Rasch spojrzął na starszego żołnierza, który kiwnął głową. Latynos zdjął kaptury Fry'owi i Fenn, potem przeciął kabel pętający im ręce za pomocą noża rozmiarami zbliżonego do maczety. Marines roztarli nadgarstki i rozejrzeli się, ale się nie odezwali.

– Przypuszczam – zaczął Rasch – że jak większość racjonalnie myślących ludzi, żywi pan znaczne wątpliwości co do prywatyzacji państwowych dotąd sił zbrojnych.

– Wojsko państwowe odpowiada przed swoim rządem, a co za tym idzie – przed obywatelami. Firma odpowiada w najlepszym przypadku przed akcjonariuszami i najczęściej chodzi jej głównie o zysk.

– Odszedłem z Hargreave-Rasch, firmy, którą współzałożyłem... – *To niemożliwe*, pomyślał Harper. Był przekonany, że powstała na początku XX wieku. – ...ponieważ coraz bardziej niepokoiły mnie stosowane w niej praktyki. Firma zaczęła wymykać się spod kontroli. Po śmierci mojego partnera, Jacoba Hargreave'a, nie było już na jej czele jednostki o silnej osobowości i kręgosłupie moralnym.

– A pan?

– Łatwo było się mnie pozbyć, kiedy zacząłem się sprzeciwiać polityce korporacji. Zarząd jednogłośnie udzielił mi wotum nieufności. Problem polega na tym, że ta firma robi to, co zrobiłaby każda inna: podnosi korporacyjny kapitalizm do entej potęgi. Bo nie ma nikogo, kto by jej tego zakazał. Mając monopol energetyczny, posiada obecnie niezmierzone zasoby. Przestała być instytucją, którą definiujemy mianem przedsiębiorstwa. Zachowuje się jak wyjątkowo agresywny wirus. Będzie konsumować i konsumować, aż nie zostawi niczego. Stała się korporacyjnym memem, który wymknął się spod kontroli, i nie spocznie, póki nie osiągnie całkowitej dominacji nad światem.

– Czyż nie taka jest natura tego systemu? – spytał Harper.

– Pyta pan, czy ktoś kiedyś wygrał w kapitalizm? – odpowiedział pytaniem Rasch.

Surowo wyglądający żołnierz głośno prychnął i pokręcił głową.

– Pan to powie ludziom, których oni zniewalają, *holmes* – powiedział ponuro Latynos.

– Chodzi o tę akcję „żyj bez długu”?

– Widzi pan... Energia, którą dysponują, teoretycznie jest wytwarzana za darmo, prawda? – ciągnął Latynos. – Czyli najpierw wycięli konkurencję, a potem koszty zaczęły rosnać bez końca. Ludzie, którzy chcą mieć ciepło, gotować i srać, popadają w długi. Wtedy CELL wciąga ich w tę swoją akcję, a kiedy się zapiszą, to już

przepadli. Nigdy nie spłacają długu do końca. CELL przejmuje ich na własność.

– Współczesna pańszczyzna – podsumował Rasch. – A ludzie po prostu i tak nie mają wyboru i muszą używać produktów CELL. Oczywiście pierwszy przyznam, że demokracja to system niedoskonały. Z pewnością nie raz stawała mi na drodze, kiedy byłem prezesem; by sobie z nią radzić, korzystaliśmy z usług dobrze opłacanych lobbystów, kiedy nam to odpowiadało. W najprostszym ujęciu demokracja to usankcjonowane rządy tłumu, ale podejrzewam, że będziemy za nią tęsknić, kiedy zniknie.

– I w takim razie uważacie, że atak terrorystyczny to dobry sposób, żeby wyrazić swoje zdanie?

Dwaj żołnierze obok Rascha zjeżyli się na słowo „terrorystyczny”. Fry usiłował powściągnąć uśmiech. Kapral Fenn pozostała nieporuszona, ale co chwila oglądała się za siebie, w ciemny kąt pomieszczenia.

– Gdybym mógł swój sprzeciw wyrazić w jakimś głosowaniu, gdybym mógł napisać do swojego kongresmena czy zrobić cokolwiek innego, zrobiłbym to. Najprawdopodobniej to ja byłem osobą, mającą największy wpływ na to, by nie dopuścić, żeby firma wymknęła się spod kontroli. Nie dałem jednak rady. Nie chodzi nam o to, żeby cokolwiek udowodniać czy kogokolwiek terroryzować. Mamy bardzo konkretny cel. – Żołnierz o surowej twarzy odchrząknął. Rasch obejrzał się na niego. – Nigdzie nie dojdziemy, mówiąc półprawdy i ogólności, majorze. – Odwrócił się z powrotem do Harpera. – Chcemy zlikwidować mechanizm, który daje CELL światowy monopol na energię. Oczywiście że Cepidy są zagrożeniem i będziemy musieli się z nimi rozprawić. To jednak zrobimy później. Teraz zaś nie możemy dopuścić, żeby moja była firma stała się jeszcze potężniejsza.

– To coś jest tu, w Nowym Jorku?

Rasch nie odpowiedział. Surowy major sprawiał wrażenie niezadowolonego. Harper uświadomił sobie, że jeśli nie stanie po ich stronie, będzie martwy. A nawet i to mogło się okazać nie takie proste. Gdyby się zgodził, musiałby ich jeszcze przekonać, że nie kłamie.

– Ostrzelają was z Archangela – powiedział. Rasch pokręcił głową. – Muszą. Jeśli źródło ich władzy znajduje się w mieście, nie będą mieli wyjścia.

– Nie mogą ryzykować. Mogliby uszkodzić swoje cenne zasoby. Kapitanie, to nie przypadek, że CELL wykorzystuje Nowy Jork jako swoją bazę. Gromadzą tu technologię obcych, a proszę mi wierzyć, że ostatnią organizacją na świecie, której by pan zechciał tę technologię powierzyć, jest niekontrolowane przez nikogo globalne supermocarstwo. Jeśli chciałby pan jeszcze kiedyś żyć jak wolny człowiek.

– To hiperbola – powiedział Harper, czując gniew. *Nie, nie gniew*, pomyślał. *Strach*.

– Czy wyglądamy panu na pacyfistów, hipisów albo komuchów? – spytał major. – Wie pan, jacy są wojskowi. Jak pan myśli, czego było trzeba, żebyśmy podjęli takie działania?

Harper kątem oka zauważył, że Fenn znów ogląda się za siebie. Kusilo go, żeby też to zrobić.

– Moim zdaniem doskonale pan wie, że mówię prawdę, kapitanie. Myślę, że zdążył pan odczuć, jak przez ostatnie kilka lat korporacja oplata pana powoli jak wąż. Wiedział pan, co się dzieje, i rozpaczliwie pan pragnął, żeby ktoś inny coś z tym zrobił. Cóż, skończyli nam się ludzie. Zostaliśmy tylko my, tu i teraz, a jak pan pewnie się domyśla, mamy dużo pracy, więc obawiam się, że muszę już teraz nalegać na pańską deklarację.

Harper przełknął ślinę.

– Pomogę wam – powiedział. Mimo wszystko wciąż czuł się tak, jakby zdradzał swoją ojczyznę. Rasch skinął głową, potem spojrział w kąt, w kierunku którego oglądała się Fenn.

– Dane. Czy on mówi prawdę?

Na oczach Harpera ciemność odsłoniła potężną i bardzo groźnie wyglądającą postać. *To kamuflaż*, zrozumiał zdumiony kapitan. Osobnik, który się pojawił, wyglądał nadzwyczajnie. Miał na sobie pancerny egzozkielet z grubych, przypominających mięśnie przewodów. Połowę jego korpusu i hełm zbroi zdobiły namalowane kości i czaszka. Obwieszały go paciorki, pióra, kości i czaszki gryzoni oraz ptaków. Na łańcuszku na szyi nosił pęczek nieśmiertelników. U jego biodra widniał duży pistolet, a w obejmie na plecach snajperski karabin.

– Markery stresu ma zupełnie posrane – oznajmił nieznajomy zaskakująco sennym głosem. – Ale mówi prawdę.

Mężczyzna w egzozkielecie odwrócił się od szóstki ludzi i stanął, jakby wpatrywał się w coś, czego oni nie mogli zobaczyć. Harper, Fenn i Fry utkwili w nim wzrok.

– Jesteś kosmitą? – spytał Fry.

Tamten obejrzał się na niego.

– Nie – odparł po prostu.

Marine był wyraźnie niepokojony.

– Tak, rozumiem, czemu jesteś zawiedziony – powiedział do niego Harper.

Dane odwrócił się do Fenn.

– Dobra jesteś.

Rasch popatrzył na majora.

– Majorze Winterman?

Oficer zastanawiał się.

– Nie podoba mi się to – oznajmił w końcu. – Za dużo tu niewiadomych. Owszem, „Robin Hood” byłby ogromnie przydatny, może nawet odegrałby kluczową rolę, ale nawet zakładając dobrą wolę kapitana, wciąż pozostaje liczna załoga, która musi zrobić, co jej rozkaże.

– Major ma rację – powiedział Harper. – Dyscyplina na okręcie Królewskiej Marynarki Wojennej zawsze była wzorowa. Od momentu przejęcia przez CELL wszystko się zmieniło. Mam na pokładzie ludzi, którzy sprzeciwią się udzieleniu wam wsparcia i takich, którzy będą chcieli się od tego wszystkiego odciąć.

– Pójdę z nim – odezwał się swobodnym tonem komandos w zbroi, choć wciąż wydawał się skupiony na czymś innym. – Będzie ubaw.

Harper obejrzał się na dziwacznie wyglądającego, ale z pewnością niebezpiecznego żołnierza.

– Dane, będziesz nam potrzebny przy ostatecznym uderzeniu – przypomniał major Winterman.

– Spoko, szefie. Macie pożyczyć jakąś łódkę? – spytał zaskoczonego Harpera.

– Yyy... tak, mamy ponton.

– Popatrzę sobie na rakiety, będzie jak w Dzień Niepodległości. Piękny widok... A potem spotkam się z moim kumplem Chino – ruchem głowy wskazał Latynosa, który przytaknął z uśmiechem.

– Decyzja należy do pana, majorze – powiedział Rasch. Winterman zastanawiał się jeszcze przez chwilę, potem jednak kiwnął głową w stronę Chino. Ten wyjął z kieszeni munduru laminowaną mapę i podał ją Harperowi. Był to plan Nowego Jorku z wypisanymi z tyłu współrzędnymi i koordynatami.

– Naszym największym problemem, kapitanie, jest ciąg automatycznych i załogowych stanowisk obronnych. Kryją prawie wszystkie podejścia i mogą nas zablokować na poziomie ulic.

– A przejścia pod ziemią? – spytał kapitan, studiując koordynaty.

– Duża część miasta jest wciąż zalana, metro mogło ucierpieć po działaniach Cepidów, a do tego nie wiemy, jakie zmiany wprowadziła CELL poniżej poziomu gruntu. Jeśli „Robin Hood” wyeliminuje stanowiska obronne, uratujecie życie wielu moim ludziom.

– Duchy poległych wojowników ujrzą was i będą wiedziały, że jesteście prawi – powiedział Dane. Fry wytrzeszczył oczy na człowieka w pancerzu, a potem zaczął się śmiać.

– Nie przejmujcie się moim kumplem, Lazy Dane’em – powiedział Chino. – On po prostu trochę za długo siedzi w tej zbroi. Pomieszało mu się w głowie.

– Abstrahując od mojej prawości, na ile pewne są te informacje? – spytał Harper.

– Szybko, cicho, zabójczo, *ese*. Rekonesans to nasza specjalność – powiedział z dumą Chino.

– Cóż, niby zrozumiałem kilka słów...

– Informacje są pewne, kapitanie – zapewnił major Winterman.

– Kiedy?

– Piąta czasu wschodniego.

O tej samej godzinie CELL rozkazała Harperowi ostrzelać Yonkers. Kapitan miał cztery godziny, żeby wrócić na „Robin Hooda” i wszystko przygotować.

– Ułynęło wiele czasu, odkąd brytyjski okręt ostatni raz ostrzeliwał amerykańskie miasto – powiedział.

– Rok 1814. Wojna Madisona – podpowiedział major Winterman.

– W porządku, tym razem jesteśmy po waszej stronie – zapewnił Chino.

* * *

Kapitan Harper był przekonany, że poobijany lekki transporter Bulldog jest starszy od szeregowego Fry’a, a może i od kapral Fenn. Z napędem na cztery koła i Lazy Dane’em – który najwyraźniej widział w ciemności – za kierownicą, droga powrotna zajęła im o wiele mniej czasu, choć z pewnością kosztowała więcej nerwów.

Wielki, opancerzony wojownik odezwał się tylko raz, pytając, czy „widzą ich wszystkich”. Oboje marines zaczęli natychmiast celować w ciemność dookoła, dopóki nie uświadomili sobie, że Lazy Dane widzi rzeczy, których oni nie są w stanie zobaczyć. Żadne z nich nie miało pojęcia, co niesamowity komandos miał na myśli, ale nawet Fry nie miał ochoty go o to wypytywać.

Sternik znalazł dobrą kryjówkę i nie wypływał zza niej, dopóki się nie upewnił, że wraca jego kapitan i dwójka marines. Zerkał nerwowo na olbrzymiego żołnierza w zbroi, ale nie odezwał się.

Kiedy płynęli po czarnych wodach East River, Harper wprowadził do GPS-a zapamiętane uprzednio współrzędne. Na wschodzie jaśniał teraz ledwie widoczny poblask. Fry znów obsadził karabin maszynowy. Fenn rozglądała się dookoła ze SCAR-em w pogotowiu. Dane siedział po turecku pośrodku pontonu. Harper podniósł wzrok. Nagle rozległ się dźwięk prucia. Mózg kapitana zdążył zarejestrować zbliżające się do niego światło. Coś mocno go uderzyło i znalazł się za burtą. Panika.

Widział skotłowaną wodę obok siebie, przebijające ją smugi fosforyzującego światła. Ktoś go chwycił i wydobył na powierzchnię. Harper z ulgą wciągnął powietrze do płuc. Znow rozległ się przeciągły trzask. Ponton zniknął. Przestał istnieć, razem z szeregowym Fry'em, kapral Fenn i sternikiem, który prawie na pewno nazywał się Harman. Woda pieniała się znowu, wzbudzana deszczem smugowców z obrotowego działka Phalanx 20 mm.

Harper zobaczył w końcu ogień wylotowy. Wyglądał jak stroboskopowe migotanie, rozświetlające ciemność. Zniekształcał się dziwnie w polu maskującym „Robin Hooda”, zakłócając jego działanie. Okręt się przesunął. Niezbyt daleko, jednak wystarczająco, by płynęli w niewłaściwe miejsce.

– Nabierz powietrza, stary. – W wodzie obok kapitana pojawił się Dane. To właśnie opancerzony żołnierz musiał wypchnąć go z pontonu. – Będę musiał cię pociągnąć.

Harper zdążył tylko zaczerpnąć haust powietrza, zanim został wciągnięty pod zimną wodę. Powstrzymał atak paniki i bezsilności, ciągnięty z zadziwiającą szybkością. Po chwili jednak panika wróciła, kiedy dotarło do niego, że Lazy Dane płynie w stronę „Robin Hooda”, a nie do brzegu. Nasiliła się, gdy poczuł ból w piersi: rozpaczliwie potrzebował zaczerpnąć powietrza. *Ten jego skafander potrafi oddychać pod wodą?*, pomyślał z przerażeniem. Był przekonany, że Dane zapomni o tym, że kapitan musi oddychać.

– Oddychaj, hiperwentyluj się, nasyć organizm tlenem, a potem ostatni głęboki oddech – poleciał komandos. Harper dopiero po chwili zrozumiał, że jest na powierzchni; wykonał instrukcje. Potem znow znaleźli się pod wodą.

Hiperwentylacja nie powinna być problemem, tak brzmiała najbardziej składna myśl, na jaką było go stać, ale nawet ona była zabarwiona histerią.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Wydawało mu się, że jest zanurzony całe wieki, zimno próbowało wydusić z niego cenne powietrze, na powierzchnię zaś wynurzał się tylko na krótkie chwile. Pod wodą wszystko było czernią, nie licząc nieregularnego migotania nad nimi. Wyczerpany i przerażony Harper w końcu zdołał się domyślić, że to strzelający znow phalanx.

Jakimś cudem znaleźli się pod „Robin Hoodem”. Był na powierzchni. Łapczywie wciągał powietrze do płuc, które jakby nie chciały się napełnić. Jego serce zachowywało się bardziej niż dziwnie. W luku pontonowym zobaczył marynarzy. Krzyczeli do niego i celowali z broni. Harper usiłował zrozumieć, o co chodzi. Jednemu z mężczyzn z piersi wychodził czerwony promień światła. Promień znikł, na jego miejscu pojawiły się dwie czerwone dziury i marynarz stoczył się do wody. Drugi obrócił się, podniósł broń i wymierzył w Harpera.

W swojego dowódcę!, podrzuciła oburzona i nieracjonalna część umysłu kapitana. Marynarz stracił czubek głowy i również spadł z rampy.

Harper odwrócił się i zobaczył Dane'a, który wciąż unosząc się w wodzie, trzymał w ręku swój wielki pistolet z tłumikiem przykręconym do lufy.

On zabija moich ludzi, pomyślał kapitan. Dane wyskoczył z wody i uchwycił się szczebli drabinki prowadzącej do luku pontonowego. Na górze coś zamigotało i Harper zobaczył kule uderzające o kadłub jego statku. Zbroja Dane'a zmieniła się. Zaczęła przypominać zachodzące na siebie płyty. Rozświetliły ją iskry, wielokrotne trafienia ciskały komandosem na boki, ale nie przerwał wspinaczki. Właz luku już się zamykał.

Nie dasz rady wdrzeć się na okręt w pojedynkę, pomyślał Harper. *Na pokładzie są Royal Marines!*

Dane, wciąż pod ostrzałem, zeskoczył z drabinki i złapał krawędź zamykającego się włazu. Wciągnął się do środka tuż przed tym, jak wrota całkowicie się zatrzasnęły.

Kapitan uświadomił sobie, że potężnie dygocze i wciąż ma trudności ze złapaniem tchu. Wiedział, że musi wyjść z wody, albo umrze. Popłynął w stronę drabinki pod włazem. Dopiero wtedy dotarło do niego, jak silny jest nurt East River. Zawsze chlubił się swoją kondycją. Nigdy nie czuł swoich lat tak dotkliwie, jak podczas tego długiego, tak bardzo długiego wysiłku.

Jego ręka chwyciła najniższy szczebel drabinki. Nie miał siły wydostać się z wody.

I co, to już koniec?, zapytał sam siebie. *Dotarłeś tak daleko i teraz się poddajesz?* Przypomniał sobie, jak żalonym wrakiem stał się po Kryzysie Londyńskim. Wymówki i kłamstwa, jakimi zwodził Rachel. *Znów jesteś tym kimś? Mamy znowu zacząć uważać się nad sobą i wszystkich zawieść?*

Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby wyjść z wody. Potem znów, podciągając się na następny szczebel. I jeszcze raz; szło mu coraz lepiej. Właz nad nim zaczął się otwierać. W ciepłym blasku luku stanęła jakaś postać. Harper po prostu wspinał się dalej.

– Trzymam pana, kapitanie – powiedział Dane, uniósł go i położył na podłodze przedziału. Kapitan zobaczył martwych marynarzy, przynajmniej sześcioro, mężczyzn i kobiety. Odpełził na czworakach od postaci w zbroi. Gorączkowo próbował wyciągnąć coś z kieszeni przemoczonej kurtki. W końcu wydobył mokry pistolet Browning Hi-Power i trzęsąc się jak liść, wycelował go w zdezorientowanego Dane'a.

– Przestań zabijać moich ludzi, ty bydlaku! – wrzasnął z wysiłkiem.

– Kapitanie, oni próbują zabić nas – powiedział Dane tonem perswazji.

– Nie obchodzi mnie to! Koniec zabijania! Rozumiesz?

Komandos wzruszył ramionami.

– Jasne, po co tak krzyczeć...

Harper dźwignął się na nogi. Dopiero wtedy dotarło do niego, jak bardzo jest zdumiony, że przeżył.

– Musi pan zdjąć te ciuchy, kapitanie – powiedział Dane. – Poza tym ten browning chyba teraz nie wystrzeli.

Kapitan przez chwilę gapił się na swoją służbową broń, potem się pozbierał.

– Możesz się dalej maskować? – Dane przytaknął. – Więc się ukryj i pilnuj wejść.

Po dłuższej chwili Harper znalazł w jednej z szafek ręcznik i czyste ubranie. Rozebrał się, wytarł do sucha i ubrał najszybciej, jak mógł. Był teraz przebrany za marynarza, a jedynymi butami, które jako tako na niego pasowały, okazała się para adidasów w krzykliwych kolorach.

Do luku weszli ludzie. Harper usłyszał wykrzykiwane rozkazy i krótką serię wystrzałów, na dźwięk której podskoczył i rzucił się szukać kryjówki. Zaraz potem doszły go odgłosy walki i nieprzyjemne trzaski.

Wyszedł z za szafek i zobaczył Dane'a stojącego nad trójką poobijanych i nieprzytomnych marynarzy, leżących na pokładzie.

– Trzeba było któregoś przesłuchać – zasugerował.

– Bardzo trudno pana zadowolić.

Kapitan zabrał jednemu z ogłuszonych pistolet M12 Nova i kilka zapasowych magazynków. Wskazał drzwi naprzeciw tych, którymi weszli napastnicy.

– Tamtędy.

Dane poszedł przodem. Harper patrzył, jak pole soczewkujące zagina światło wokół opancerzonej postaci, jakby ją połykało. Kiedy dokładnie się przyjrzał, widział drobne zniekształcenia, prawdopodobnie będące efektem ruchu, poza tym jednak Dane był przezroczystry, zupełnie jakby nie istniał.

Zza rogu wyszedł marynarz. Zobaczył kapitana i zaczął podnosić swojego SCAR-a. Jakaś siła poderwała lufę karabinu w górę i cisnęła mężczyzną o gródź. Broń zniknęła, objęta polem soczewkującym. Drugi marynarz otworzył drzwi kajuty i wyjrzał z pistoletem w rękę. Coś wyciągnęło go ze środka, uderzyło nim o przeciwległą ścianę i cisnęło na ziemię.

No cóż, przynajmniej żyją, pomyślał Harper.

Skreśli za róg. Tam czekali na nich kolejni dwaj marynarze. Kiedy kapitan zobaczył błysk ognia wylotowego z luf SCAR-ów, wiedział, że już po nim. Odruchowo zasłonił się ręką. Jazgot automatycznej broni w ciasnym korytarzu był ogłuszający. Harper usłyszał stęknienie bólu i poczuł, że coś na niego wpada. Dane zrobił się z powrotem

widzialny. Jego zbroja się zmieniała; kapitana dobiegł zgrzyt nasuwających się na siebie płyt. Komandos ruszył do przodu. Front jego pancerza spowiły snopy iskier – marynarze w panice strzelali do dziwnej postaci. Dotarł do nich i na oczach kapitana zrobił obu coś niewypowiedziane okrutnego. Harper przez chwilę stał jak zahipnotyzowany, potem przypomniał sobie, co ma robić. Kiedy w uszach przestało mu dzwonić, uświadomił sobie, że słyszy strzały.

Spróbował otworzyć drzwi do kajuty porucznik Talpur, po czym stwierdził, że są zamknięte.

– Dane, jeśli łaska... – powiedział. Pancerny wojownik wrócił i wyrwał zamek z drzwi.

– Sir? – spytała lekko zaskoczona porucznik Talpur na jego widok.

– Raport – rozkazał Harper.

– Komandor Stevens i grupa młodszych oficerów przejęli dowodzenie nad okrętem – powiedziała mu oficer marines.

– Komandor podporucznik Swanson?

– Stracona za bunt wraz z sierżantem Martinem. Większość załogi za bardzo się boi, żeby cokolwiek przedsięwziąć. Ci, którzy nie chcieli z nim współpracować, siedzą zamknięci pod strażą.

– Jak udało mu się was zaskoczyć, pani porucznik? – spytał Harper, starając się nie zwracać uwagi na łomotanie i krzyki marines z pomieszczenia przyległego do kajuty Talpur.

– Nie wiedziałam, że Stevens ma klucz do zbrojowni. Uzbroidł swoich popleczników. Ci spośród moich ludzi, którzy byli na służbie, stanęli przeciwko dużej liczbie uzbrojonych marynarzy. Ci nie na służbie zostali zaskoczeni. Nikt nie chciał strzelaniny na okręcie.

Nie była to najbardziej chwalebna chwila Royal Marines, pomyślał Harper. Z drugiej strony marynarzy było na pokładzie znacznie więcej.

– Pani porucznik, muszę wiedzieć, po czyjej stronie pani stoi i to natychmiast.

– Sir, nie dosłyszał pan? Kazał stracić sierżanta Martina.

Harper kiwnął głową. Dane wsadził w ręce Talpur jej SCAR-a. W tej samej chwili marines przebili się przez drzwi swojego przedziału. Dwadzieścioro ocalałych mężczyzn i kobiet zaczęło wylewać się na zewnątrz. Pierwsza dwójka chwyciła karabiny wartowników i ich magazynki.

– Ludzie Stevensa mają całą broń – powiedziała Talpur. Dane poinformował żołnierzy, gdzie mogą znaleźć kolejne SCAR-y, pozostawione przez niego na pokładzie statku. Kilkoro pobiegło je zebrać.

– A ten Stevens? – spytał komandos.

– Jego możesz sprzątnąć – odparł ponuro Harper, myśląc o obiecującej, młodej komandor podporucznik i sierżancie marines, którzy już nie żyli. – Żadnych niepotrzebnych strzelanin, pani porucznik.

– Proszę zdefiniować potrzebną, sir – poprosiła jedna z uzbrojonych marines, młoda kobieta. Harperowi zdało się, że słyszy śmiech Dane’a.

– Jeśli się da, chcę z nimi rozmawiać – powiedział kapitan. Marines obejrżeli się na Talpur.

– Sir, z całym szacunkiem, nie zamierzam narażać moich ludzi bez potrzeby. Jeśli znajdą się pod ostrzałem, to odpowiemy ogniem.

– Powiedziałem: jeśli się da.

– Aha... To im wolno zabijać marynarzy? – zapytał Dane.

– Tak, bo nie są cholernymi Amerykanami. A teraz idź przodem i postaraj się wziąć na siebie trochę ognia.

Stevens, oczywiście, zabezpieczył mostek. Lojalni mu marynarze zabarykadowali podejścia i schowali się w otwartych drzwiach. Harper stał plecami do jednej z grodzi. On, Lazy Dane i marines kryli się za zakrętem jednego z trzech korytarzy prowadzących do mostka.

– Musimy szturmować korytarz, sir – powiedziała Talpur.

– Mogę go oczyścić – zaoferował się Dane.

– Zaczekajcie – przerwał im Harper. – Wy tam, słuchajcie. Mówi wasz kapitan. Nie wiem, co wam powiedział komandor porucznik Stevens, ale to buntownik, który zamordował dwoje członków załogi. Każdy, kto mu pomaga, także jest buntownikiem. Okażę wyrozumiałość, jeśli złożycie broń i natychmiast się poddacie. Jeśli nie, rozprawi się z wami pluton wkurwionych Royal Marines, którzy chcą pomścić śmierć jednego ze swoich. Paru z nas może położyćcie, chociaż uważam, że to mało prawdopodobne. Za to wy wszyscy na pewno zginiecie.

Zaczekał. Usłyszał rozmowy.

– Wychodzimy. Nie strzelajcie.

Harper z ulgą pokiwał głową. Marynarze zostali brutalnie powaleni, pozbawieni broni, związani i zostawieni twarzami do podłogi.

– Potrzebny nam plan szturm na mostek – powiedziała porucznik Talpur. – Cholera!

Harper ruszył korytarzem.

– Nie strzelać. Wchodzę! – zawołał kapitan i wszedł na mostek.

– To mi się podoba – oznajmił Dane przerażonej dowódcy marines.

* * *

Harper wszedł na mostek. Wszystkie oczy skierowane były na niego. W środku znajdowało się kilkunastu marynarzy ze SCAR-ami w rękach. Wyglądający jak własne zwłoki Stevens stał przed kapitańskim fotelem, mierząc do kapitana z pistoletu.

– Rzuć broń, Harper – rozkazał.

Kapitan popatrzył na swój pistolet. Całkiem zapomniał, że go ma.

– Kapitanie Harper, jeśli już, komandorze Stevens. – Zerknął na zegarek. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Natychmiast rzućcie broń – powiedział uzbrojonym marynarzom.

– Wykonują rozkazy nowego kapitana. A pan jest winny buntu!

– Winny? Ot tak, bez sądu polowego? A pan zastąpił mnie jako kapitan z czyjego upoważnienia?

– Z rozkazu naszych nowych...

– Właściciele! Synu, jedyna osoba, o której można powiedzieć, że jest właścicielem marynarki, to Jego Wysokość Król. To on kazał ci się zbuntować?

– Czy ci się to podoba, starcze, czy nie, sytuacja się zmieniła. Rząd, nasi pracodawcy, sprzedali nas...

– A więc to rząd zawiódł! Jesteśmy Królewską Marynarką Wojenną, służymy i bronimy obywateli Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii. Naszą jedyną powinnością jest dbać o interes tych ludzi. Nie przysłużymy się im jako morskie zbrojne ramię pazernej wielonarodowej korporacji, odpowiedzialnej za liczne zbrodnie wojenne i odnowienie instytucji przymusowej pracy w cywilizowanym świecie.

– I co dalej? Wymyślimy sobie własne rozkazy, zostaniemy piratami kierowanymi przez poczucie sprawiedliwości kapitana Harpera? To samo poczucie sprawiedliwości, które kazało panu, jako dowódcy artylerii na pokładzie „Anguish”, otworzyć ogień w kierunku własnej stolicy? – spytał Stevens.

Harper na chwilę zamknął oczy. Przypomniał sobie elektrownię Battersea na tle płomieni, ale zdusił to wspomnienie. Nie mógł sobie pozwolić, żeby teraz to rozpamiętywać.

– Stevens, jesteśmy Brytyjczykami. Władaliśmy morzami. Mamy imponującą historię piractwa. – Na mostku rozległy się stłumione śmiechy. – A u każdego oficera

najważniejsze jest sumienie. Świat przekonał się na własnej skórze, do jakich potworności zdolni są wojskowi, kiedy o tym zapominają. Wie pan, że te rozkazy są złe. Wie pan, że praca dla CELL jest zła. Wie pan, że zabicie komandora porucznik Swanson i sierżanta Martina było złe. I wie pan także, że nie robi tego z poczucia obowiązku. Robi pan to, bo wie, że zostanie nagrodzony.

Harper zauważył, że większość marynarzy opuściła broń. Stevens jednak wciąż do niego mierzył.

– Nie jestem już oficerem, sir – wycedził. – Jestem dyrektorem.

Zaczął naciskać spust. Nagle pistolet zniknął – razem z jego dłonią. Został po nim tylko krwawiący kikut. Stevens ze zgrozą wytrzeszczył oczy na nadgarstek. Dane pojawił się niespodziewanie, trzymając w ręku duży i bardzo ostry nóż o zakrwawionym ostrzu.

– Zabierz to korporacyjne gówno z mojego statku – rozkazał Harper. Dane’owi przyszło na chwilę do głowy, żeby odmówić wykonania rozkazu: ściśle rzecz biorąc, Harper nie był jego bezpośrednim dowódcą – ale w końcu złapał wyjącego Stevensa i wywłókł go z mostka.

Talpur i reszta marines włączyli się do środka i zaczęli rozbrajać marynarzy.

– Pani porucznik, czy może pani uwolnić resztę moich ludzi?

Oficer kiwnęła głową i zabrała ze sobą szóstkę marines, zostawiając resztę do zabezpieczenia mostka i rozbrojenia marynarzy, którzy pilnowali pozostałych wejść.

– Kto z was nie chce wykonywać moich rozkazów, niech natychmiast opuści mostek. – Grupa marynarzy i oficerów opuściła swoje stanowiska, ale nie tak wielu, by statek nie mógł funkcjonować. – Nawigacja, ustalić kurs na Atlantyk, najkrótszą możliwą trasą, która nie prowadzi blisko Manhattanu. Maszynownia, podtrzymać maskowanie. Ster, jak tylko wypłyniemy na otwarte wody, chcę mieć pięćdziesiąt węzłów na liczniku.

Harper wydawał te rozkazy, idąc w kierunku sekcji uzbrojenia i zerkając na zegarek. Zostało im niewiele czasu.

Kiedy kapitan dotarł na miejsce, dowódca sekcji uzbrojenia właśnie wstawał.

– Poruczniku Chalmers?

– Przykro mi, sir – powiedział Chalmers. Nie chciał spojrzeć swojemu kapitanowi w oczy.

– Precz z mojego mostka – rozkazał Harper, zawiedziony. Odwrócił się do zastępcy porucznika. Bosman nie wstał ze swojego miejsca. Kapitan wręczył mu laminowaną mapę.

– Macie dziesięć minut, żeby obliczyć algorytmy ostrzału tych współrzędnych.

Możecie to zrobić, Bridges?

– Tak jest, sir.

* * *

– Nie, nie, proszę, Boże, nie! – błagał Stevens, wleczony przez Dane’a korytarzami statku. Dane zatrzymał się i zwrócił do niego.

– Naprawdę musisz wziąć się w garść. Tak nie można. To wypełnienie twojej *dharmy*, owszem, gównianej, ale musisz ją wziąć na klatę. Tak... – wycelował palec w łkającego mężczyznę – ...tak nie można, to odbiera godność nam obu.

Stevens rozdziawił tylko usta, a potem znów zaczął płakać i błagać. Dane westchnął i powlókł komandora dalej.

* * *

Dane wyciągnął Stevensa na pokład w tej samej chwili, w której otworzyły się klapy systemów pionowego odpalania, ukazując głowice dwudziestu czterech rakiet Perseus.

– Jest coś pięknego w jednoznaczności przeznaczenia takiej broni – powiedział. Mocno trzymając Stevensa, patrzył na uciekające do tyłu nabrzeże Bronxu. Patrzył, aż widok tyłu duchów stał się nie do zniesienia i musiał odwrócić wzrok.

– Proszę, proszę, mogę ci coś powiedzieć?! – błagał Stevens.

Dane odwrócił się do niego.

– No dobra, tylko wymyśl coś dobrego, stary...

– Wiedzieli, że Harper może sprawiać problemy i martwili się, że może zdezerterować ze statkiem o takich możliwościach maskujących jak „Robin Hood”. Wiedzieli, że będę lojalny...

– Lojalny jest Harper. Ciebie można kupić.

– Dali mi transponder – oznajmił Stevens.

Kombinezon wychwytywał dużo dziwnych odczytów z atmosfery, jakby powietrze się jonizowało. *Wiedzą, gdzie jesteśmy*, pomyślał Dane. Spojrzał w górę. Chmury wyglądały jakoś dziwnie. Stały w ogniu. Skoczył. Wszystko zmieniło się w światło i żar.

Dane runął przez obłok pary i uderzył o stopione dno rzeki East. Potem wróciła woda. Uświadomił sobie, że krzyczy. Zbroja na jego plecach, zbudowana z niemal niezniszczalnych stopów, zmiękła, a później zlała się z jego ciałem. Tyle razy upadał, był postrzelony, dżgany, bity, przejeżdżany. Tyle razy miał wrażenie, że umiera – nic nie mogło się równać z tym, co czuł teraz. To był ból w swojej najczystszej postaci.

Ból tak ekstremalny, że już abstrakcyjny. Dane zachował przytomność tylko dzięki zaawansowanym systemom kombinezonu. Żaden człowiek nigdy wcześniej nie doświadczył takiego cierpienia. A potem na szczęście dla siebie umarł.

* * *

Skafander zmusił go do życia kilka minut później. Żar bijący z pancerza gotował otaczającą go wodę. Dane umarł jeszcze raz.

* * *

Kombinezon musiał zablokować sygnały od licznych zakończeń nerwowych, zanim zdołał ożywić żołnierza wbudowanym defibrylatorem. Dane ocknął się na brzegu rzeki, wśród duchów. Pokrzyczał jeszcze trochę, ale udało mu się nad tym zapanować. Leżał w błocie, które parowało od bijącego ze zbroi gorąca. Obejrzał się na rzekę. East River płynęła wartko, starając się zapełnić dziurę w miejscu, w którym właśnie odparowała duża ilość wody. Obłoki pary wciąż biły wysoko w niebo. Kombinezon regenerował się, oddzielał od ciała Dane'a i robił, co mógł, by wrócić do stanu pełnej funkcjonalności.

Spudłowali, pomyślał Dane, kiedy już znów mógł myśleć jak człowiek. „Robin Hood” zniknął, to oczywiste. *Jeszcze więcej duchów*. Ale gdyby to trafienie było bezpośrednie, Dane z pewnością by nie przeżył, w zbroi czy bez.

Wspomagany kombinezonym słuch wychwycił dobiegający z oddali odgłos strzelającej szybko wielkokalibrowej broni. *Nowy Jork*, pomyślał komandos. *Muszę się dostać do Nowego Jorku*.

Koza

Chinatown, Nowy Jork, 2034

FUBAR. Krewa. Burdel. *Jest tyle dobrych określeń na opisanie tego, co się właśnie zdarzyło, pomyślał Chino. Brytyjczycy, wystawili ich ci pieprzeni Brytyjczycy. Zostawili na lodzie. Głupotą było im ufać.*

CELL sprytnie to rozegrała.

Niech wejdą do miasta. Niech się przedostaną pod rusztowaniem kopuły, którą korporacja budowała nad metropolią zrujnowaną przez inwazję Cepidów. Wtedy odezwały się stanowiska obronne. Rozrywały ludzi na ulicach. Pociski przebijały się przez osłonę. Natężenie ognia było tak wielkie, że budynki waliły się na ukrytych w nich partyzantów.

Ogień działek ich złamał, rozbił, odepchnął. Wtedy CELL rzuciła do ataku piechotę, wspieraną śmigłowcami i VTOL-ami z powietrza. Oddziały specjalne uderzyły w samo serce dowodzenia ruchu oporu. Resztę zostawili zwykłym żołnierzom. Kiedyś zwano ich najemnikami, dziś byli to zaledwie przymusowi robotnicy. Partyzanci, w większości doświadczeni żołnierze, wielu z sił specjalnych, kładli ich pokotem, ale tamtych było zbyt wielu, w dodatku mieli wsparcie powietrzne i artyleryjskie.

Ruch oporu został złamany. Chino to wiedział. Nie miał pojęcia, kto żyje, a kto zginął. Czy ktoś dostał się do niewoli? Nie wyglądało na to, żeby CELL brała jeńców. Kiedy jeszcze się ukrywali, ryzykowali zagładanie do Macronetu. Czystki odbywały się na całym świecie. Siły korporacji, ze wsparciem miejscowej policji i wojska, aresztowały albo zabijały tak zwanych „terrorystów” w każdym kraju, w którym działał ruch oporu. Wyglądało na to, że zostali zdradzeni. Za bardzo skupili swoje siły. Za bardzo zaufali ludziom, którym nie powinni byli ufać. Zbyt polegali na nadziei, zamiast na rzeczywistych możliwościach. CELL nigdy nie dopuści ich do tego, co robi w Nowym Jorku. Ma za dużo do stracenia.

Do tego jego kumpel Dane nie wrócił z „Robin Hooda”. Chino zastanawiał się, czy Brytole jego też wydymali. Zdradzili. Wydali korporacji. W nadchodzące zimne noce Chino zamierzał rozgrzewać się myślami o tym, co zrobiłby temu jebanemu kapitanowi Harperowi z jebanej Królewskiej Marynarki Wojennej. *Zresztą co to za banda ciot, która nazywa się „królewską”, pomyślał gorzko. Jakaś mania wielkości*

czy co?

Cały dzień spędzili w ukryciu, chowając się w na wpół zniszczonych budynkach. Chino trochę się bał. Ostatnim razem, kiedy był na Manhattanie, roiło się tu od niebezpiecznych, obcych maszyn do zabijania. CELL najwyraźniej oczyściła miasto z Cepidów. Tym właśnie korporacja tłumaczyła rozmieszczenie stanowisk broni ciężkiej, chociaż przecież nie potrzebowała pretekstu. Nowy Jork należał teraz tylko do niej.

Ocalała ósemka płynęła w dwóch pontonach desantowych wzdłuż Bowery na południe. CELL z pewnością zakładała, że będą uciekać na północ, dlatego wybrali odwrotny kierunek. Przy nadarżającej się sposobności albo zawrócą, albo znajdą inną drogę ewakuacji.

Chino leżał na dziobie, ze strzelbą Marshall wysuniętą spod plandeki zarzuconej na ponton. Plandeka była przeszyta folią, która teoretycznie miała zakłócać termowizję. Nie był jednak skłonny ręczyć za to głową.

Za nim, również wystawiając broń spod plandeki, leżeli Earl i Hank.

Earl zajął lewą burtę, krył Bowery i Lower East Side. Były snajper Deltę musiał mieć co najmniej czterdzieści parę lat, ale utrzymywał się w dobrej formie. Cichy Missourijczyk był chudy, opalony i wciąż używał starożytnego już wręcz karabinu M14. Kumpel Chino, opancerzony dziwak Dane, znał się z nim od bardzo dawna. Obaj służyli w grupie snajpersko-rozpoznawczej szwadronu D w Delta Force.

Hank, też południowiec, pochodził z 1. Marines. Podczas ewakuacji Nowego Jorku zetknął się krótko z Alcatrazem. Potem poszedł pracować w CELL. Rozważny, zębaty Georgijczyk na własnej skórze przekonał się, do czego zdolna jest korporacja i zdezerterował, odkrywając, że warunki jego kontraktu uległy zmianie, efektywnie czyniąc go dożywotnim przymusowym pracownikiem firmy. Jego karabin maszynowy Mk.60 wystawał z prawej burty, mierząc w kierunku ruin dawnego Chinatown.

Davis – wyszczekany Afroamerykanin z południowego Bostonu – twierdził, że ma domieszkę krwi irlandzkiej. Służył w załodze desantowej SEALsów i był najlepszym sternikiem, jakiego Chino kiedykolwiek spotkał. Leżał na rufie pontonu i prowadził go, patrząc przez peryskop wystawiony nad plandekę oraz korzystając ze wskazówek zabezpieczającego dziób Chino.

Davis zaproponował, żeby dostali się do centrum, do sklepu ze sprzętem nurkowym, który znał, poszukali działającego ekwipunku i popłynęli na Brooklyn pod wodą. Nie był to plan dla ludzi słabego serca, poza tym Earl nie miał przeszkolenia płetwonurka. Podobnie jak dwójka ludzi Sary na drugim pontonie, płynącym za nimi.

Chinatown robi się dziwne, pomyślał Chino. Bywał w Nowym Jorku, kiedy

wilgotność powietrza zbliżała się do stu procent, ale ta mgła była dla niego czymś nowym. Niższe partie Manhattanu wciąż znajdowały pod wodą do wysokości jakichś trzech metrów. Partery większości budynków były zalane. Powróciła roślinność, rozrastając się bujnie w wilgotnym środowisku. *Miasto przybrało swoją pierwotną postać bagnistej wyspy*, pomyślał Chino. Drzewa, mchy i pnące rośliny wspinały się po ścianach, zasłaniając wygasłe neony z napisami *hanzi*. Chino przypomniały się bagna Florydy i Luizjany. Podświadomie oczekiwał, że z okna pierwszego piętra jakiejś pralni wypłynie aligator.

Blask księżyca, przeświecający przez gęstą mgłę, dbał o upiorną, nierzeczywistą atmosferę. *Upiorna, właśnie*, pomyślał Chino. *Na tych ulicach zginęło mnóstwo ludzi*. Natychmiast wrócił myślami do swojego przyjaciela Lazy Dane'a i duchów, które tamten ponoć widział. Miał nadzieję, że Dane jest cały i zdrowy.

Nagle rozległ się dźwięk, jakby kończył się świat. Chino zalała woda, wzburzona sunącą linią przed nim. Obejrzał się na ponton Sary. Łódź wyglądała tak, jakby złożyła się wpół. Smugowce kalibru 30 mm, wystrzeliwane z działek, przypominały spadające z nieba gwiazdy.

Chino usłyszał, że zaburtowy silnik wchodzi na wyższe obroty. Davis skierował ponton w głąb Bowery, za linię ognia, i skręcił prosto w wąski zaułek. Chino był przekonany, że się nie zmieszczą. Ponton wszedł na wcisk, Earl i Hank musieli stoczyć się z burt do środka, ale Davisowi manewr się udał. Sternik otworzył przepustnicę, przyspieszając najbardziej jak mógł.

Za nimi pociski zaczęły przebijać ściany – automatyczne działka próbowały namierzyć lichą łódź. Chino nie znosił takich sytuacji. To nie było pole walki dla kogoś, kto zasadniczo był piechurzem. Mógł tylko patrzeć, wykrzykiwać ostrzeżenia i mieć nadzieję, że trzydziestomilimetrowy pocisk nie przetnie go na pół.

Budynki po jednej stronie zaułka zaczęły walić się do wody pod nawałą kul. Chino omal nie wpadł do rzeki, kiedy ponton w coś uderzył – prawdopodobnie w zatopioną tuż pod powierzchnią ciężarówkę. Łódź podskoczyła, ale się nie zatrzymała. Davis usiadł wyprostowany, odepchnąwszy plandekę. Earl i Hank, podobnie zresztą jak Chino, trzymali się łodzi ze wszystkich sił.

Kiedy przeskoczyli przez Elizabeth Street, Chino znów dostrzegł nadlatujące smugowce – wymierzoną w nich przerywaną linię świateł.

Odpierdolcie się!, wrzasnął w myślach.

Znaleźli się w kolejnym zaułku. Z góry sypał się gruz – ostrzał dosłownie burzył domy. Ponton znowu podskoczył na zatopionej przeszkodzie i omal nie uderzył w mur. Davis z trudem nad nim zapanował. Skręcił ostro w prawo w Mott Street

i popędził wzdłuż ulicy, mijając zatopione witryny sklepów i stare szyldy. Rośliny chłostały ich po twarzach, pęd powietrza skręcał mgłę w wiry. Chino obejrzał się na Davisa. Gość nie mógł przecież sięgać wzrokiem dalej niż on, ale jak dotąd nie pokierował ich źle.

Na środku Mott Street sternik nagle odbił w lewo, prosto na budynek.

– Padnij! – wrzasnął. Chino przyłgnał płasko do dna, pewny, że zaraz uderzą w ceglany mur. Ponton wślizgnął się do budynku przez szczyt sklepionego, wysokiego na dwie kondygnacje okna. We framudze nie zostało wiele szkła, ale i tak posypały się na nich odłamki. Davis wrzucił wsteczny, silnik zawył w proteście, ale mimo to uderzyli w przeciwległą ścianę. Unosili się na wodzie tuż pod gołymi belkami stropu.

Davis odpiął silnik, a potem dźwignął go i wrzucił do wody.

– Kurwa, co ty wyprawiasz?! – zaprotestował Hank.

– Chodzi o ciepło – odparł Davis. – Spokojnie, jest wodoszczelny. Jak nie zginiemy w ciągu najbliższych trzydziestu sekund, zanurkuję po niego.

Dopiero wtedy Chino uświadomił sobie, że ostrzał ucichł.

– Jeśli nas zgubili, wyślą patrole – powiedział, żeby powiedzieć cokolwiek. Serce tłukło mu się jak oszalałe. Chciał osłabić napięcie.

– Z patrolami damy sobie radę – odparł Davis. Obaj byli gadułami w porównaniu z dwoma południowcami z ich czteroosobowej drużyny.

Sternik siedział na burcie, patrząc na obłazącą farbę i pnącza wewnątrz budynku, w którym się znajdowali.

– Kiedyś tu była świetna restauracja, robili tu znakomite...

Davis zniknął w wodzie, która nagle spieniła się i zaczerwieniła. Razem z nim zniknął fragment dziobu pontonu. Nawet Earl był zaskoczony. *Coś jest w wodzie*, zdołał jedynie pomyśleć Chino, zanim się zorientował, że ponton zwija się jak zużyty kondom i szybko tonie.

Próbował odskoczyć, ale zapadło się pod nim dno. Samymi czubkami palców złapał drewno odsłoniętych belek, szukając zaczepienia. Poczul, że coś ociera się o jego but i mimowolnie krzyknął. Podciągnął nogi, omal nie kopiąc Earla w twarz, i zdołał owinąć je wokół belki. Jego strzelba wisiała na pasku. Coś ją złapało i próbowało wciągnąć go z powrotem do wody. Chino sięgnął w dół i pociągnął za spust. Wystrzał zabrzmiał ogłuszająco, nawet po kanonadzie, którą przed chwilą przeżyli, ale ciężar na broni zniknął. Strzelba podskoczyła i odbiła się od kamizelki kuloodpornej. Chino wciągnął się na belkę, przeładował i wycelował w dół, w wodę.

Earl w jednej ręce trzymał starego H&K .45, drugą pomagał Hankowi wspiąć się na belkę.

– Co to, kurwa, było? – zaklął Chino. Ponton zniknął, a z Davisa została tylko ciemna, rozlewająca się po wodzie plama krwi; po chwili na powierzchnię zaczęły wypływać jego kończyny i inne części ciała.

Coś wystrzeliło z wody i chwyciło za belkę, na której siedzieli. Chino strzelił, przeładował strzelbę i poprawił. Niejasno zdawał sobie sprawę, że słyszy czterdziestkę piątkę strzelającą szybciej niż kiedykolwiek wcześniej. Belka pękła. Woda ruszyła im na spotkanie.

Chino z wrzaskiem wyrwał się nad powierzchnię, rozdygotany, ze swoim nożem-maczetą w ręku. Nie zdążył się przyjrzeć temu, co ich zaatakowało, ale co do jednego miał pewność: to nie był człowiek.

Earl też się wynurzył, również z nożem. *Hank, cholera*, pomyślał Chino. Były marine był obciążony karabinem maszynowym i jakąś pół toną amunicji.

– Załatwiliśmy to coś? – spytał Chino.

– Nie wiem – odparł Earl. Chino nie wiedział, czy snajper jest po prostu opanowany, czy raczej cierpi na niedobór adrenaliny.

– Płynę po Hanka – powiedział. Earl pokiwał głową. Dla Chino to był odruch: ratuj swoich. Dopiero kiedy zanurkował pod powierzchnię, uświadomił sobie, że będzie tam z tym kurewstwem, które ich zaatakowało, cokolwiek to było.

Pod wodą panowała smolista ciemność. Chino włączył latarkę. Zobaczył, że były marine wpadł w panikę, że próbuje jednocześnie odpiąć broń i ściągnąć z siebie pasy amunicji. Leżał między dwoma stolikami na podłodze zatopionej chińskiej restauracji. Chino szybko do niego podpłynął. Złapał Hanka, trochę za mocno – ten jeszcze bardziej się przeraził. Chino pokazał mu się, gestem polecił się uspokoić, a potem kciukiem wskazał ku górze.

Spojrzał w tamtym kierunku. Nie zobaczył Earla. Pomógł Hankowi wyswobodzić się z ciężkich pasów amunicji, sprawdził, czy tamten trzyma karabin maszynowy, a potem pchnął go w górę i sam popłynął za nim. Po drodze wyczuł za sobą ruch, gdzieś w wodzie na Mott Street. Obejrzał się, ale zobaczył tylko światło latarek przeświecające przez głębię.

– Tutaj! – zawołał Earl, kiedy wynurzyli się na powierzchnię. Siedział na schodach prowadzących na piętro. Chino niemal siłą zawłókł Hanka w tamtą stronę. Poczuł, że coś ociera się o niego w wodzie, spanikował i zdwoił wysiłki, płynąc jak oszalały do stopni. Earl chwycił i wyciągnął Hanka. Chino wpełzł na drewniane schody.

Coś przebiło się przez nie od spodu. Poczuł, że jakieś ostrza wbijają mu się w nogę i rozrywają ciało, próbując wciągnąć go z powrotem do wody. Earl rzucił się szczupakiem w dół, zdążył go złapać. Drugą ręką szybko wycelował pistolet H&K

Mk.23 i natychmiast zaczął strzelać. Zamek zatrzymał się w pozycji odsuniętej – pusty magazynek. Chino uświadomił sobie, że nic go już nie szarpie. Prawie przeczołgał się po Earlu i wspiął na schody. Wpadł w pierwsze drzwi na górze i runął na podłogę, z trudem łapiąc oddech. Na progu stanął Earl.

– Granat – oznajmił, a potem odwrócił się i rzucił granat odłamkowy w głąb zalanej restauracji. Rozległa się stłumiona eksplozja i przez próg przelała się fala wody.

Hank podniósł się z wściekłą miną, stanął w drzwiach i zaczął pruć z karabinu maszynowego na oślep w wodę. Earl położył mu rękę na ramieniu. Były marine przestał strzelać.

– Spokojnie, bracie, kule w wodzie nic nie wskórają.

Hank kiwnął głową. Chino uświadomił sobie, że Georgijczyk wcale nie jest wściekły. On był przerażony. Trząśnięty jak liść na wietrze. Earl wysunął magazynek ze swojego Mk.23 i zastąpił go nowym. Zarepetował broń, a potem odbezpieczoną schował do kabury. Zaczął osuszać swojego M14.

– Musicie jak najlepiej wysuszyć broń – powiedział pozostałym.

– Widziałeś, co to było? – spytał Chino, rozglądając się. Znajdowali się w magazynie win. Chino stłumił histeryczną niemal potrzebę napicia się dla ukojenia nerwów. Earl wzruszył ramionami.

– Pewnie obcy, nie wiem... Nigdy żadnego nie widziałem. Widziałem zombie, ale obcego nie.

Hank i Chino wlepili w niego wzrok. To było jedno z najdłuższych zdań niezwiązanych ze sprawami operacyjnymi, jakie Earl kiedykolwiek wypowiedział.

– Pójdę się rozejrzeć. Zrób coś z tą nogą – powiedział do Chino. – Jeden z was musi pilnować drzwi.

– Zajmę się tym – powiedział Hank, wciąż stojąc na progu z bronią w gotowości.

– Cofnij się trochę, ese, nie pokazuj się tak w drzwiach – poradził mu Chino. Wiedział, że Hank o tym wie, tak samo, jak wiedział, że marine jest w głębokim szoku, mimo że przeżył Nowy Jork i widział różne rzeczy w Rosji, kiedy pracował tam dla CELL.

Earl podniósł swojego M14, ściągnął prezerwatywę z lufy i zniknął we mgle.

* * *

Chino wyciągnął apteczkę z jednej z kieszeni szelek. Oczyścił, a potem opatrzył rany. Noga bolała go jak cholera, jedno cięcie przeszło na wylot, ale miał szczęście, o ile można mówić o szczęściu, kiedy coś ostrego podziurawiło ci nogę. To coś, co ich

zaatakowało, przebiło mu tylko mięsień. Nie spowodowało poważniejszych obrażeń i Chino wciąż mógł chodzić.

Zerkając na Hanka w drzwiach, osuszył strzelbę i rewolwer Majestic, który nie był wodoodporny. Naoliwił obie bronie najlepiej jak mógł, ale nie miał czasu ich rozebrać i wyczyścić.

– Rozpoznałeś go? – spytał w końcu Hank.

– Za krótko go widziałem. A ty?

Hank pokręcił głową.

– Ale był szybki. Na pewno Cepid, nie?

Chino zaśmiał się nieszczercze.

– Stary, nawet nie chcę myśleć, że w Nowym Jorku żyje jakiś nowy popierdolony gatunek obcych.

– Widać CELL nie wytlukła ich wszystkich.

– CELL miałyby kłamać? Niemożliwe.

Hank zaśmiał się krótko. W jego śmiechu nie było zbyt wiele wesołości. Chino załadował do strzelby dwa naboje w miejsce tych, które wystrzelił. Zarepetował broń, żeby mieć pewność, że w komorze jest nabój. Usłyszał gwizd, obejrzał się. Earl wyłonił się z mgły.

– Stary, co widziałeś, co słyszałeś? – spytał Chino. Hank się obejrzał, a potem wrócił do pilnowania drzwi. Earl przyłożył palec do ust i dotknął ucha.

Chino wyteżył słuch. Dobiegało go chlupotanie wody, szum lekkiego wiatru w gałęziach drzew na zewnątrz. Już chciał pokręcić głową, kiedy nagle usłyszał. Przypominało to czknięcie, po którym następowało kilka kliknięć. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Earl znów przyłożył palec do warg. Z drugiej strony też dobiegła odpowiedź – pohukiwanie, równie niedaleko.

– Polują na nas – powiedział Earl. Chino poczuł, że go mrozi. Przerazenie było tym większe, że to Earl mu to mówił. Jeśli plotki były prawdą, snajper spędził ostatnie dziesięć lat w dziczy, żywiąc się tym, co upolował. – Jeśli mamy się stąd ruszyć, to albo idziemy na dach, albo z powrotem do wody, innego wyjścia nie mamy.

– Pójdziemy na dach, to zdejmą nas działka – powiedział Hank.

– Tylko jeśli zwrócimy na siebie uwagę – zauważył Chino. – Jak będziemy się kryć, wszystko będzie OK.

– A jeśli spotkamy tam te stwory?

– Czyli chcesz wracać do wody?

Hank zastanawiał się krótką chwilę.

– Chodźmy na dach.

Z góry dobiegł ich brzęk tłuczonego szkła. Trzej żołnierze popatrzyli po sobie. Earl odwrócił się i poprowadził ich z powrotem w kierunku, z którego przyszedł, z bronią w gotowości. Hank szedł za nim, z kolbą karabinu maszynowego przy ramieniu. Chino był ostatni. Co chwila oglądał się za siebie.

* * *

Trzy piętra wyżej odkryli, że schody się zawaliły. Earl nie tracił czasu na ich badanie, otworzył tylko pierwsze napotkane drzwi i wprowadził ich do otwartego, przestronnego pomieszczenia biurowego.

Pod jednym z okien leżało pół ludzkiego szkieletu. Chino domyślił się, że to ofiara manhattańskiego wirusa, która tylko częściowo się upłynniła. Biuro nie było nawet bardzo zniszczone, chociaż do środka zaczynała wpełzać roślinność, a przez wybite szyby wpływały kręte wstęgi mgły.

Wydawało mu się, że wyczuł ruch gdzieś pod nimi.

– Earl – powiedział cicho. Zdecydowanie coś się tam ruszało. Dobiegło go dziwne kliknięcie. Teraz, kiedy już wiedzieli, czego nasłuchiwać, słyszeli coraz więcej kliknięć i pohukiwań. Były coraz bliższe i otaczały ich ze wszystkich stron. – Chociaż bardzo doceniam twoją zasadę „jeden strzał, jeden zabity”... – Dźwięk za nimi. Chino obrócił się gwałtownie, ze strzelbą w pogotowiu. – ...to jeśli nie walczyłeś z nimi wcześniej, powinieneś chyba wiedzieć, że jeden strzał może nie wystarczyć...

Kątem oka dostrzegł ruch. Obrócił się, ale niczego tam nie było. Coś spadło po lewej. Obejrzał się i znów coś się poruszyło, ale nie zobaczył żadnego konkretnego celu.

Drzwi, przez które tu weszli, otworzyły się z hukiem. Chino odwrócił się do nich. Mignął mu cień jakiejś sylwetki za przepierzeniem. Spiął palec na spuście strzelby, lecz wciąż nie widział celu.

Stojący za nim Earl zaczął oddawać pojedyncze strzały z M14, miarowo, raz po raz. Obok Hank otworzył ogień z MMG.

Tam! Chino zobaczył wysoką, chudą, jakby zdeformowaną sylwetkę, wciąż skrytą w ciemności. Wyglądała, jakby jej kształt rozpięty był wyłącznie na kątach ostrych. Widział to wyraźnie, nawet teraz, w mroku, kiedy biegła przez wstęgi mgły. Potem dostrzegł kołyszącą się mackę, przypominającą gruby gumowy ogon, sterczący ze środka pleców.

Nacisnął spust. Strzelbą szarpnęło. Natychmiast przeładowała. Istota zachwiała się, na wszystkie strony wystrzeliły z niej strzępy. Następnym pocisk w komorze. Znów

rozbłysnął ogień wylotowy. Stwór potknął się, ale biegł dalej. I znów. Cepid runął na ziemię i martwy pojechał po niej prosto pod stopy Chino.

Z ciemności nadbiegały następne. Chino przesunął lufę w prawo, wystrzelił raz, drugi. Obcy zachwiał się od siły pierwszego trafienia, drugie wyrzuciło go za okno. Lufa w lewo. Dwa Cepidy próbowały zająć ich z flanki. W błysku ognia z MMG migotały niczym w stroboskopie.

Chino wystrzelił trzy razy i najbliższy obcy padł. Dwa następne strzały, jeden trafiony, jeden chybiony. Chino puścił pustą strzelbę, zawisała na pasku. Ruszył do przodu, wyciągając z kabury rewolwer Majestic. Wycelował starannie i pociągnął za spust. Broń szarpnęła ręką. Z lufy wystrzelił chyba półmetrowy jęzor płomienia. Pocisk kalibru .50 trafił Cepida w miękką część ciała, a potem eksplodował.

* * *

Zwisał na jednej ręce z gargulca, stopami zaparty o kamienną ścianę starego budynku. Widział migotanie świateł i słyszał dźwięki. Rozbłyśki rzucały groteskowe cienie w swoich krótkich, lecz powtarzalnych chwilach istnienia. On też pragnął polować. Chciał polować jak shikari, ale musiał znaleźć miejsce, by oddać cześć nocnemu słońcu. Chciał znów zobaczyć płonące niebo. Ze smutkiem obejrzał się na swoich braci.

* * *

– Czysto! – krzyknął Hank.

– Kurwa, nie u mnie! – odkrzyknął Chino, wystrzeliwując ostatni pocisk z majestica. On i Hank błyskawicznie zamienili się miejscami. Marine natychmiast zaczął strzelać z MMG. Pociski z karabinu maszynowego rozrywały na strzępy istoty, które przeskakiwały z biurka na biurko albo po prostu spychały meble z drogi. Chino wypiął bębenek rewolweru i chwycił następny, z sześcioma olbrzymimi pociskami rozrywającymi kalibru .50. Rewolwer łatwiej było przeładować niż strzelbę.

Earl puścił M14 i błyskawicznie wyciągnął Mk.23. Zaczął strzelać, zanim podniósł pistolet w oburęcznym uchwycie na wysokość oczu. Przed snajperem na podłodze leżało pięć martwych, podrygujących jeszcze stworów.

Chino ze zgrozą zobaczył, że pociski z pistoletu Earla odbijają się od pancerzy nacierających Cepidów. Zatrzasnął bębenek. Wiedział, że nie zdąży. Wszystko odbyło się jak w zwolnionym tempie. Istota uniosła w zamachu ramię z przypominającym kość ostrzem. Earl wciąż strzelał. Chino unosił właśnie majestica. Ostrze obcego

trafiło Earla w sam środek głowy. Wyszło potylicą w rozbryzgu kości, krwi i mózgu, ochlapując Hanka. Chino niemal przystawił rewolwer do miękkiej tkanki na grzbiecie istoty i nacisnął spust. Cepidzka bioforma runęła na ziemię, pociągając za sobą trupa Earla i wpadając na Hanka.

Chino chciał krzyczeć, był o krok od wpadnięcia w panikę; coś takiego widział jednak już wcześniej. Wiedział, czym kończy się walka ludzi twarzą w twarz z tymi stworami. By mieć szansę na zwycięstwo w bezpośredniej potyczce, trzeba było być Dane'em albo Alcatrazem. Jeśli chcieli przeżyć, musieli uciekać. Chino nie widział żadnego wyjścia z tego piętra oprócz tego, którym tu weszli, a dookoła gromadziło się coraz więcej Cepidów. Wystrzelił dwukrotnie z wielkiego rewolweru i jeden z obcych zginął – zatoczył się, a potem wypadł za okno.

Chino już wiedział, z czym ma do czynienia. Tę formę Cepidów żołnierze nazwali Stalkerami – bo zabijały szybko i bezpośrednio. Te jednak wyglądały inaczej – były zdegenerowane, zdziczałe. Czystsze. Jakby straciły zdolność taktycznego myślenia i indywidualny instynkt samozachowawczy na rzecz szybkości i umiejętności polowania w stadzie.

Chino wpadł na bardzo głupi pomysł.

– Hank, musisz mi zaufać i zrobić to co ja! – krzyknął.

– Co takiego? – odkrzyknął Hank, nie przerywając strzelania seriami.

– Uciekamy przez okno! – zarządził Chino. – Przeskoczmy na sąsiedni budynek, to bardzo blisko – skłamał. Hank nie odpowiedział.

Chino puścił się pędem w stronę jednego z wybitych całościennych okien. Biegając, strzelił jedną ręką z majestica w Stalkera pod oknem. Pierwszy strzał chybił. Żołnierz miał moment na uświadomienie sobie głupoty szarży prosto na jednego z tych stworów, a potem wystrzelił drugi raz, już niemal w zwarciu. Błysk ognia wylotowego w pełni ukazał obcość Cepida. Istota zatoczyła się do tyłu, nie upadła jednak, lecz zaatakowała kościanym ostrzem. Cios dosięgnął Chino w ramię w chwili, kiedy ten odbijał się do skoku, i lekko go obrócił. W powietrze łukiem trysnęła krew, czarna w blasku księżyca.

Leciał przez mgłę. Nie miał pojęcia, czy obok rzeczywiście jest jakiś budynek. Wiedział, że ulice i zaułki w Chinatown są z reguły bardzo wąskie. Wiedział, że wiele domów jest niższych od tego, z którego właśnie wyskoczył, i ma płaskie dachy. Wiedział też, że jeśli nie zeskoczy na jakiś dach, to ulica w dole jest zalana trzema metrami wody. Lot w powietrzu nie wydawał się mu już tak wykalkulowanym ryzykiem jak chwilę wcześniej, kiedy groziło mu rozszarpanie przez Stalkery.

Rąbnął o dach. Wrzasnął, kiedy ugięła się pod nim ranna noga, i runął jak długi,

zdzierając sobie skórę z dłoni.

Usiadł i obejrzał się za siebie. Budynek, z którego właśnie wyskoczył, niknął we mgle. Opary zniekształcały nawet nieustanne staccato MMG Hanka. Chino widział tylko błysk ognia wylotowego broni Georgijczyka.

– No chodź! – wrzasnął, głównie do siebie. – Skacz, palancie!

Schował majestica i wsuwał właśnie nabój do magazynka strzelby, kiedy strzały ucichły. Usłyszał wrzask Hanka. Były marine przybliżył się. W końcu wychynął z mgły. Uderzył piersią o krawędź budynku i splunął krwią. Chino wyciągnął do niego rękę. Tuż za Hankiem nadleciał Stalker.

Chino poderwał strzelbę w jednym ręku i wystrzelił jedyny nabój, jaki zdążył załadować. Odrzut omal nie urwał mu ramienia. Pocisk trafił Stalkera, obracając go w powietrzu. Obcy uderzył o ścianę i odbił się od niej. Chino znów sięgnął Hanka, który wyciągał do niego rękę. Drugi Stalker wylądował praktycznie na plecach wiszącego marine. Chino puścił strzelbę na pasek i sięgnął po rewolwer. Stalker raz po raz uderzał Hanka ostrzami, ściskając go swoimi dziwnie zbudowanymi nogami. Hank puścił krawędź. Chino podbiegł do niej. Zobaczył, jak jego towarzysz znika we mgle, wciąż masakrowany przez obcego. Nie usłyszał nawet plusku wody.

Fragment budynku eksplodował, w powietrze poleciały kawałki gruzu, kalecząc odkrytą skórę na rękach i twarzy Chino. Wielkokalibrowe smugowce w oddali zdawały się lecieć powoli; perspektywa sprawiała, że przyspieszały w miarę zbliżania się. Kilka działek wzięło na cel budynek, na którym się znalazł. Chino z trudem dźwignął się na nogi i kuśtykając, pobiegł. Za nim zapadały się połacie dachu.

– Odpierdolcie się wreszcie!

Dobiegł do przeciwnej krawędzi i skoczył.

* * *

Ogień prowokował pomniejszych bóstwa, by go poraziły. Nie zrobiły tego. Rozsmarował po twarzy popiół. Ukrył ją w ten sposób, sprawił, że stała się szara. Będzie jednym z umarłych.

Jego ofiara zwisała z na wpół zniszczonego, podwieszanego sufitu w otwartym biurze, które znalazł.

Wbił nóż w odsłonięte ciało i pchnął w dół, próbując wypatroszyć ją jak ziemską zwierzynę, choć gatunek ten przebywał na Ziemi dłużej niż ludzkość.

Krew miała ten sam kolor co jego własna, lecz była gęstsza, bardziej lepka. Zebrał ją do dużego kubka z napisem NYC.

– Wybacz, bracie – powiedział do swojej ofiary. – Muszę zabrać twoją duszę, żeby móc polować.

Kiedy nakreślił krwią poziomą linię w popiele na twarzy, w poprzek oczu, zobaczył ich. Otaczali go umarli. Ci, których śmierć widział, ci, których zabił, ludzie, Cepidy – bez znaczenia. Na czele stali Aztec i Jester. Milczeli, przyglądali mu się.

– Duch ludzki wciąż jest w kajdanach, bracia. Nasz wróg kryje się tam, gdzie zawsze. Wewnątrz.

Milczeli, patrzyli na niego, oceniali. Dane pierwszy odwrócił wzrok.

– Czekam na Króla Słońce – powiedział im. Wiedział, że to nie wystarczy, choć widział, jak niebo staje w ogniu.

* * *

Chino pomyślał o wyszkoleniu, które kazało mu walczyć przeciw nieuniknionemu.

Skoczył na oślep, spadł z wysokości jakichś pięciu pięter do wody. Zamortyzowała znacząco jego upadek, ale i tak dość mocno uderzył o nawierzchnię ulicy. Ból przeszył jego zranioną nogę, do tego omal nie wybił sobie zębów kolanem.

Znalazł kryjówkę, ale wciąż słyszał pohukiwanie i klikanie. Coś ruszało się w wodzie i w okolicznych budynkach. Wciąż na niego polowały.

To stado, powiedział sobie w duchu. *A każde stado ma skończoną liczbę członków.*

Wysuszył, rozebrał, oczyścił i naładował marshalla i majestica. Potem, najbardziej ukradkowo jak mógł, poszedł poszukać miejsca, w którym mógłby stoczyć ostatnią walkę.

To, co znalazł, z taktycznego punktu widzenia za cholerę się do tego celu nie nadawało. Ze wszystkich stron wąskiej ulicy wznosiły się wysokie budynki. Chino miał nadzieję, że przynajmniej osłonią go przed działkami CELL.

Cicho wślizgnął się do wody. *Jestem aligatorem*, pomyślał głupio i powstrzymał zrodzoną z napięcia chęć, by się zaśmiać. Żabką podpłynął do zatopionego dostawczaka. Większa część samochodu znajdowała się pod wodą. Nad powierzchnię wystawał tylko dach. Przynajmniej będę miał fosę, pomyślał Chino. Stalkery będą musiały do niego podpłynąć – *albo skakać*, dodał w myślach. Podczas inwazji na Nowy Jork tamte dysponowały jakąś bronią zasięgową. Jak dotąd nie zauważył, by te nowe posługiwały się czymś podobnym. Albo skończyła im się amunicja, albo ta czystsza forma wołała ostrza. Na to liczył. Jeśli mogłyby go ostrzelać z odległości, miałyby przesrane.

– Miejmy to już za sobą – mruknął do siebie. Odpalił dwie flary i podniósł je

wysoko do góry. Oświetliły ciemny, wąski zaulek Chinatown swoim fosforyzującym, migotliwym, czerwonym blaskiem.

Cokolwiek się dziś wydarzy, zabiorę ze sobą paru skurwysynów, pomyślał Chino.

Spojrzał w górę, poszukał księżycy i zawył ku ruinom.

Teraz czekał, słuchał i obserwował.

Najpierw usłyszał pohukiwanie i klikanie. Potem odgłos wody, delikatnie falującej, pluskającej o bok samochodu. Później ostrza zgrzytające na betonie. Już ich widział. Ciemne kształty w wodzie. Ciemne kształty czepiające się ścian budynków, sunące w jego stronę.

Wrzucił jedną z flar do wody. Opadła spiralą na dno, oświetlając obce formy, wijące się i sunące złowieszczo w stronę zatopionej furgonetki.

Wyjął z kieszeni szelek granat odłamkowy M17. Wyciągnął zawleczkę i puścił łyżkę. Zaczął odliczać. Na trzy rzucił drugą flarę do wody po drugiej stronie samochodu. Ukazała jeszcze więcej obcych. Musiał ich wywabić z wody, płyny cholernie zaburzały trajektorię kul. Na cztery przytrzymał granat jeszcze chwilę. Przelotnie przypomniał sobie, jak grał w softball w parku z siostrami i braćmi we wschodnim Los Angeles podczas rodzinnych pikników. Potem rzucił.

Z zapalnikiem na niecałą sekundę, granat eksplodował w powietrzu. Odłamki poharatały ciała obcych. Fala uderzeniowa łamała im kończyny, strącała ich ze ścian do wody.

Chino odwrócił się i zakrył tył głowy ręką. Odłamki wbiły mu się w kamizelkę i ramię, a on prawie tego nie poczuł. Siła wybuchu omal go nie przewróciła. Przyklęknął na jedno kolano.

Obcy wystrzelił z wody tuż obok niego. Lufa strzelby prawie dotknęła cielistej tkanki poniżej kolczastego łba z biostali i pancerza karku. Chino nacisnął spust. Obce ciało eksplodowało. Wstał i kopnięciem strącił Stalkera do wody, przeładowując jednocześnie broń. Był spokojny.

Następny Stalker wyskoczył nad powierzchnię po przeciwnej stronie samochodu. Chino podniósł strzelbę, wycelował w ciało. Strzał w deszczu iskier zrykoszetował od pancerza. Żołnierz przeładował, wystrzelił. Obcy runął do wody. Trzeci wynurzył się po lewej. Chino ruszył w jego stronę, wycelował bez pośpiechu. Poczuł, że kościane ostrze zaczyna penetrować kamizelkę. Strzelił z przystawienia. Cepid runął do tyłu i zniknął w ciemnej wodzie.

Następny zaatakował spod powierzchni, wyciągając ramiona. Chino zrobił krok do tyłu, przystawił strzelbę do garbu z macką i pociągnął za spust.

Na krótką chwilę został sam. Wykorzystał ją i wystrzelił cztery pociski do ciemnych

kształtów pełzających po ścianach sąsiednich budynków. Jeden z ich spadł, pozostałe uciekły wielkimi susami. W strzelbie skończyły się naboje.

Teraz dopiero się zacznie.

Puścił strzelbę, która zawisała na pasku, i wyciągnął majestica. Usłyszał, że działała znów się odzywają, więcej niż jedno. Z kilku stron posypały się smugowce. Z budynków odpadały wielkie kawały gruzu. Wielkokalibrowe pociski darły beton i cegły, ale chybiały. Strzelcy nie widzieli celu, nie kiedy ten znajdował się między budynkami na tak wąskiej ulicy. To był tylko pokaz fajerwerków. Tło jego śmierci.

* * *

To było piękne. Wczoraj widział, jak z nieba spada słońce. Dziś spadały gwiazdy.

* * *

Na dachu furgonetki wylądował jeden, potem następny. Chino ruszył w ich kierunku, strzelając. Dwa strzały. Pierwszy upadł – olbrzymie pociski kalibru .50 eksplodowały w jego wnętrzu. Drugiego zabił jedną kulą. Obrócił się do trzeciego. Łeb Cepida rozbryznął się, zanim Chino wycelował w niego rewolwer. Marine nie miał czasu, by się tym zdziwić. Na furgonetce lądowały następne potwory, kolejne wypęzły z wody. W końcu były gatunkiem adaptatywnym. Domyśliły się, że mogą go pokonać liczebnością.

Następnego zabił, przystawiając lufę rewolweru do jego ciała i pociągając za spust. Potem uderzyło w niego coś ciężkiego i ostrego. Runął na dach samochodu. Wykręcił broń w górę i omal nie połamał sobie nadgarstka przy dwóch ostatnich strzałach. Upuścił rewolwer, przetoczył się i poderwał na ugięte nogi. Kolejny Cepid zginął w szarzy, trafiony w głowę przez kogoś niewidocznego. Chino dało to chwilę, której potrzebował, żeby dobyć noża.

* * *

Patrzył przez lunetę na Stalkery wspinające się na dach zatopionej furgonetki. Nacisnął spust. Pole elektromagnetyczne wytworzone przez zwoje wypchnęło dziesięciomilimetrowy pocisk przeciwpancerny z lufy karabinu snajperskiego z prędkością naddźwiękową. Kula przebiła pancierz, a potem ciało Stalkera. Potwór jeszcze padał, kiedy on celował już do następnego. Tamten też runął. I następny. Zmiana magazynka.

Moja koza dobrze sobie radzi, *pomyślał*. Przynajmniej jeszcze żyje.

* * *

Kolejny zginął, zanim zdążył do niego dobiec. Inny Stalker rzucił się na Chino, a ten przetoczył się razem z potworem, lądując na górze. Wrzeszcząc, zaczął dźgać obcego nożem. Obryzgała go obca krew. Poczł jej smak.

Zabiłem go w walce wręcz, pomyślał z uniesieniem, ale potem coś oderwało go od jego ofiary. Chino zaczął krzyczeć, podniesiony wysoko w górę. Kościane ostrza przebiły mu lewe ramię i prawy bok.

Był w ruchu. Biegł między trafieniami spadających gwiazd. Niewidzialny duch. Zobaczył, że coś podnosi jego kozę. Wyhamował i strzelił.

Stalker, który trzymał go w powietrzu, runął. Chino wrzasnęła, kiedy ostrza szarpnęły wewnątrz jego ciała. Był unieruchomiony, przyszpilony. Z wody wpełzały kolejne Cepidy, jeden z nich już wylądował na dachu. Górowały nad byłym marine, zbliżyły się.

– Tak! Chuj wam w dupę! Zabiłem was więcej, niż wy mnie!

Wiedział, że powinien wyć z bólu, ale czuł tylko gniew i łyzy frustracji. Tak dzielnie walczył, nie zasłużył sobie na to.

Coś wylądowało na dachu zatopionej furgonetki. Za jednym ze Stalkerów dziwnie poruszyło się nocne powietrze. Cepid znieruchomiał i zadygotał. Z jego ciała wyłonił się zakrwawiony czubek noża. Za obcym zmaterializowała się opancerzona postać. Cisnęła zdychającego Cepida o ścianę jednego z budynków przy wąskiej uliczce. *Oglądam półboga, który zstąpił między śmiertelników i potwory, pomyślał Chino.*

Jeden ze Stalkerów rzucił się na Dane'a. Komandos uskoczył, potem wbił zakrwawiony nóż w jego miękką część. Zostawił go tam. Kopnął obcego, odrzucając go do tyłu, i wyciągnął hammera II, z którego strzelił dwukrotnie z bezpośredniej odległości. Stalker wyrznął o dach samochodu i ześliznął się do wody.

Chino zaczął odczuwać ból. Dwoiło mu się w oczach, ale miał wrażenie, że Dane walczył bez zasłony. Twarz pomalował sobie na wzór trupa i pomazał krwią. Komandos odwrócił się, pochwycił zmierzające ku niemu kościane ostrze, złamał je, potem trzykrotnie strzelił do Cepida. Chino zauważył, że coś jest nie tak z tyłem zbroi Dane'a. Jakby częściowo się tam stopiła i zdołała naprawić tylko część uszkodzeń.

W wykonaniu Dane'a zabicie ostatniego Stalkera wyglądało na zupełnie łatwe.

Chino stracił przytomność.

Kiedy się ocknął, zobaczył nad sobą dziwacznie umalowaną twarz Dane'a.

– Muszę cię ściągnąć z tych ostrzy. Przykro mi, bracie, to zaboli.

Nie kłamał. Chino trochę pojęczał, a potem zemdłał.

* * *

Coś się paliło. Dym ładnie nie pachniał. Miał w sobie tę gryzącą kwaskowatość, która powstaje przy spalaniu sztucznych włókien. Ból nie zelżał. Chino miał nadzieję, że jego stan ustabilizował się, bo miał w apteczce kilka ampułek morfiny, którymi zamierzał się poczęstować.

Kiedy spróbował się rozejrzeć, przeszył go ból. Złał się zimnym potem. Znajdowali się na jednym z wyższych pięter wieżowca gdzieś w okolicach śródmieścia. Chino widział blask reflektorów na różnych placach budowy CELL w zrujnowanej metropolii. Reszta tego, co pozostało z Nowego Jorku, pogrążona była w ciemności i ciszy.

Dane siedział przy ognisku, które rozpałił pośrodku przestronnego pomieszczenia biurowego. Z sufitu zwiślał wypatroszony Stalker. On też śmierdzał.

– Działka wypatrzą ogień, człowieku! – wykrztusił Chino. – Pieprzony Psycho. Gdzie on jest?

Dane ze smutkiem pokręcił głową.

– Psycho odszedł, stary... Dokądś, gdzie nie mogę go zobaczyć ani dosięgnąć.

Pancerna postać podeszła i uklękła przy Chino.

– Obwiązałem ci rany. Jesteś pokiereszowany, ale przeżyjesz.

– Co się stało? Gdzieś ty był?

Dane spojrzał na niego, jakby podejmował jakąś decyzję.

– Widziałem, jak niebo staje w ogniu – oznajmił w końcu.

Znowu zaczyna się pieprzenie szurniętego Lazy Dane'a, pomyślał Chino.

– Wystawili nas pieprzeni brytole – powiedział zbolalym głosem.

Dane pokręcił głową.

– Nie. Byli prawi. Nie kłamali. To słońce spadło na ziemię. Teraz kroczą razem ze mną.

Chino usiłował coś z tego zrozumieć.

– Cholera – powiedział wreszcie. – Czyli to koniec.

Komandos wzruszył ramionami.

– Nic się nigdy nie kończy, stary, zmienia tylko formę.

Chino zamknął oczy. Wszystko poszło na marne, walka, cierpienie, tylu zabitych. CELL wygra. Świat należał do nich. Prawdopodobnie już od jakiegoś czasu.

– Wiesz, co to za miejsce?

– Cmentarz? – strzelił Chino, poddając się bólowi i rozpacz.

– To nekropolia. Wszyscy oni tu są. Nasi, CELL, ofiary zarazy i cała reszta, aż po czas, kiedy rozciągały się tu mokradła pierwszych ludzi. Wszyscy tu są. Cepidy też, ludzie i obcy żyją razem, to piękna sprawa, stary. Wszystko jest martwe i piękne.

Chino milczał. Trudno było odpowiadać na bełkot wariata.

– Dziękuję – powiedział Dane.

– Za co, człowieku? Uratowałeś mnie.

– Za to, że byłeś moją kozą.

Chino wytrzeszczył oczy.

– Twoim czym?

– Kiedy *shikari* poluje na tygrysa...

– Przywiązuje kożę do drzewa i skrwawia ją lekko, żeby go przyciągnąć.

Dane przytaknął.

Chino przez chwilę patrzył mu w oczy. *On nie uważa się już za jednego z nas. Jesteśmy dla niego zabawkami, zwykłymi śmiertelnikami.*

Chino splunął Dane'owi w twarz.

* * *

Może gdyby nanoskafander nie był tak poważnie uszkodzony, Dane przechwyciłby ich komunikaty radiowe. Gdyby Chino nie był tak ciężko ranny, gdyby obaj byli czujni, to może usłyszeli by ich, jak się pod nimi poruszają.

Namierzili ich termowizją. Także przez ognisko.

* * *

Podłoga biura eksplodowała kręgiem wokół Dane'a i Chino. Spadli o jedno piętro w dół. Wstrząs uderzenia sprawił, że marine wrzasnął, jego liczne rany się pootwierały i znów zaczął spływać krwią. Ognisko wybuchło deszczem iskier.

Dane był w ruchu. Znikał, robił się przezroczystry, rozmywał w tle. A potem spowiły go błyskawice. Naładowany elektrostatycznie śrut z broni K-Volt obsiadł jego skafander. Śruciny dezaktywowały system maskowania i komandos zrobił się znów widoczny. Cały czas trafiały go kolejne kule, ładunek, który się na nim gromadził, wciąż wzrastał. Systemy uszkodzonego kombinezonu zaczęły się przeładowywać i wyłączać. Przy każdej próbie poruszenia się, Dane'a rażono prądem. Czterech komandosów CELL z k-voltami nie przestawało strzelać.

W końcu Dane stanął na nogi. Wyglądał jak istota zrodzona z elektryczności.

Komandosi cofnęli się o krok.

Chino dostrzegł swojego majestica. Sięgnął po rewolwer, ale ktoś przydepnął mu rękę, a potem mocno kopnął w twarz. Marine zobaczył światła i poczuł mdłości. Zaczęła go ogarniać ciemność.

– Przeładowuję – oznajmił pierwszy strzelec z k-voltem, kiedy skończył mu się śrut. W jego głosie słychać było zaledwie ślad paniki. Wymienił magazynek. Po chwili amunicja skończyła się też drugiemu i trzeciemu. Dane zrobił krok do przodu.

Przeładowawszy, znów zaczęli strzelać. Dane zdołał zrobić jeszcze jeden krok przez trzeszczące wyładowania, a potem upadł.

– Nie przestawajcie strzelać, rozkaz dowódcy.

Nie przestali.

* * *

Chino znów się ocknął.

Obejrzał się i zobaczył wywlekanego Dane'a. Wokół budynku krążył VTOL, przyświecając komandosom szperaczami. Chino chyba nigdy w życiu nie widział nikogo tak dokładnie spętanego jak Lazy Dane.

– Pani komandor, ocknął się – powiedział stojący nad nim komandos CELL. Dowódczyni grupy specjalnej obejrzała się na swojego podwładnego. Wzruszyła ramionami.

– Nie było go w zapotrzebowaniu.

Chino spojrział w lufę broni. Zobaczył palec zaciskający się na spuście.

Poczuł spokój.

Obcy kraj

Krzyk. Cierpienie. Potem nicość.

Londyn, 2016

Sierpowy, sierpowy, hak, prosty, pracuj, kurwa, nogami. Mike pomyślał, że im mniej ćwiczy, im bardziej traci formę, im częściej pije, je i używa różnych substancji wysokowych, tym więcej się bije. *Powiedziałem: pracuj nogami, a nie tańcz jak baletnica!* Mike uchylił się w lewo i w prawo, a potem wyprowadził następną kombinację ciosów w ciężki worek.

Kiedy sądził, że umie się bić, na ulicach za szczenięcych lat – gówniarstwo – czy w pubach i klubach, okłamywał się. Nie było w tym dyscypliny, żadnego prawdziwego wysiłku, tylko podniecenie, ale nie przypominające uniesienia, które czuł na ringu. Na pewno nie dawało mu takiej satysfakcji jak zwycięstwo w prawdziwej bokserskiej walce.

Potem gruszka, podciąganie i skakanka, żeby się rozluźnić. Nie było tu pryszniców, tylko zapach skóry i ponad stuletni smród potu. A potem z powrotem na ulice, szukać pracy.

* * *

Kolejny ranek, który przyniósł tylko obolałe stopy. Idąc do „Ślepego żebraka”, Mike zerknął na stojak z gazetami pod kioskiem. Zobaczył nagłówek w gazecie, którą lubił nazywać „Daily Fail” – nagłówek obwieszczający przegłosowanie kontrowersyjnego Aktu o Karnym Poborze. Mike pokręcił tylko głową, pchnął drzwi „Żebraka” i poczuł znajomy zapach swojego lokalu.

* * *

Wypił kolejny łyk piwa. Marnowanie popołudnia w pubie przychodziło mu z łatwością, ale Sarah powiedziała, że kiedy szuka pracy, w ciągu dnia powinien wypijać najwyżej jedno. Chciał się nim rozkoszować. Przeglądał skąpą listę ofert zatrudnienia w lokalnej gazecie, pragnąc mieć kwalifikacje do choćby jednej z nich. *Jako kto?* Przypomniawszy sobie, co mówiła mu Sarah: *Nie możesz tak myśleć.* Zadumał

się nad tym, jak zmienił się świat. Kiedyś pragnął życia takiego jak w telewizji, zamożnego i łatwego. Dziś zadowoliliby się pracą w magazynie. W wiadomościach mówili o kolejnej recesji, już trzeciej z kolei. Mike był zdania, że w możliwej do przewidzenia przyszłości tak już po prostu będzie. Ludzie muszą się przyzwyczać.

– Cześć, Psycho. – Głos był tak chrapliwy, jakby od raka krtani jego właściciela dzielił zaledwie jeden papieros. *Nie nazywaj mnie tak.* Ale do Jacka Hamiltona nie uchodziło pyskować. Mike obejrzał się, udając, że cieszy się na jego widok. W rzeczywistości Hamiltona lubił. Tamten był dobrym kolegą jego taty. Mike chciał być taki jak on, a Jack pomógł jego matce, kiedy ojciec zginął w awanturze o jakąś pierdołę w pubie.

Hamilton był wysoki i wciąż zachował gęstą czuprynę jak na mężczyznę zbliżającego się do siedemdziesiątki, choć teraz była już siwa. Nigdy nie był przystojny. Miał płaską twarz i nos, który w młodości wielokrotnie złamał. Posiadał za to niezaprzeczalną charyzmę.

– No, no, czy to nie Jack Hamilton, ostatni z wielkich białych gangsterów? – powiedział Mike z uśmiechem.

– Zawsze byłeś takim złośliwym chujkiem? – Hamilton uśmiechnął się z zadowoleniem. – Co u mamy?

Mike wzruszył ramionami.

– Jakoś żyje. Musi częściej wychodzić z domu.

– W swoim czasie niezła była z niej sztuka...

– Jack... – zaczął Mike. Hamilton palnął go w ramię.

– Przecież wiesz, że nie miałem nic złego na myśli.

Jack usiadł na stołku obok Mike'a i zapalił papierosa.

– Jack, zabiorą mi przez ciebie licencję – zaskrzeczała na niego Jean. Niektórzy z miejscowych uważali, że surowa, nieznosząca sprzeciwu matriarchini „Żebraka” tkwiła tu na długo przed powstaniem pubu i czekała, aż go wokół niej zbudują. Zawsze kojarzyła się Mike'owi z harpiami, które Zeus zesłał, by dręczyły Fineusa, ale w pozytywnym tego wyobrażenia znaczeniu.

– Chyba oboje wiemy, że to się nigdy nie zdarzy, skarbie. Dwie potrójne brandy, kochana, w końcu mamy porę lunchu.

Mike zaczął protestować. Dlatego, że zabrzmiało to niezwykle kusząco. Jack dał mu do zrozumienia, że odmowa go obrazi. Mike westchnął, kiwnął głową i podziękował starszemu mężczyźnie.

– Co to za gówno? – spytał Hamilton, stukając palcem w gazetę otwartą na ogłoszeniach. *Zaczyna się,* pomyślał Mike.

– Szukam przecież pracy.

– Mikey, wystarczy, żebyś...

– Proszę cię, Jack. – Mike nie chciał obrazić przyjaciela i to nie dlatego, że tamten był niebezpieczny. Po prostu nie chciał urazić jego uczuć.

– Sarah?

– Tak. Nie. Tak jakby. Muszę się od tego wszystkiego odciąć. Ona... chcemy założyć rodzinę, a ja pamiętam, że jak byłem mały, mój tato...

– Twój tato był dobrym człowiekiem – powiedział z powagą Hamilton.

– Owszem. Ale mógłby być lepszym ojcem.

Jack zastanawiał się nad tym przez chwilę. Mike pomyślał, że stary przyjaciel jego ojca zbiera się do jego obrony.

– Rozumiem – powiedział Hamilton. – Między innymi dlatego nigdy nie miałem dzieci.

– Ale poza tym ciągle posuwasz dwudziestojednoletnie striptizerki, jeśli wierzyć plotkom.

Warczący śmiech Jacka skojarzył się Mike'owi z odgłosami wydawanymi przez tonącego psa.

– Przywilej rangi, synu. Mam też legalne zajęcia – powiedział Hamilton, zmieniając temat.

– Jack, jestem wdzięczny, naprawdę, ale...

– W porządku, rozumiem. Wiem, że zależy ci, żeby się od tego odciąć, ale nie chcę tracić z tobą kontaktu. Może ty i Sarah spotkalibyście się ze mną i... – Jack przerwał i przybrał skupiony wyraz twarzy.

– Zapomniałeś, jak ma na imię twoja dziewczyna, prawda? – spytał Mike, szczerząc się w uśmiechu. Hamilton pokręcił głową.

– Starzeję się, kurwa. Umiem ją sobie wyobrazić. Świetne cycki, rucha się jak rosomak zaszyty w worku.

– To nieźle.

– Pohamuj swój jęzor, Jacku Hamiltonie! – zawyła Jean. – Nie obchodzi mnie, co wyprawiasz.

– Przepraszam, Jeanie, wiesz, że liczysz się dla mnie tylko ty, ale powinnaś zobaczyć cycki tej dziewczyny.

Mike zaśmiał się głośno i napił brandy.

– Zakażę ci wstępu, ty pyskаты gnoju!

Hamilton też się roześmiał. Droczenie się z Jean było przypieczętowaną wieloma latami tradycją klientów „Żebraka”.

– Ale poważnie, któreś niedzieli możemy we czwórkę pojechać do lasu Epping, przejść się, zjeść lunch. Ja stawiam.

Mike z wdzięcznością pokiwał głową. Lubił towarzystwo Hamiltona, ale nigdy nie potrafił wyrzucić z głowy tych chwil, kiedy widział go z krwią na rękach. To dlatego Hamilton wciąż rządził w tej dzielnicy. To dlatego wszyscy młodzi chłopcy z pistoletami, aspirujący do miana gangsterów, woleli zostawić go w spokoju. Nie był chciwy, chciał tylko dostać swoją działkę, ale jeśli ktoś go robił w chuja, brał sprawy w swoje ręce. Osobiście.

– A teraz napijmy się jeszcze.

– Jack, naprawdę...

* * *

Kurwa, Sarah mnie zabije, pomyślał Mike. *Narąbałem się.*

– ...on wraca, zagląda do poszewki kołdry, potem patrzy na mnie i pyta „Jack, dlaczego w mojej poszewce leży zdechły pies?”. Richardson był naprawdę twardym skurwysynem i trzeba było go szanować, ale nie mogłem się powstrzymać, zrobiłem zmartwioną minę i pytam: „A gdzie miałem go położyć?”. O, ależ mnie wtedy sprął. Nieźle się wściekł.

Mike słyszał już tę historię, ale i tak się śmiał. Jack z powrotem spowaźniał.

– Gównianą porę sobie wybrałeś, Mikey, na przejście do cywila, nawet jebane japiszony się stąd wynoszą. Słyszałeś o tej dziewczynie, którą znaleźli?

Mike wzruszył ramionami.

– Przecież to park rozrywki Kuby Rozpruwacza, prawda? – odparł. – Każdy świr w tym zaszranym kraju chce mu złożyć hołd.

Jack patrzył na niego z namysłem i kiwał głową.

– Podoba mi się to. To takie, jak to się mówi...

– Głębokie? – spytał Mike, tracąc nagle nadzieję. Wiedział już, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Tak, głębokie. Dobre słowo. Gdzie to masz, Mikey?

– Jack, nie rób tego – powiedział Mike, kręcąc głową. Jack wyciągnął rękę.

Mike z westchnieniem sięgnął do kieszeni swojej wytartej skórzanej kurtki i podał Hamiltonowi książkę. Jack spojrział na okładkę, zmarszczył brwi, a potem z kieszeni marynarki wyjął okulary do czytania. Przytrzymał je przed twarzą. *Nowe*, pomyślał Mike.

– Kto to jest ten Descartes? Brzmi jak żaba.

Hamilton odłożył książkę na kontuar. *Zaczyna się.*

– Żałuję, że nie czytam więcej – wyznał cicho Jack. – Zwłaszcza o historii, uwielbiam te rzeczy. Wiesz, słyszałem kiedyś, że w wiktoriańskiej Anglii wszyscy byli przestępcami. To znaczy niby mieli jakieś posady, ale każdy, dosłownie każdy, dorabiał sobie na boku. Musiał, jeśli chciał wyżywić rodzinę. Wiesz, co to znaczy cichodajka? – Mike wiedział, ale pokręcił głową. – To prostytutka na pół etatu. Pomyśl tylko. Wyobraź sobie, że jesteś żoną i matką, ale czasami musisz się sprzedać, żeby związać koniec z końcem. Moim zdaniem znów tak będzie. Pilnuj swojej Sary i uważaj na nią. To dobra dziewczyna, synu. Trzeba było postawić cię do pionu. Łamałeś serce swojej matce, omal nie musiałem interweniować. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Mike z trudem przełknął ślinę. Pomyślał o swojej matce. Miał wyrzuty sumienia.

– Masz szczęście, że Sarah coś w tobie dostrzegła. Dała ci szansę. Może i nie lubi mnie... ani tego, kim jestem... – Mike chciał zaprotestować. – Cicho! Czasami sam nie lubię tego, kim jestem. Ale jeśli będziecie czegoś potrzebować, którekolwiek z was, wystarczy, że poprosicie.

Mike pokiwał głową.

– Dzięki, Jack, to dla mnie wiele znaczy.

– I nic się nie martw. Wysłałem jej SMS-a, że się spóźnisz i że jesteś ze mną. – Jack się roześmiał.

Mike stracił resztki nadziei. *Już po mnie.*

– Cześć, Psycho, co to za pedałstwo?

Mike zjeżył się, słysząc ten głos. Obejrzał się w chwili, kiedy Davey Falconer wziął do ręki jego książkę. Falconer był chudy jak tyczka, miał rozbiegane jak po amfetaminie oczy, które zawsze wydawały się żółtawe, do tego bezustannie ruszał szczęką. Na przylizane włosy nakładał za dużo żelu, nosił drogi, szyty na miarę garnitur, prawdopodobnie małpując Hamiltona. *Zakupy na Saville Row nie ukryją tego, że Davey Falconer to wredny mały kutas*, pomyślał Mike.

Najbardziej charakterystyczną cechą Falconera była jednak zygzakowata blizna na jego policzku, sięgająca aż do skroni. Davey próbował nakłonić wszystkich, żeby nazywali go Scarface, ale ksywa się nie przyjęła. Mike był zdania, że Falconer chce się za tę bliznę zemścić na całym świecie.

– Jasne, nic o homoseksualizmie nie świadczy tak bardzo jak odczytanie – mruknął.

– Co to ma niby, kurwa, znaczyć? – zapytał ostro Davey. Hamilton parsknął śmiechem, Mike tylko pokręcił głową. – Jak długo jeszcze będę musiał czekać w furze, szefie? – spytał Falconer.

– Aż skończę, bezczelny gnojku – odparł Hamilton zgryźliwie. – Piję drinka z tym tu oto młodym Mikeyem.

Davey spojrział na Mike'a. Psycho w jego spojrzeniu wyczuwał niechęć. Nie chciał się nawet oglądać. Jego palce zacisnęły się na szklance brandy.

– Podobno jesteś teraz miękki siusiak.

– Dość tego, Davey, idź do samochodu – powiedział Jack.

– Jesteś teraz żoną Sary MacFadden, co? Czyli nie siusiak, raczej cipka.

– Davey, kurwa, stul mordę. I nie będę tego powtarzał. Co z wami? To ty mu przyprawileś tę bliznę? – spytał Jack Mike'a, zły, że ktoś psuje mu przyjemne popołudnie.

Nie, to jego tata, pomyślał Mike.

– Dokuczałem mu w szkole – powiedział. *Co ty robisz, Mike, daj spokój.* – Gdybym wiedział, że wyrośnie z niego skomląca pizda, to bym się dwa razy zastanowił.

Davey tylko pokiwał głową, uśmiechając się złośliwie pod nosem.

– Widzisz, Hamilton, ta jego Sarah to może teraz jest grzeczna i w ogóle, ale w szkole... o rany, ależ ta dziewczyna szalała.

– A skąd ty miałbyś o tym wiedzieć? – spytał Mike. – Pieprzony prawiczek bez jaj.

– Dobra, chłopcy, przecież jesteśmy przyjaciółmi – warknął Hamilton.

Nie, kurwa, nie jesteśmy, pomyślał Mike.

Davey zjeżył się na obelgi, ale przełknął ripostę i odwrócił do Jacka, ośmielony obecnością szefa.

– Robiła najróżniejsze świństwa, pięć albo sześć fiutów naraz...

– Dobra, teraz już się zapominasz. Spierdalaj, Davey, ale już – rozkazał mu Hamilton.

– Taka była ładna, jak patrzyła w górę, z ustami na...

Mike zerwał się na nogi. To nie była nawet świadoma myśl. Złapał Daveya za kłapy. Jego pięść wzięła zamach, potem wystrzeliła do przodu, raz, drugi, w przerażoną twarz. Poczuł, że pod kłykciami ustępują kość i chrząstka. Davey upadł. Mike nie przestawał uderzać. Nie słyszał nawet krzyku.

Ktoś go chwycił. Mike obejrzał się przez ramię. Jego twarz zmieniła się w maskę wściekłości. Widział przed sobą następną ofiarę. Podniósł pięść, gotowy do ciosu.

– Mikey! – krzyknął Hamilton. Zszokowany Psycho uświadomił sobie, że niewiele brakowało, a by go uderzył. Dotarło do niego, jak staro tamten wygląda. Poczuł, że uchodzi z niego wściekłość. Odwrócił się i spojrział na Daveya. Falconer leżał na podłodze, zwinięty w kłębek. Zmoczył spodnie, albo i gorzej. W oczach Mike'a ujrział swoją śmierć.

Mike popatrzył na krew na swoich pełnych odcisków kłykciach.

– Cholera! – krzyknął. Jean wlepiła w niego oczy.

– Uciekaj stąd – powiedziała.

– Coś sobie wyobrażał? – fuknął Hamilton do Daveya. Patrzył na niego i kręcił głową. – Mike to zawodowiec, a ty – zwykły oprych. – Odwrócił się do Psycho. – Zajmę się tym. A ty rzeczywiście stąd znikaj.

Mike przytaknął, roztrzęsiony. Davey nie był jedyną osobą, którą przeraził.

* * *

Jestem bardzo zła, wyszłam z Karen. Zastanów się dobrze, jak mi to wynagrodzisz. Mike spoglądał na liścik. Sarah była wkurzona, ale rozumiała. Nie wiedzieć czemu poczuł się przez to jeszcze gorzej.

Włączył muzykę. Nalał sobie brandy, a potem usiadł po ciemku w fotelu i wsadził rękę w miskę z lodem. Sprawdził telefon. Sarah wciąż się nie odzywała, co zawsze było oznaką tego, że jest na niego wściekła.

* * *

Obudził go dzwonek telefonu. Łeb mu pękał – kac jak się patrzy. Przez sen upuścił szklanekę i brandy rozlała się na podłogę. *Nie dość jeszcze dziś narozrabialiśmy, co?* Zerknął na telefon. Dzwoniła Karen. Mike poczuł, że przejmuje go chłód.

– Halo?

Karen płakała.

* * *

Wbiegł na izbę przyjęć. Przepchnął się do recepcji, nie zwracając uwagi na gniewne skargi czekających na przyjęcie. Chciał wiedzieć, gdzie ona jest. Ludzie w kolejce zaczęli krzyczeć, ale pielęgniarka w końcu mu powiedziała. Znów biegł.

Karen w krótkiej sukience, na twarzy ciemne smugi rozmazanego makijażu. Obie ręce obandażowane, bo próbowała jej bronić. Mówiła do niego, z płaczem opowiadała, co się stało. Twarz Sary była całkowicie zasłonięta opatrunkami. Mocno ją pociął. Nie obudziła się jeszcze z narkozy.

Karen na kolanach na szpitalnej podłodze wrzeszczała, żeby wracał. On biegł już do wyjścia. Usłyszał, jak wykrzyczała ostatnią rzecz, jaką powiedziała jej Sarah, zanim zemdlą. *Nie pozwól, żeby Mike go znalazł.*

* * *

Telefon przy uchu.

– Gdzie on jest! Mów, kurwa, gdzie on jest, albo do ciebie przyjadę!

Nikt nie waży się tak odzywać do Jacka Hamiltona. Nigdy. Hamilton mówi Mike'owi, co ten chce wiedzieć.

* * *

Hamilton spoglądał na telefon. Powiedział mu to nie ze strachu, choć nie wątpił, że w tej chwili Mikey przedarłby się jak walec przez jego ludzi i zatłukł go na śmierć.

Może za młodu bym sobie z nim poradził, pomyślał, wiedział jednak, że oszukuje sam siebie. Wiedział, że małe fiutki, takie jak Davey Falconer, nigdy takich rzeczy nie rozumieją. Dla takich jak Falconer przemoc oznaczała władzę i to dlatego krzywdzili innych – żeby poprawić sobie samoocenę. Hamilton zaś wiedział coś, do czego nawet Mikey sam przed sobą nigdy się nie przyznawał. Chłopak po prostu lubił się bić. Dla adrenaliny. Wielu ludzi nie pojmowało, na czym polega różnica. Hamilton – owszem. Jedyne, co powstrzymuje tego chłopaka przed zamianą w potwora, to jego własna przyzwoitość i Sarah. A ten głupi kutasina próbował mu jedną z tych rzeczy odebrać.

Hamilton powiedział Mikeyowi, co tamten chciał wiedzieć, bo ktoś musiał tej nocy ucierpieć. Jack uważał, że równie dobrze tym kimś może być chujek odpowiedzialny za całe zamieszanie. Powiedział Mikeyowi, co tamten chciał wiedzieć, bo po części sam czuł się winny. Dlatego mu to powiedział, mimo że było dla niego jasne, iż wydał tym samym wyrok na syna swojego starego przyjaciela.

Wszyscy myśleli, że kieruje interesem, bo zajmuje się sprawami – ludźmi, jeśli było trzeba – osobiście. On sam wiedział, że kieruje interesem, bo rozumie jego istotę. Dla niego interes był siecią lojalności, zobowiązań, związków, szacunku, a nawet przyjaźni. Choć wiedział, że niedługo to wszystko się zmieni.

* * *

Robisz coś głupiego. Krzywdzisz kogoś, kogo nie powinienes. Rozwścieczasz niewłaściwego człowieka i masz wybór. Albo uciekasz, chowasz się i nie wychylasz, albo zostajesz na widoku. Sporo świadków. Sporo ludzi, którzy mogą cię odgrodzić od tego drugiego. Sporo ludzi, którzy zadzwonią na policję. Davey podjął niewłaściwą decyzję. Mike niemal wyrwał z zawiasów drzwi do baru na West Endzie. Wrzeszczał.

* * *

– Panie Sykes, wysłał pan do szpitala sześć osób, w tym dwóch funkcjonariuszy policji, kilku innych wymagało pomocy lekarskiej. Pan Falconer przeżył tylko dzięki doświadczeniu i szybkiej reakcji załogi ambulansu. Jest jednak przykuty do wózka i nie będzie widział na jedno oko. Rozumiem, że został pan sprowokowany, ale to nie pierwszy pana konflikt z prawem. Wygląda na to, że mimo czasu spędzonego w ośrodkach poprawczych dla nieletnich, gdzie zresztą był pan więziony aż do uznania królowej, wciąż niczego się pan nie nauczył. Mając to na uwadze, postanowiłem wydać wyrok, który, miejmy nadzieję, skanalizuje pana agresję, pozwoli panu przysłużyć się krajowi, a co najważniejsze, nauczy pana dyscypliny. Panie Sykes, czy pan mnie słucha?

Nie słuchał. Nie miało znaczenia, co mówił sędzia. Myślał o chwili, kiedy ostatni raz widział Sarę.

* * *

Kłęczał obok jej łóżka, trzymał ją za rękę. Patrzył na jej twarz, wciąż owiniętą bandażami. Opatrunki zasłaniały miejsca cięć Daveya. Najpierw trochę ją obił, żeby zmiękła, bo nie poddała się bez walki, a potem pokroił nożykiem tapicerskim, jak nauczył go ojciec. Dwa razy. Zrobił jej dwa razy więcej blizn, niż miał sam.

– Nie było cię tu, kiedy się obudziłam. – Tylko tyle powiedziała.

– Ja... ja załatwiłem go... – wykrztusił Mike i zrozumiał, że przecież to zupełnie nic nie znaczy. Wystarczyło jej spojrzenie. Wiedziała, że tego, co zrobił Falconerowi, nie zrobił dla niej. Zrobił to dla siebie. Zabrała dłoń z jego dłoni i odwróciła się do niego plecami.

Nigdy więcej jej nie zobaczył.

* * *

Transport więźniów wjechał do Depot Para w Catterick w Północnym Yorkshire. Pasażerowie zostali niemal siłą wywleczeni z pojazdu, a potem zaczęły się wrzaski.

– Wychuchani homosie z etońskimi dyplomami z Whitehall, którym mamy nieszczęście służyć, w swojej mądrości postanowili zmienić mój ukochany 2. Spadochronowy w karną jednostkę! Jesteście pierwszymi nędznymi pasożytami, które tu przysłano, żeby zapaskudziły mój najukochańszy batalion! Zazwyczaj żywimy wyłącznie pogardę dla rekrutów dość głupich, żeby wstąpić do tego pułku! Czyli was! Nienawidzimy! Nienawidzimy was bardziej niż Francuzów! Gratuluję wam tego osiągnięcia! Udało się wam sprawić, że nienawidzi was cały 2. Spadochronowy! Nie

zostaniecie tu długo! Złamiemy was! Podczas szkolenia zdarzą się wam wypadki! Spotkają was straszne rzeczy z rąk wyszkolonych zabójców! Przyjdziecie mnie błagać, bym odesłał was z powrotem do Wormwood Scrubs, żeby muskularni, mało sympatyczni dżentelmeni mogli się dobrać do waszych ciasnych zadeczków! Jednej rzeczy nie zrobicie na pewno: nie wstąpicie do pułku spadochronowego! Czy to jasne? – W odpowiedzi rozległo się mamrotanie. – Właściwa odpowiedź, wy łajzy, brzmi: „Tak jest, panie sierżancie”!

– Zdaje ci się, że jesteś twardy, czy coś? – spytał Psycho. Sierżant obejrzał się na krępego, umięśnionego, ogolonego na łyso typka, który się odezwał.

– Dobrze się składa, mamy ochotnika... – zaczął. Psycho położył go jednym ciosem.

* * *

Już wcześniej wydawało mu się, że był torturowany. Nie był. Nie wiedział, co to znaczy. Wydawało mu się, że potrafi wytrzymać tortury. Nie potrafił. Powiedziałby im wszystko, gdyby tylko przestali. Nie, to nie była prawda, powiedziałby im wszystko, gdyby tylko przestali i go zabili. Tyle że oni o nic nie chcieli zapytać.

Południowy Londyn, 2017

Cztery upalne letnie dni i znów zaczęły się rozruchy, tym razem jednak było inaczej. Tym razem ludzie, którzy zwykle zabijali się nawzajem za przynależność do dzielnicy, byli uzbrojeni, zorganizowani i posiadali przynajmniej podstawowe wyszkolenie.

Psycho, patrzący wzdłuż lufy swojego minimi, był przekonany, że jest w tym wszystkim pewna nieuchronność. Musiało do tego dojść w społeczeństwie, w którym rozdźwięk między bogatymi a biednymi stał tak wyraźny i wciąż narastał. Kiedy karało się tych, którym się powiodło najgorzej, za ekscesy tych, którym powiodło się najlepiej, było tylko kwestią czasu, zanim nieszczęśnicy na samym dole, zżyci z poczuciem rozpacz i przyzwyczajeni do bratobójczych walk, zwrócą się przeciwko tym, którzy ich dymali. Psycho powiedział o tym drużynie. Perkins nazwał go komunistą. Ale to nie była kwestia polityki. Ani gospodarki. To było zwykłe, zdroworozsądkowe podejście do życia. Przyczyna i skutek. Jeśli odpowiednio często bije się psa, ten w końcu ugryzie. I szczerze mówiąc, zdaniem Psycho, jeśli nikt nic z tym nie robił, nikt też nie miał teraz prawa narzekać, że jego stolica płonie.

Słyszał, jak dwóch starszych chłopaków, dawniej z 2. Spadochronowego, mówiło, że Londyn wyglądał obecnie jak Belfast w latach osiemdziesiątych. Policję

wypędzono bardzo szybko. Wkroczyli więc antyterrorysty. Wielu zginęło. Od samochodów-pułapek, rakiet, moździerzy i w zwykłych, tradycyjnych ulicznych starciach. Wtedy wezwano spadochroniarzy. *Jasne, bo 1. Spadochronowy tak sprawnie zapanował nad sytuacją w Irlandii Północnej, prawda?*, pomyślał Psycho. W konflikt włączyła się także marynarka. Fregata HMS „Anguish” stała na kotwicy w wodach Tamizy kilometr od miejsca, w którym on krył się za workami z piaskiem.

Problem polegał na tym, że dzieciaki z kałasznikowami zajęły kilka mrówkowców. Miały dobre zaopatrzenie. Znały okolicę. Amunicja zdawała im się nigdy nie kończyć. Nawet tym spośród żołnierzy, którzy rzeczywiście umieli walczyć, nie uśmiechała się perspektywa wygryzania ich stamtąd. Te same architektoniczne założenia, które czyniły z blokowisk zaszczurzony labirynt, sprawiały, że stawał się on śmiertelną pułapką, którą należało oczyszczać pomieszczenie po pomieszczeniu. Spadochroniarze dostali rozkaz atakować buntowników na ulicach i odpowiadać ogniem na ostrzał, poza tym jednak ograniczać się do patrolowania, podczas gdy politycy i policja mieli negocjować.

Partyzanci byli do pewnego stopnia zorganizowani, przynajmniej jeśli chodziło o uliczne walki, ale nawet nie dorobili się jednej nazwy. Rozruchy po prostu stopniowo eskalowały; zaczęło się od zabójstwa policjanta w zemście za zastrzelenie nieuzbrojonego nastolatka. Ci z mrówkowców chcieli sprawiedliwości, równego traktowania, ale nie potrafili wyrazić tego w języku zrozumiałym dla klasy rządzącej. *Powodzenia*, pomyślał Psycho. Nikomu, kto miał coś do ugrania, nie zależało na równym traktowaniu; negocjatorzy próbowali przekupić buntowników adidasami, udziałem w *X-Factorze* i konsolami PlayStation. Przecież do tej pory to działało.

Nie potrzeba było wiele: wystarczyła grupa starszych chłopaków, którzy przeszli przeszkolenie w wojsku na mocy Aktu o Karnym Poborze. Ktoś, kto miał kontakty u wschodnioeuropejskiej mafii i załatwił broń. Skądś, nie wiadomo skąd, zdobyli pieniądze, i wystarczyło już tylko zaczekać, aż ktoś ich naciśnie odrobinę za mocno.

W ten oto sposób Psycho znalazł się za barykadą z worków z piaskiem, spoglądając wzdłuż lufy minimi na rodzinne miasto. Owszem, był na południe od rzeki. Prawdopodobnie strzelał do kibiców Chelsea, ale wciąż nie mógł wyzbyć się wrażenia, że walczy po niewłaściwej stronie.

Zajęli skrzyżowanie pod jednym z bloków. Za nimi stał sześciokołowy taktyczny wóz wsparcia Coyote. Jego główny ciężki karabin maszynowy kaliber .50 był wycelowany w budynek, drugi, standardowy, osłaniał drogę za nimi.

– No dalej, gnojku, pokaż się – mruknął Perkins. Patrzył przez lunetę swojego karabinu wyborowego L129A1. Starszy kapral był jednym z tych, którzy wręcz

przesadnie dbali o ciało; chodził na siłownię nawet po obowiązkowym treningu kondycyjnym. Był atrakcyjny i wiedział o tym, ale uroda nie była w stanie zamaskować okrucieństwa jego rysów. Wiedział, komu się podlizać, a komu dokuczyć. Zdaniem Psycho był z niego wredny bydlak.

– Perkins, może wyluzuj? Jest spokój. Oduśmy sobie – powiedział. Zobaczył, że Lumley potakująco kiwa głową. Zawodowi żołnierze bardziej niż przymusowych poborowych nie znosili tylko jednej rzeczy: zrównanych z nimi w prawach, walczących w pierwszej linii kobiet. W oddziałach piechoty doprowadziło to do zawiązania się osobliwego sojuszu między żołnierzami a poborowymi. Psycho wiedział także, że Lumley, krępa dziewczyna z Derby, była twardsza niż połowa chłopaków z jego sekcji. Zresztą musiała, skoro tu się znalazła.

– Miałeś na myśli „kapralu Perkins”, prawda, szeregowy Sykes? – spytał Perkins, odrywając oko od lunety.

Miałem na myśli „kapralu Kutas”, zdołał nie powiedzieć głośno Psycho.

– ZUS, kapralu.

– Zasady Użycia Siły pozwalają nam odpowiedzieć ogniem, jeśli zostaniemy ostrzelani. Zapewniam cię, że jeśli wypatrzę jakiegoś chujka, dam mu strzelić pierwszemu. Zgadza się, Geordie?

– Jasne, nie ma że nie, kapralu – odparł ze swoim mocnym akcentem z Newcastle Geordie, przysadzisty kapral obsługujący pięćdziesiątkę wozu. Psycho miał wrażenie, że w każdym pododdziale brytyjskiej armii służy jakiś Geordie. Ich własny był lizusem Perkinsa.

– Walker?

– Tajest, kapralu – odparł potężnie zbudowany Afrokaraibczyk z Birmingham.

– Wally?

Wałowski był chudym Polakiem, któremu też jakimś cudem udało się trafić do 2. Spadochronowego na mocy Aktu o Karnym Poborze. Zawahał się.

Psycho dobrze się z nim dogadywał. Polak sprawiał wrażenie nieustannie zaskoczonego faktem, że znalazł się w brytyjskiej armii.

Perkins odwrócił się i posłał mu groźne spojrzenie.

– Tak jest, kapralu – odparł w końcu Wałowski.

– Szeregową Lumley?

Lumley patrzyła nieruchomo przed siebie, obserwując swój sektor.

– Powiedziałem: „szeregową Lumley”.

Kobieta zignorowała Perkinsa.

– Głupia dziwka, pewnie tak samo głucha jak zimna. – Walker i Geordie się

zaśmiali. – Wiesz, czego ci trzeba, Lumley?

– Może kaprała, który nie zachowuje się jak kutas? – podsunął Psycho. Lumley i Wałowski próbowali się nie uśmiechnąć.

– Dobra, Sykes, idziesz do raportu.

– Nie ma sprawy, jeden więcej nie robi mi różnicy. Już dawno nie byłem w Szklarni. Pogadamy?

Psycho wciąż patrzył wzdłuż lufy minimi, lustrując swój sektor, ale z tyłu głowy czuł gniewne spojrzenie Perkinsa. Oraz jeszcze czyjeś. Obejrzał się na Lumley. Nie wyglądała na zadowoloną. Psycho w duchu westchnął. Miała powód, żeby się na niego wściekać. Jeśli chciała, żeby ją zaakceptowali, musiała wywalczyć to sobie sama, inaczej...

– Czy to miłość? – spytał Perkins. – Och, jak słodko. Tyle tylko, że nie wiem, czy Lumley na pewno jest ładniejsza niż ta poorana szmata, która cię rzuciła.

Psycho usłyszał, że Lumley gwałtownie wciąga powietrze. Wally rozpaczliwie starał się patrzeć gdzie indziej. Kłykcie Mike'a, zaciśnięte na rękojeści minimi, pobiegały. *Wróć do Szklarni, uznał, ale dopiero, jak zejdziemy z linii ognia.* Dopadnie Perkinsa, kiedy wrócą do wysuniętej bazy operacyjnej w elektrowni Battersea.

– Co, twardziel z East Endu nie ma nic do powiedzenia? – zakpił kapral.

– Widzicie tych gości? – spytała Lumley, starając się go zignorować. Psycho kiwnął głową. Obserwował dwóch mężczyzn w ciemnych cywilnych ubraniach, obwieszonych wysokiej jakości wojskowym sprzętem. Kucali za samochodem jakieś dwieście metrów na lewo od nich. Jeden obserwował ten sam blok, do którego przydzielono drużynę Perkinsa – przez lornetkę. Na ramieniu miał jakieś kanciaste urządzenie. Psycho rozpoznał laserowy wskaźnik celu. Drugi mężczyzna osłaniał pierwszego, mówiąc coś do nagłownego mikrofonu. Prawdopodobnie przekazywał instrukcje podawane mu przez obserwatora.

– Siły specjalne – mruknął Psycho. Lumley kiwnęła głową.

– Wysunięci obserwatorzy z „Anguisha” – powiedziała. Psycho przytaknął. Nagle poczuł się bardzo nieswojo. Wymiana ognia z dzieciakami na ulicach to jedno, ale ostrzał artyleryjski południowego Londynu to rzecz zupełnie innego kalibru.

– Kapralu – powiedział Walker. Miał dziwny głos. Psycho się obejrzał. Walker wyglądał na wstrząśniętego. Na uszach miał słuchawki radia transportera.

– O co chodzi, Walker? – spytał zaniepokojony Perkins.

– Ktoś właśnie wystrzelił dziesięć rakiet LAW 80 w Parlament.

Psycho i Lumley obejrzelili się. Reszta drużyny z przerażeniem wpatrywała się w Walkera.

– Kurwa... – zaklął Perkins.

– Każą nam wracać do bazy.

– Jebane chujki – warknął kapral. Podniósł karabin i zaczął przepatrywać front bloku.

– Perkins, co robisz? – spytał Psycho. Kapral odwrócił się do londyńczyka.

– Stul pysk, nielojalny draniu!

Znów zaczął mierzyć do budynku. Lumley, zaniepokojona, obejrzała się na Perkinsa, potem wróciła do krycia swojej sekcji, lustrując ją przez celownik optyczny SA80.

– A rozkazy? – zapytał Psycho.

– Od kiedy to, kurwa, obchodzą cię rozkazy?

Odgłos wystrzału karabinu snajperskiego poniósł się echem po kanionach blokowiska. Psycho poczuł, że jego krew zmienia się w lód. Zobaczył, że dwaj żołnierze sił specjalnych odwracają się i z przerażeniem wytrzeszczają oczy na spadochroniarzy. Na beton pod mrówkowcem spadł jakiś człowiek.

– Kurwa mać, co ty robisz?! – spytał Psycho, nie odwracając się od budynku, z minimi w pogotowiu.

– To dzieciak, nie był nawet uzbrojony! – powiedziała Lumley. Ona też przepatrywała swoją sekcję.

– Nie, on był... – zaczął Perkins. Psycho w jego głosie słyszał panikę.

Nagle cały front bloku otworzył do nich ogień. Niemal we wszystkich oknach pojawili się uzbrojeni mężczyźni i kobiety. Większość strzałów była niecelna, ale parę osób tam na górze wiedziało, co robi. *Dziękujemy ci, Akcie o Karnym Poborze*, pomyślał Psycho. Tak samo jak Lumley krył się za workami z piaskiem. Wszędzie dookoła kule krzesały iskry na asfalcie.

– Kontakt, kontakt! – wrzeszczał Perkins.

– Dym! – krzyknął Psycho. Nic. – Walker, dym!

Gdzie jest Geordie i jego pięćdziesiątka? – zdziwił się. Zerknął przez ramię. Geordie i Walker kryli się przed kulami rykoszetującymi od burt wozu. Wałowskiego nie widział. Perkins prawie leżał pod kierownicą i próbował odpalić silnik.

Lumley wystrzeliła na oślep z podwieszanego granatnika nad workami. Granat z gazem łzawiącym nie zapewniał takiej osłony jak granaty dymne transportera, ale lepsze to niż nic.

– Pod wóz i do 50-ki! – krzyknął Psycho do kobiety. Lumley kiwnęła głową. Psycho wyskoczył nad barykadę i zaczął puszczać długie serie z minimi, mając nadzieję, że strzelający się pochowają. Lumley poczołgała się po ziemi pod transporter i wspięła

na jego tył. W tej samej chwili Psycho uświadomił sobie głupotę zwracania na siebie uwagi w takiej sytuacji. Miał wrażenie, że strzela do niego cały świat. Zwinął się za workami i starał nie dać się postrzelić samą siłą woli. Nie podziałało. Jego kamizelka kuloodporna zbierała trafienia. Każde czuł jak uderzenie kijem baseballowym. Cieszył się, że podrasował ją za własne pieniądze.

Na tyle wozu wsparcia Lumley odciągnęła Geordiego od karabinu maszynowego, zarepetowała ciężką broń i otworzyła ogień w kierunku bloku.

Psycho nie miał najmniejszych wątpliwości, że powolny, rytmiczny łoskot kalibru .50 był najpiękniejszym dźwiękiem, jaki słyszał w życiu. Ostrzał zelżał, kiedy w ścianie budynku w eksplozjach betonowego pyłu zaczęły pojawiać się wielkie dziury. Psycho usłyszał terkot SA80, potem odezwał się także drugi karabin maszynowy.

– Przestań strzelać! – wrzasnął do Lumley Perkins spod kierownicy. – Ściągasz ich ogień! Przestań, głupia dziwko, to rozkaz!

Lumley go zignorowała.

– Kurwa, każę cię za to rozstrzelać!

Psycho zobaczył przelatujące nad głową smugowce z pięćdziesiątki i maszynówki. Skulony ruszył w kierunku wozu, puszczając z minimi serię za serią wszędzie tam, gdzie zobaczył błyski wystrzałów.

Dobiegł do transportera i znalazł Perkinsa wciśniętego pod kierownicę, skąd próbował na oślep uruchomić silnik. Uderzył przycisk wystrzeliwiający granaty dymne od strony kierowcy. Cztery pojemniki wyskoczyły z ukośnych rur wyrzutni, potoczyły się po asfalcie i zaczęły wypuszczać czarny dym.

Psycho wywlóknął kaprała spod kierownicy i wyrzucił na ziemię; Perkins wczołgał się pod pojazd. Psycho odpiął minimi z paska, rzucił na tył wozu i wskoczył w fotel kierowcy. Dym szybko wypełniał ulicę, zasłaniając transporter.

– Przerwać ogień! – rozkazał Psycho i uruchomił silnik. Gdyby rozświetlili dym błyskami z luf, ludzie w bloku zorientowaliby się, gdzie są żołnierze. Lumley i Walker przestali strzelać i natychmiast się pochowali, bo od pancerza wciąż rykoszetowały kule. Perkins wskoczył z powrotem do pojazdu.

– Ruszać! Szeregowy Sykes, ruszać! – wrzasnął.

Psycho wrzucił wsteczny, skręcił tyłem o dziewięćdziesiąt stopni, potem popędził ulicą.

– Walker, Lumley, łapcie za karabiny maszynowe! – krzyknął. Oboje się podnieśli, Walker dość niechętnie. Lumley obróciła lufę pięćdziesiątki i wycelowała ją w kierunku, z którego jechali, w głąb zadymionej ulicy.

Wszyscy polecili do przodu, kiedy Psycho zaparł się o pedał hamulca.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! – wrzasnął Perkins, leżący z tył wozu. – Ruszaj, natychmiast!

Dwaj żołnierze sił specjalnych skoczyli na pakę.

– Dzięki – powiedział jeden z nich i zaczął kryć tylną strefę.

– Wasi przyjaciele chyba oberwali – dodał drugi. Psycho obejrzał się za siebie. Wałowski nie miał górnej części głowy. Rany, od której umarł Geordie, widać nie było; wpatrywał się tylko w niebo martwymi oczyma. Perkins wciąż się wrzeszczał. Jeden z komandosów położył rękę na ramieniu Psycho.

– Facet, uwierz mi, lepiej jedźmy, OK?

Psycho kiwnął głową i ruszył w kierunku bazy. Zobaczył przed sobą charakterystyczną sylwetkę elektrowni i ogień z dysz rakiety wzbijającej się w niebo za nią.

– Słuchajcie, nie mówimy nikomu, o co tam poszło – powiedział Perkins. Nikt mu nie odpowiedział.

Jasne, pomyślał Psycho, kto by pomyślał, że synek pani Sykes zostanie kapusiem?

Ziemia zadygotała, a horyzont za nimi spowił ogień. Psycho obejrzał się za siebie. Dopiero wtedy dotarło do niego, jakie to wszystko piękne. Dopiero wtedy zrozumiał, jak wielką przyjemność sprawiła mu ta strzelanina.

* * *

Słyszysz głos.

– *Nie wiem, ile jeszcze obiekt zniesie, w znaczeniu fizjologicznym.*

Nic, niczego więcej już nie zniosę, proszę, musicie mnie zabić, myśli. Chciałby wrzeszczeć, ale nie może.

Teraz inny głos:

– *Nie o to nam chodziło. Nie jesteśmy sadystami.*

– *Nie mam pewności, czy temu biednemu draniowi robi to jakąś różnicę.*

Stirling Lines, Hereford, 2017

Wywlekli go z furgonetki. Runął na ziemię i zarobił kilka kopniaków. Psycho zwinął się w kłębek. Mówiąc szczerze, obrywał już gorzej. Był głodny, przez ostatni tydzień niewiele jadł, ale najbardziej dokuczało mu zmęczenie. Nie tylko brak snu, nie tylko to, że bolało go całe ciało; borykał się z fizycznym i umysłowym zmęczeniem, które sprawiało, że czuł się na wpół martwy.

– Wstawaj, glisto!

Znów kopniaki.

Grupa Wsparcia Sił Specjalnych grała rolę myśliwych podczas trwającego tydzień ćwiczenia „ucieczka i unikanie”. Psycho i inni, którzy jakimś cudem zaszli tak daleko, dostali płaszcze z czasów II wojny światowej i tobołki z paroma rzeczami ułatwiającymi przetrwanie. Przez większość tego czasu żył zasadniczo pod gołym niebem. Dotarł aż pod Bristol i ukrył się tam w obozowisku dla bezdomnych. Rozważał, czy nie schować się w pociągu i nie wrócić do Londynu, ale ostatecznie się rozmyślił.

Zgłosił się pod koniec tygodnia na ostatni etap selekcji Sił Specjalnych: RTI, szkolenie odporności na techniki przesłuchania. Ono również miało być prowadzone przez Grupę Wsparcia, do której należeli Royal Marines, Pułk RAF i spadochroniarze z jego własnego pułku, wszystko pod czujnym okiem instruktorów z SAS, SBS i Specjalnego Pułku Rozpoznawczego.

– Wstawaj, śmieciu!

Znów poczuł na sobie buciory.

Przykro mi, stary, chociaż ziemia jest zimna i mokra, podoba mi się na niej, nawet kiedy mnie kopiesz, pomyślał Psycho. Był przekonany, że nawet kopany, zdoła zasnąć na ziemi. *Jeśli chcesz, żebym wstał, będziesz musiał...*

Poczuł, że ktoś przemocą stawia go do pionu. Ugięły się pod nim nogi.

– Z jakiej jesteś jednostki?! Gdzie reszta twoich ludzi? – wrzasnął mu w twarz ktoś, kto niedawno jadł curry. Psycho chciał podać im nazwisko, stopień i numer, naprawdę chciał, ale tylko niewyraźnie coś zabełkotał. Cios w żołądek zgiął go wpół. Wyrzygał ostatni posiłek.

– Obrzydlistwo!

Próbował upaść, ale czyjeś ręce chwyciły go, postawiły na nogi i powlokły w kierunku skupiska baraków z falistej blachy.

* * *

Wydawało mu się, że to wszystko nie ma sensu. Był tak zmęczony, że chciało mu się płakać, ale bynajmniej nie skłaniało go to do mówienia. Był tak zmęczony, że nie mógł mówić. Zasnął natychmiast, kiedy tylko się dało, a potem budziły go wrzaski albo upadek na ziemię.

Wrzaski dobiegały do niego jakby przez watę. Większości w ogóle nie rozumiał. Kazali mu stać w niewygodnych pozycjach, ale on się przewracał, zapadając w sen.

Było mu zimno, bo go rozebrali, ale nawet to nie powstrzymało go od zasypiania na stojąco. Ściągnęli jakąś kobietę w mundurze, która przyszła i zaczęła wyśmiewać jego genitalia. To już było po prostu niezrozumiałe. Do tego stopnia, że Psycho zaczął się histerycznie śmiać, za co dostał parę kopniaków.

Kilka razy udało mu się podać im nazwisko i stopień, ale nie potrafił sobie przypomnieć numeru. Nie chodziło o to, że był twardszy niż inni rekruci, którzy dotarli tak daleko. Po prostu jego mózg radził sobie w ten sposób ze stresem – odpływał. Psycho był tak zmęczony, że wszystko działo się dla niego gdzieś bardzo daleko. Do rzeczywistości wracał tylko wtedy, kiedy go bili. Z drugiej strony bity bywał już wiele razy.

Próbowali go postawić na nogi, ale leciał im przez ręce. Brak współpracy skończył się następnym pobiciem. Udało mu się wstać i oprzeć przodem o ścianę w niewygodnej pozycji. Upadł, zjechał twarzą po murze i stracił przytomność.

* * *

Kurwa, to bolało! Był zupełnie rozbudzony. Obrzygał się. Coś bardzo twardego uderzyło go w nerki. Gorzkie doświadczenie mówiło, że przez najbliższy tydzień będzie sikał krwią.

– Sierzancie? – zabrzmiał niepewnie jakiś głos.

– Zamknij się. – Psycho rozpoznał drugi głos, ale nie potrafił go umiejscowić. Jakby dobiegał z wielkiej odległości, przez gęstą mgłę. – Mamy ich złamać, tak czy nie?

Psycho wrzasnął. Coś uderzyło go w prawą rękę i poczuł, że pękają mu kości.

– Chyba to poczuł – powiedział Perkins. – Co za ironia, największy lachobij, jakiego znam, nie będzie się mógł trzepać.

Mimo bólu otwarcie oczu przyszło Psycho z trudem. Rozpoznał głos Perkinsa. Poczul, że przenika go chłód. Chciał walczyć, ale nawet gdyby mógł się poruszyć – a raczej by nie zdołał – był przywiązany do krzesła.

– S... skąd?... – próbował zapytać. Perkins złapał go za włosy i odgiął mu głowę do tyłu. *Skąd się wziąłeś w Grupie Wsparcia?*, chciał zapytać Psycho. Podał Perkinsa do raportu za to, co się stało w Londynie, ale wojsko nie chciało o tym słyszeć. Incydent przepadł w masie innych po ataku rakietowym HMS „Anguish”. Jasno jednak dano do zrozumienia, że tak czy inaczej Perkins jest w spadochroniarzach skończony. Teraz okazało się, że awansował na sierżanta i dostał się do sił specjalnych.

– Zawsze potrafiłeś się ustawić – próbował powiedzieć Psycho, ale tylko coś wymamrotał i się zaślinił.

– Co takiego? – spytał Perkins, a potem zdzielił go teleskopową pałką w jaja. Psycho zawył i stracił przytomność.

* * *

– Ten fiut nie może się dostać do SAS. Wiecie, co zrobił? Wiecie, co on, kurwa, zrobił? Zabił w Londynie nieuzbrojonego dzieciaka, wkopał nas, a potem się posrał, jak tamci odpowiedzieli ogniem. To pieprzony tchórz i balast!

Nieprawda!, wrzeszczał głos w głowie Psycho. Było mu niedobrze. Dłoń i jądra paliły go żywym ogniem. Znów ktoś złapał go za włosy.

– Powiedz im! Powiedz im, kurwa, co zrobiłeś! – wrzeszczał Perkins, obryzgując go śliną.

– N... n... nie... – wykrztusił Psycho. Perkins zaczął z całej siły tłuc go w ramię, raz za razem. Psycho wrzeszczał przy każdym ciosie.

– Powiedz, co zrobiłeś! Mów, to przestanę!

– P... proszę...

Perkins przestał go bić.

– Sierzancie, chyba... – Psycho nie miał pojęcia, do kogo należał ten drugi głos. Na pewno do kogoś młodego i przestraszonego.

– Opowiedz im o dzieciaku, którego zabiłeś – powiedział cicho Perkins.

On w to chyba wierzy. Może ma rację. Może to mnie się poprzestawiało w głowie ze zmęczenia.

– To nie... ja... – wykrztusił.

Perkins znów zaczął go bić w ramię. Psycho wrzeszczał, aż zemdlał.

* * *

Ocknął się. To się musi skończyć. Więcej nie wytrzyma. Spojrzał na zmasakrowaną lewą rękę. Spod skóry przebijała kość.

– W pokoju obok mają Lumley. Głupia suka myślała, że przejdzie selekcję. Jeśli nie powiesz im, jak zabiłeś tego dzieciaka, a potem się posrałeś, bo jesteś tchórzem, zgwałcą ją. Rozumiesz?

Psycho płakał, tępo kiwał głową.

– Powiesz im?

Psycho nie odpowiedział.

– Powiedz im.

Perkins mówił coraz głośniej. Psycho nie podniósł wzroku. Miał oczy zamknięte,

głowę spuszczoną.

Przypomniawszy sobie Londyn. Strzelaninę. Uderzenie raketowe. Zobaczył jakąś sylwetkę – nie potrafił rozpoznać rysów twarzy – która celuje z karabinu wyborowego w blok. Naciska spust. Dzieciak spada. Zobaczył tę samą postać skuloną pod kierownicą wozu wsparcia.

Poczuł, że metalowa końcówka pałki przesuwająca się po jego prawym udzie. *Połamie mi nogi*, rozumiał Psycho. Nie chodziło nawet o obrażenia, to było teraz nieistotne, chodziło o ból. Nie znieś już więcej bólu.

– Przyłożyłeś karabin do ramienia, zobaczyłeś chłopaka przez lunetę, wiedziałeś, że nie jest uzbrojony i...

Patrzył przez lunetę karabinu. Zobaczył chłopaka. Tak łatwo, tak łatwo zabić, wystarczy nacisnąć spust.

– Bo jesteś zwierzęciem...

Stoi nad Daveyem Falconerem, którego twarz wygląda jak siekane mięso. Nie przestaje go bić. Ludzie wrzeszczą na niego „zwierzę”. Był zwierzęciem.

– Powiedz im, co zrobiłeś – powiedział Perkins. Czule, jak kochanek. Czubek pałki spoczął na złamanej ręce Psycho.

To był on. On nacisnął spust. Zabił chłopaka. To on stchórzył, chował się w transporterze.

– Powiedz im, to przestanie boleć.

Musiał wyteńczyć wszystkie siły. Splunął Perkinsowi w twarz. Pożałował od razu, zdjęty strachem przed bólem. Perkins zamachnął się pałką i spuścił ją na jego nogę. Tym razem Psycho wiedział, że to nie on wrzeszczy. Był za daleko. Coś, co wydawało ten dźwięk, nie było człowiekiem. To było ranne zwierzę.

* * *

Zamierzał powiedzieć to, czego chciał od niego Perkins. Nie znieś więcej bicia. Nie znieś więcej bólu. Będzie błagał, jeśli tak trzeba, zrobi wszystko, ale Perkins musi przestać go bić.

Otworzył oczy na ból i światło. Ale nie taki ból, jakiego się spodziewał. Leżał w szpitalnym łóżku. Jego prawa dłoń była zabandażowana. Lewą rękę i prawą nogę, zagipsowane, umocowano na wyciągu.

– Jesteś w nienajlepszej formie – powiedział czyjś głos. Jakiś cień siedział na krześle pod oknem. Był słoneczny dzień. Nawet patrzenie sprawiało Psycho ból. Chciał pokiwać głową, ale to też bolało.

– Sierżant Perkins przekroczył swoje uprawnienia – ciągnęła postać. Zaczynała się wyostrzać. Niewysoki facet, chudy. Psycho już go widział, ale nie potrafił sobie przypomnieć gdzie.

– Co... ty powiesz... – wykrztusił. Zaszło mu w ustach.

– Przypomniałem go sobie, tylko nie od razu. Byłem pewien, że już go gdzieś widziałem, ale nie mogłem skojarzyć gdzie. To ten fiut, który wtedy strzelił do bloku, rozjuszył tamtych.

– Pamiętam cię. Przez was zginęło dużo ludzi – powiedział Psycho żołnierzowi sił specjalnych. To był jeden z wysuniętych obserwatorów, których widział w Londynie, jeden z tych dwóch, którzy nakierowali ostrzał z „Anguisha”. Mężczyzna patrzył na niego zimno. Oceniał.

– Pamiętam, że się zatrzymałeś, żeby nas zabrać.

– Lumley?

– Przeszła, to pierwszy pełnoprawny damski członek pułku. Paru chłopaków miało z nią problem podczas ćwiczenia odporności na przesłuchanie, ale inni, którzy z początku twardo bronili się przed kobietami w jednostce, są z niej bardzo dumni.

Psycho kiwnął głową. Sam w tej chwili nie był w stanie czuć zbyt wiele, czy to wobec Lumley, czy kogokolwiek innego.

– Co tu robisz?

Dopiero zaczynało do niego docierać, w jak bardzo kiepskim jest stanie. Mimo środków przeciwbólowych ból był prawie nie do zniesienia.

– Przyszedłem przeprosić. Zainteresowałem się tobą. Nadzorowałem ćwiczenie.

– Świetnie się spisałeś.

– Wyszedłem na chwilę, nie mam usprawiedliwienia. O ile to cokolwiek warte – domyślałem się, że niewiele – przykro mi.

– Pierdol się... – powiedział cicho Psycho. Komandos pokiwał głową, jakby to była w pełni uprawniona odpowiedź. Wstał i ruszył do drzwi.

– Perkins?

Komandos przystanął i obejrzał się na Psycho.

– Kiedy odchodził z wojska, spotkało go kilka wypadków. Posłuchaj, możemy coś zrobić z...

– Nie.

Żołnierz pokiwał głową.

– Selekcja?

Komandos zrobił zakłopotaną minę.

– Kurwa, przeszedłem! – warknął Psycho. Tamten przytaknął.

– Owszem, ale nie nadajesz się do akcji. Przy takich obrażeniach nie wiemy nawet, czy odzyskasz pełną sprawność, potem będzie rehabilitacja. Będiesz miał szczęście, jeśli wrócisz do 2. Spadochronowego. Nie wspominając już... W tym ćwiczeniu nie chodziło o przeżycie. Jeśli poczekać odpowiednio długo, każdy pęka. Chodzi o to, jak potrafisz sobie z tym poradzić, jak to sobie potem tłumaczysz.

Psycho tylko na niego popatrzył.

– Wypierdalaj.

Mężczyzna kiwnął głową i wyszedł.

* * *

Człowiek, którego zmasakrował Perkins – to był ktoś inny. Zupełnie inny kawał wrzeszczącego mięsa. To było nic. Wtedy nie miał pojęcia, co to znaczy ból.

Stirling Lines, Hereford, 2018

– Z jakiej jesteś jednostki?! Gdzie reszta twoich ludzi?!

Nic nie mów, głowa w dół, biernie, nie nawiązuj kontaktu wzrokowego i nigdy nie rozjuszaj ich dowcipkowaniem. Tego ostatniego nauczył się na własnej skórze. Dostał mocny cios w brzuch. Upadł razem z krzesłem, do którego był przywiązany. Potem poczuł czubki butów.

– Kapralu, wystarczy – powiedział komandos SAS. Kapral Grupy Wsparcia przestał kopać Psycho i pomógł mu wstać.

– Przepraszam, stary – mruknął.

Psycho popatrzył na komandosa.

– Koniec ćwiczenia?

Tamten przytaknął. Psycho odwrócił się z powrotem do kaprała.

– Ależ z ciebie miękka faja.

Kapral się zaśmiał.

– To nie moja wina. – Wskazał komandosa SAS. – Kazał mi cię obrobić szczególnie ostro.

Psycho obejrzał się na tamtego i kiwnął głową.

– Chyba się nie polubimy.

Komandos uśmiechnął się i wyprowadził go z baraku. Lumley czekała na niego na dziedzińcu.

– Przydałoby ci się chyba piwo i prysznic – powiedziała.

– Czego mi potrzeba, to dwóch ampułek morfiny i łóżka – odparł Psycho.

Stirling Lines, Hereford, 2019

Psycho stał w pozycji „spoczni” przed biurkiem dowódcy. Miał na sobie cywilne ciuchy. „Stary” był ubrany w polowy mundur.

– Zawsze byłeś niesubordynowanym chujkiem, co, Sykes? – spytał pułkownik.

– Tak, szefie, dziękuję – odparł Psycho tonem na tyle bezczelnym, że dowódca rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Rekwizycja śmigłowca RAF i zabranie go w sam środek strefy bombardowania. Tym razem przeszedłeś samego siebie. Mam taką chćicę odesłać cię z powrotem do jednostki, że aż mi staje.

Nagle Psycho zaczął traktować to wszystko poważnie. Nie chciał wracać do swojej jednostki.

– Szefie, ja nie wrócę do 2. Spadochronowego.

Stary podniósł wzrok znad biurka i popatrzył na niego wilkiem.

– Nie masz wyboru, Sykes, nie odsłużyłeś jeszcze wyroku. Jeśli wykopię cię z Pułku, zapewniam cię, wrócisz do 2. Spadochronowego.

– Mam jakieś wyjście, szefie? – zapytał Psycho, zmartiony. Stary dalej się na niego gapił.

– Wygląda na to, że twój wyczyn zaimponował naszym amerykańskim przyjacielom – powiedział w końcu. Postukał w teczkę na biurku. – Powrót do jednostki albo to.

Psycho zerknął na teczkę. Widniał na niej kryptonim „Drużyna Raptor”.

Baza Sił Powietrznych Nellis, Nevada, 2020

– No, wyglądasz o wiele lepiej, niż kiedy cię widziałem ostatni raz – powiedział Psycho.

Barnes osłonił dłonią oczy przed oślepiającym pustynnym słońcem. Z zaskoczeniem stwierdził, że Brytyjczyk mimo upału wciąż ma na sobie skórzaną kurtkę.

– Chciałem ci podziękować – powiedział.

– Nie ma za co, stary. Kryptonim Prorok, tak? – spytał Psycho. Barnes pokiwał głową.

– Moim zdaniem to czyjeś chore poczucie humoru – powiedział. Był przekonany, że jego kryptonim wziął się z obecnie bardzo ściśle tajnego raportu z akcji w Kolumbii. – Fajny tatuaż. Bardzo subtelny.

Psycho przesunął dłonią po mocno stylizowanym skrzydlatym sztylcie wytatuowanym na jego wygolonej potylicy. Właśnie skończył się goić.

– Pomyślałem, że pokażę, skąd jestem, no wiesz, póki jestem przydzielony do Delta Farsy.

Barnes uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Na pewno znajdziemy jakiś sposób, żeby zaimponować gościowi z Serwisu Aut Sprowadzanych.

– Będzie ubaw, no nie?

– *Michael? Zobaczę, czy mogę ci pomóc – powiedział głos.*

Możesz, pomyślał wrak człowieka, który kiedyś był Michaelem. Możesz mnie zabić.

Szansa [Część 2]

Gmina Rowieski, górny bieg rzeki Podkamienna Tunguzka, Kraj Krasnojarski, Syberia, Federacja Rosyjska, 2025

Prorok wyskoczył w zimne syberyjskie powietrze, wysoko nad skutą lodem ulicę. Podążyły za nim szperacze z VTOL-i. Światłne linie na HUD-zie skafandra, ukazujące teoretyczne trajektorie ostrzału, prawie zasłaniały mu pole widzenia. Jeszcze w locie wyłączył alarm zbliżeniowy z powodu przeładowania informacjami. Jedną myślą sprawił, że spowilo go pole soczewkujące systemu kamuflującego. Żołnierzom CELL wydało się, że zniknął w powietrzu. Potem otworzyli ogień.

* * *

Tak jest, ściągnij ich ogień, synu – pomyślał Psycho, w kamuflażu opadając z okna strychu. Usłyszał, że oddział specjalny, który po nich wysłali, znalazł ciąg claymore'ów ustawionych na wysokość głowy. Wylądował na ulicy twardo i głośno. Musiał poczekać, aż ustabilizują go systemy skafandra. Łoskot upadku nie miał większego znaczenia. Wszyscy na ulicy patrzyli w górę i strzelali do Proroka, odstawiającego powietrzny pokaz. Psycho zobaczył, że jeden z VTOL-i unosi się nad burdelem. Zapanował nad bólem i odpalił detonator ładunków, które rozmieścił pod dachem.

* * *

Prorok zdążył tylko zarejestrować, ile dostaje trafień, zanim dach burdelu eksplodował. W powietrze wystrzeliła kula ognia i szczątków, która spowila jeden z VTOL-i. Fala uderzeniowa wybuchu uderzyła Proroka w plecy z siłą parowego młota, a płonący wrak należącej do korporacji maszyny runął na budynek. Prorok przebił ścianę domu po drugiej stronie ulicy. Mimo pancerza skafandra ze zjonizowanych, elektroaktywnych płynnych polimerów, opartego o domieszkowane koloidami tworzywa ceramiczne i miedzianą nanosiatkę w etylenowo-glikolowej macierzy fulerenowej, mimo martwego ciała – przebicie się przez ścianę naprawdę bolało.

Znalazł się w dużym pomieszczeniu sypialnym zastawionym łózkami. Oświetlał je przez okna reflektor jednego z ocalałych VTOL-i. Prorok chwiejnie podniósł się na nogi. Kombinezon zaczął naprawiać uszkodzenia. Nagle meble i duża część podłogi zniknęły mu przed oczami, rozerwane na strzępy ogniem z działka maszyny. Widoczny już Prorok zaczął biec. VTOL dotrzymywał mu kroku, strzelając najszybciej jak mógł. Wyglądało to tak, jakby ogień pożerał ściany.

* * *

Psycho pilnował wskaźnika energii i posuwał się dalej w kamuflażu. Dotarł pod transporter opancerzony i podłożył pod niego minę REX. Wszyscy patrzyli na VTOL-a, pakującego kulę za kulą w budynek naprzeciwko walącego się burdelu. Psycho szybko przeskoczył pod następny transporter i zrobił znów to samo. Kiedy klęczał przy trzecim i mocował minę, pole soczewkujące straciło zasilanie i zrobił się widzialny. Poderwał się i zobaczył gapiącego się na niego przerażonego żołnierza CELL.

– Tak, słonko, jest nas dwóch – powiedział i pokonał dzielący ich dystans, dobywając noża.

* * *

Trafienie z działka VTOL-a było jak śmierć. Prorok miał wrażenie, że pocisk powinien był rozerwać jego ciało i rozrzucić je po całym rozpadającym się wokół niego budynku. Siła uderzenia obróciła go w powietrzu. Czerwone symbole ostrzegawcze na ekranie HUD-a powiedziały mu, że następnego takiego trafienia nie przeżyje. Dotarł do dziury w ścianie, gdzie kiedyś było okno, i skoczył nad ulicą. W przelocie dostrzegł panikę na twarzy pilota. Podłoga budynku, z którego właśnie wyskoczył, zapadła się pod nawałą ognia z działka, a w nocne powietrze buchnęły chmury kurzu i ceglanego pyłu.

Prorok wylądował na pancерnej szybie kokpitu maszyny i natychmiast zaczął się ześlizgiwać. Zamachnął się pięścią i rąbnął w szkło z całą siłą nanoskafandra. Przebił szybę, otworzył pięść, a spomiędzy jego palców wypadł lekko zniekształcony granat. Potem ześliznął się z dziobu VTOL-a.

* * *

Chłopak zginął szybko z rąk Psycho, w ostatnich chwilach poznając grozę nieuchronności losu, kiedy próbował podnieść swój pistolet maszynowy Feline. Jego

śmierć nie pozostawiła pobliskim żołnierzom żadnych wątpliwości co do powodów obecności Psycho.

Zaczęli się do niego odwracać. Na środku ulicy stał lekki transporter Bulldog. Lufa jego ciężkiego karabinu maszynowego obracała się w stronę Psycho. Wtedy jeden z VTOL-i w powietrzu eksplodował. Żołnierze CELL na moment się obejrzeni. Psycho wyskoczył wysoko w górę, ściskając detonator ładunków REX.

* * *

Prorok wylądował na skutej lodem ulicy. Miał kłopoty. Kombinezon wciąż próbował go połatać. Na szczęście żołnierze CELL, podobnie jak on sam, byli bardziej zajęci ucieczką przed VTOL-em, do którego właśnie wrzucił granat. Prorok pobiegł, a potem rzucił się szczupakiem do przodu, kiedy maszyna runęła na ziemię. Wtórne eksplozje wyrzuciły w powietrze ciała najemników. Odłamki rozerwały następnych.

Siła wybuchów pchnęła Proroka przez ulicę w burtę transportera Bulldog. Kombinezon znów pokazał czerwone komunikaty. Ktoś do niego strzelał. Przyspieszona percepcja, wspomagana systemami skafandra, sprawiła, że nadlatujące smugowce z ciężkiego karabinu maszynowego wyglądały jak powolny i pełen ulotnej gracji pokaz świateł.

A potem kawałek dalej, pod płonącym burdelem, eksplodowały trzy transportery CELL.

* * *

Kiedy transportery wybuchły, Psycho był w powietrzu. Na burtach pojazdów podłożył trzy miny. Siła eksplozji przewróciła wozy. Potoczyły się po ulicy, miażdżąc żołnierzy CELL i uszkadzając inne maszyny.

To sens mojego życia, pomyślał Psycho, lądując na tyle transportera Bulldog. Uderzył z powietrza. Wspomaganą stopą uderzył tak mocno, że rama pojazdu pękła. Dwóch żołnierzy siedzących z tyłu wyrzuciło w powietrze na ulicę. Psycho złapał jednego z pozostałych – kobietę – i cisnął nią o pobliski mur, dość mocno, by złamać jej kręgosłup. Drugiego kopnął. Siła wspomaganego pancierzem ciosu sproszkowała żołnierzowi żebra i posłała go, bezwładnego jak szmaciana lalka, za burtę pojazdu. Trzeci, żeby uciec przed mordercą w nanokombinezonie, w panice wyskoczył przez przód. Czwarty był zbyt powolny. Psycho uderzył go w krzyż. Przez krzyki i huk strzelaniny nie usłyszał trzasku łamanego kręgosłupa.

* * *

Potrzebuję czasu, pomyślał Prorok. Podniósł się na nogi i pobiegł w kierunku sklepu z zaopatrzeniem górniczym, którego witryna wychodziła na zlodowaciałą ulicę. Przed sklepem stał bulldog. Prorok zobaczył, że strzelec otrząsnął się już po eksplozji i próbuje wycelować w niego ciężki karabin maszynowy. Wszędzie wkoło ziemia i żołnierze CELL dosłownie eksplodowali – to jeden z dwóch ocalałych VTOL-i usiłował naprowadzić na Proroka swoje działko.

Prorok przyspieszył i z wysokoku kopnął transporter. Siła uderzenia przestawiła pojazd o ponad dziewięćdziesiąt stopni, wbijając go w witrynę sklepu. Prorok pochwyił leżący na ziemi motocykl, zakręcił się na pięcie i cisnął nim we VTOL-a. Maszyna zawirowała leniwie w powietrzu. Pilot zwiększył ciąg i VTOL odskoczył z drogi obracającego się jednośladu. Prorok wykorzystał chwilę jego nieuwagi, żeby zniknąć w sklepie.

* * *

Tryb pancerza. CryFibrilowy nanomięsień ściągnął zewnętrzny splot skafandra, zwiększając jego gęstość. Psycho chwycił karabin maszynowy i wyrwał go z ruchomego mocowania. Zobaczył, że kierowca i kobieta strzelec na fotelu pasażera obracają się i próbują w niego wycelować. Obniżył lufę karabinu i pociągnął za spust. Pociski kalibru .50 uderzyły z taką siłą, że dwójka żołnierzy CELL po prostu wyparowała.

Psycho uświadomił sobie niejasno, że jest trafiany w plecy. Odwrócił się i zobaczył, że dwaj żołnierze, których jego lądowanie wyrzuciło z bulldoga, zaczęli weń strzelać. Odpowiedział ogniem z karabinu maszynowego. Wielkokalibrowe kule poszarpały ciała napastników, którzy potoczyli się po zamrażającym błocie.

Psycho w gradzie rykoszetujących kul, ognia i odłamków cegieł wyskoczył z bulldoga. Zaczął zabijać z karabinu maszynowego.

– No dalej, szmaty!

Chciał, aby żołnierze sił CELL wiedzieli, że oto zstąpili między nich bogowie wojny.

* * *

Prorok przedzierał się przez ostrzeliwany zewsząd sklep. HUD wyświetlał wszystkie trajektorie kul. Można było odnieść wrażenie, że przez każdy centymetr sześcienny

powietrza przelatuje jakiś pocisk. Prorok zobaczył smugowce z ciężkich karabinów maszynowych i Mk.60, potem eksplodowały wielkie kawały sufitu, kiedy ogień otworzył drugi VTOL. Z tyłu upadł i eksplodował granat. Siła wybuchu uniosła Proroka w powietrze i cisnęła przez drewniane przepierzenie na zaplecze.

Poczuł to. Czuł każde uderzenie, każdy wybuch. Wciąż czuł ból. Wstał. Odszukał schody. Ruszył nimi w górę, choć rozpadały się pod jego krokami. Aktywował tryb maskujący. Spowiło go pole soczewkujące. Zatrzymał się na chwilę. Na krótką chwilę. Nie po to, żeby złapać oddech. Tego już nie potrzebował. Musiał się zatrzymać, by częściowo obca technologia jego skafandra i zintegrowanego z nim ciała naprawiła uszkodzenia.

Nad sklepem znajdowało się mieszkanie. Prorok zobaczył szczątki dwójki starszych ludzi, rozerwanych przez zabłąkane kule.

Przykro mi, pomyślała resztką jego człowieczeństwa, a potem znów skupił się na zadaniu.

Siły CELL wciąż koncentrowały ogień na parterze. Kule dezintegrowały drewniany budynek. Prorok ruszył do okna, czując, jak kołysze się pod nim konstrukcja. Z uchwytu z tyłu zbroi odpiął granatnik L-Tag. Za oknem zobaczył jeden z VTOL-i. Ale tamci go nie widzieli. Cepidzko-ludzka technologia czyniła go niewidzialnym.

Podniósł granatnik do ramienia i wystrzelił. Przeładował. Znów strzelił. Dwa naprowadzane granaty 60 mm poleciały w kierunku VTOL-a. Wybuchły w powietrzu tuż obok niego, obracając maszynę. Prorok wiedział, że to nie wystarczy, żeby zniszczyć opancerzony VTOL. Pomógł mu pilot, który spanikował. Rozpaczliwie usiłując zwiększyć pułap, odbił mocno w bok, zahaczając o budynek.

Na dole Prorok zobaczył Psycho, kładącego ludzi pokotem z ciężkiego karabinu maszynowego. *Dobry z niego żołnierz*, pomyślał. Potem znów zaczął strzelać z L-Taga. Dwoma granatami oczyścił teren przed sklepem. Pozostałe trzy posłał tam, skąd najintensywniej strzelano do Psycho. Inteligentne granaty wybuchły w powietrzu. Siła eksplozji cisnęła żołnierzy CELL na ziemię, a odłamki poharatały ich zgniecione falą uderzeniową ciała.

Przyszła pora dołączyć do Psycho na ulicy. Może zginą, ale przynajmniej będą razem.

* * *

Zebrani w sali członkowie zarządu ze zgrozą wpatrywali się w transmisję. Żaden z nich nie miał problemu z podejmowaniem decyzji, które kosztowały życie tysięcy,

czasami dziesiątków tysięcy, ale bezpośrednio rzezi rozgrywającej się przed ich oczami oddziaływała na nich w sposób, do którego nie byli przyzwyczajeni. A może, ponieważ uważali się za ludzi posiadających wielką władzę, działała tak na nich brutalność fizycznej potęgi dwóch żołnierzy w nanoskafandrach.

Patrzyli na ekrany, a na nich nad głowami ich ludzi wybuchały granaty, innych zaś kosił ciągły ogień. Sam koszt pojazdów, świadczeń medycznych i ubezpieczeń na życie będzie astronomiczny.

- To jak powtórka z Nowego Jorku.
- Mamy na miejscu środek zapobiegawczy.
- Który znacząco uszkodzi infrastrukturę...
- Jaką infrastrukturę? To pieprzona Syberia.
- Panie prezesie, ma pan głos decydujący. Aktywować protokół Zimno?
- Tak. Dajcie Zimno.

* * *

Walker wtulał głowę w ramiona, skulony za podziurawionym kulami bulldogiem. Widział, że to coś ku niemu zmierza. Opancerzony człowiek, niewrażliwy na ich ogień zupełnie jak postać z komiksu czy bohater mitu. Jedyne, co mogli zrobić, to czekać, aż przyjdzie ich zabić. Nawet chemia nie była w stanie poradzić sobie z jego strachem. Pomyślał o Carolcie i Elsie. Słyszał, jak tamten się zbliża. I tak go zabije.

* * *

Żołnierz CELL wyskoczył zza wraku bulldoga i zaczął strzelać do Psycho ze swojego scaraba. Kule odbiły się od pancerza jak wszystkie inne. Psycho odwrócił się do niego. Coś w nim drgnęło, jakby coś mu się przypomniało, ale ta chwila minęła natychmiast, kiedy kule z karabinu maszynowego cisnęły żołnierza w tył.

Trafiony pociskiem z automatycznego działka Psycho zatoczył się i opadł na kolano. Nie miał pojęcia, skąd padł strzał. Następny omal go nie przewrócił. Uratował go tylko fakt, że kombinezon działał w trybie pancerza. Psycho odskoczył chwiejnie w bok, w kierunku wraku jednego z wysadzonych transporterów. Jego opancerzony kadłub zapewniał jako taką osłonę.

Strzelał dalej, kosząc ludzi. Dawał jasno do zrozumienia, że każdy, kto do niego strzeli, zginie. Każdy, kto postanowi uciekać, zmniejszy ryzyko swojej śmierci.

Od wraku transportera rykoszetem odbiły się kolejne pociski z działka i w górze pojawił się strzelający VTOL. Psycho podniósł lufę karabinu i posłał w maszynę serię

smugowców. Usłyszał ryk zbliżającego się transportera. Trafiła go następna kula z działka.

* * *

Sprowadzili zbyt wielu ludzi. Wysycili otoczenie celami. Cwane sztuczki i możliwości zbroi pozwoliły Psycho i Prorokowi urządzić piekło żołnierzom, wyszkolonym nie dość dobrze, by mogli się z nimi mierzyć. Prorok przechwytywał ich spanikowane komunikaty. Problem polegał na tym, że CELL nigdy nie kończyli się ludzie.

W rękę miał hammera II z tłumikiem, którym zabijał każdego, kto mu się tylko nawinał. W trybie maskowania brnął niewidzialny przez rzeź.

* * *

Psycho obserwował poziom zasilania kombinezonu na HUD-zie. Każde trafienie z działka było jak agonía, uderzenia miały nim, rzucały o ziemię, czuł, że różne rzeczy łamią się w nim i pękają. Pasek zasilania był jak odliczanie do śmierci. Kiedy brak energii wymusi wyłączenie trybu pancerza, ogień z działka rozerwie go na strzępy.

W jego pole widzenia wjechał transporter. *Czyli to by było na tyle*, pomyślał Psycho, wciąż prując z karabinu maszynowego do każdego, kto był dość głupi, by do niego strzelać. Ku jego zaskoczeniu transporter odwrócił się do niego tyłem. *Będą wychodzić!*, pomyślał z uniesieniem. *To szaleństwo!*

Wieżyczka transportera skierowała się w jego stronę i pocisk z automatycznego działka trafił go w pierś. Siła trafienia uniosła Psycho w powietrze i rzuciła do tyłu. Był zdumiony, stwierdzając, że jeszcze żyje. Choć było to życie pełne bólu.

Jakoś udało mu się wstać. Tył transportera otworzył się. Psycho strzelił z karabinu maszynowego. Pierwsze dwa pociski zabiły żołnierza sił specjalnych CELL, potem skończyła mu się amunicja. Psycho cisnął broń w następnego wysiadającego, z siłą wystarczającą, żeby odrzuciła go w tył. Londyńczyk odpiął swój karabin Gaussa, posłał krótką serię w leżącego, a potem podniósł broń i zaczął strzelać do grupy żołnierzy, która za wszelką cenę, choć nie było to roztropne, próbowała wylądować się z transportera.

Psycho zauważył, że jeden z nich trzyma dziwnie wyglądającą, nieporęczną broń i usiłuje ją w niego wycelować. Obok Psycho pojawił się Prorok; londyńczyk odwrócił się do niego i niewiele brakowało, żeby strzelił, zanim zrozumiał, co się dzieje.

Pocisk z działka VTOL-a musnął jego hełm. Omal nie urwało mu głowy. Znów runął na ziemię. Prorok podniósł karabin Gaussa, wypalił z podwieszanego granatnika, a potem opróżnił cały magazynek w pilota VTOL-a. Lecące z naddźwiękową prędkością pociski wyprzedziły granat i odbiły się od pancерnej szyby kokpitu, która pokryła się pajęczą siatką pęknięć. Potem eksplodował granat. Strach pilota był większy niż uszkodzenia VTOL-a, ale mimo to maszyna odleciała. Leżący na ziemi Psycho podniósł karabin i sięgnął do spustu podwieszanego granatnika.

– Nie! – wrzasnął Prorok.

Psycho wystrzelił granat w tej samej chwili, w której transporter strzelił z głównego działka. Pocisk trafił w karabin Proroka – broń rozpadła mu się w rękach – a potem uderzył go w pierś akurat w momencie aktywacji trybu pancерza. Proroka poderwało z ziemi i rzuciło w tył; runął na ziemię, ledwie żywy mimo systemów kombinezonu. Granat Psycho wybuchł na tyle uszkodzonego transportera. Z żołnierzy w środku została czerwień na ścianach.

– To była nasza droga ucieczki – mruknął Prorok przez radio kombinezonu, usiłując wstać.

– No tak... – westchnął Psycho, patrząc na dymiące wnętrze pojazdu. – Tak, to był dobry pomysł.

– Ładuj się do transportera – powiedział Prorok, w końcu się podnosząc. Znów do nich strzelano ze wszystkich stron. Dwa ocalałe VTOL-e unosiły się na niebie, prując ze swoich działek.

* * *

Jeszcze kawałek, pomyślała Amanda. Reszta jej drużyny nie żyła. Zastrzelona, rozerwana granatami, zmiażdżona pod wrakami VTOL-i i toczących się transporterów. Została tylko ona. Ogolona na łyso Afroamerykanka skradała się cicho i ostrożnie przez ruiny burdelu, z przyciśniętą do ramienia strzelbą Jackal. Poruszała się najciszej, jak umiała, chociaż zarzucona na plecy broń specjalna mocno jej to utrudniała. Między zniszczonymi transporterami, które wyleciały w powietrze na początku bitwy, dostrzegła ruch.

* * *

Rakieta została wystrzelona z niewykrywalnego myśliwca Suchoj T-50, wypożyczonego CELL przez rosyjski rząd. T-50 położył się na skrzydło i włączył dopalacze, żeby jak najbardziej zwiększyć dystans od pocisku.

Głowica Circuit Breaker w naprowadzanej rakiemie zdetonowała trzysta metrów nad Rowieskami. Zaprojektowana tak, by wytworzyć impuls elektromagnetyczny odpowiadający trzydziestokilotonowej eksplozji termojądrowej, spaliła każde niezabezpieczone urządzenie elektroniczne w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Nawet urządzenia zabezpieczone, takie jak pokładowy sprzęt transporterów CELL, na chwilę uległy przeciążeniu.

Pogasły wszystkie światła. Kopalnia kobaltu przerwała pracę. Wysiadła łączność. Ten obszar Syberii na chwilę cofnął się do poziomu technologicznego epoki kamienia łupanego.

* * *

Psycho nie zdążył nawet zauważyć podobnego do zorzy polarnej wybuchu światła w magnetosferze. Runął na ziemię, kiedy wyłączyły się wszystkie systemy nanoskafandra.

Zależny od współdziałania skafandra z martwym ciałem Prorok, kiedy upadał obok londyńczyka, już nie żył.

* * *

Dla Amandy, stojącej w ruinach burdelu, wszystko to wydarzyło się bardzo powoli. Dwa VTOL-e wyglądały wprost malowniczo, kiedy zgasły ich reflektory, a niebo za nimi rozświetlił pokaz fajerwerków promieniowania elektromagnetycznego, odbijającego się od magnetosfery.

* * *

Psycho był wciąż przytomny. Uwięziony w nieruchomym kombinezonie. Zobaczył, że VTOL-e spadają poza jego pole widzenia. Nie mógł nawet odwrócić głowy. Poczul wstrząs, kiedy maszyny uderzyły o ziemię. Owładnęła go wściekłość i frustracja na tę bezsilność. Zaczął krzyczeć.

* * *

To było jak sen. Przyjemny i zimny. Dziesięć tysięcy woltów krążące po martwym ciele, zmuszające ociążałe systemy żywej technologii kombinezonu do działania, nie było już takie miłe. Prorok miał wrażenie, że przenika go ogień.

Krzyczał.

Przetoczył się na brzuch i zmusił, żeby podnieść się na ręce i kolana. *Daj mi*

umrzeć!, wrzasnął bezgłośnie do skafandra. Chwila słabości, a potem znów ktoś zaczął do niego strzelać.

* * *

Krótką serią, wyceluj, krótka seria, wyceluj, od nowa. Podejdz cel. Kule kalibru 12 uderzały w bok opancerzonego człowieka, przewracały go, miotały nim po ziemi. Opróżniła w niego powiększony magazynek strzelby, nie zwracając uwagi na drugiego, sparalizowanego na ziemi. Puściła broń. Ze zgrozą zobaczyła, że to coś, to zombie, które widziała głęboko pod Petersburgiem, podnosi się. Chwyciła broń wiszącą na plecach i wycelowała ją przed siebie. Pancerny stwór zatoczył się w jej stronę. Przyłożyła broń do ramienia. Tamten podniósł rękę, jakby chciał do niej sięgnąć. Amanda wystrzeliła. Obciążona, rozciągliwa sieć, pokryta przemysłowym klejem, rozpostarła się w powietrzu, napędzana czterema nabojami dwunastkami z czterech luf.

Odrzut broni pchnął Amandę i padła na plecy w rumowisko. Zorientowała się, że gapi się tępo na sterczącą spod gruzu dłoń młodej kobiety. Spojrzała na opancerzonego wojownika, który zabił tylu jej przyjaciół. Oplatała go sieć. Próbował się wyrwać, znaleźć miejsce zaczepienia, żeby ją przerwać, ale nie mógł. Skuteczność tego rozwiązania wywodziła się prosto z epoki kamienia łupanego. Upadł.

Amanda wstała i wyjęła z kabury na biodrze hammera II. Był załadowany pociskami rozrywającymi. Podeszła do nieruchomej postaci pancernego wojownika. Przestał się miotać, kiedy poczuł lufę przystawioną do głowy.

– Poczuj, jak to jest być człowiekiem, skurwysynu.

Amanda odwiodła kurek wielkiego pistoletu. W tej samej chwili pojawili się ludzie z sił specjalnych. Wycelowali w nią broń. Wrzeszczeli na nią. Nie rozumiała, czemu nie pozwolą jej pociągnąć za spust. Opróżnić magazynka w jego głowę. Odpuściła. Splunęła na pancerz.

– To za Mikeya – powiedziała i odeszła.

* * *

To nie powinno się tak potoczyć... Misja, za bardzo się skupiłem na misji.

– Co mamy z nimi zrobić, szefie? – spytał żołnierz sił specjalnych swoją oficer. Prorok był wciąż spętany przyklepym, rozciągliwym drutem. Widział Psycho. Kombinezon tamtego najwyraźniej odzyskał zasilanie, ale skuli go potężnymi kajdanami, zaprojektowanymi specjalnie dla nanoskafandrów. Psycho wpatrywał się

w Proroka. Obaj klęczeli, otoczeni przez żołnierzy z bronią w pogotowiu. Mieli zostać załadowani na transportery, jedyne pojazdy z osłoniętą elektroniką, a co za tym idzie jedyne wciąż działające. Wzywano transportowe śmigłowce, bo te na lądowisku kopalni zmieniły się w nie działający złom ze spalonymi systemami.

– Ten leci do Nowego Jorku – powiedziała dowódczyni, wskazując Psycho. – Tamten do ośrodka Deepwinter.

Psycho wciąż wpatrywał się w Proroka.

– Mieliśmy szansę, Proroku. Mieliśmy szansę.

Podziękowania

Dziękuję Michaelowi Readowi, Timowi Partlettowi, Stevenowi Benderowi i Rasmusowi Hojengaardowi z Crytek za wsparcie, pomysły, wkład w powstanie tej książki oraz gościnność we Frankfurcie.

Dziękuję również Guyowi Perkinsowi z EA, a także Richardowi Morganowi i Peterowi Wattsowi.

Szczególne podziękowania pragnę złożyć niezwykle cierpliwemu i dyplomatycznemu redaktorowi, Marcusowi Gippsowi. Dziękuję też Chrisowi Edwardsowi i Cat Hallsworth – pierwszemu za pomoc w gromadzeniu materiałów do książki, drugiej za uporanie się z nimi (graliśmy w gry wideo).